Y. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/222 1966

• « La Culture » • Revue mensuelle •

W. JEDLICKI : **KAJDANY LUDWIKA HASSA**

K. Z. : **POLSKA DROGA DO PODLEGŁOŚCI**

H. KÜNG : **CO SOBÓR OSIĄGNĄŁ ?**

J. MIEROSZEWSKI : **ABC POLITYKI "KULTURY"**

G. J. FLEMMING : **Z POLSKIEJ RZECZYWISTOŚCI**

SPIS RZECZY

Witold Jedlicki: *Kajdany Ludwika Hassa* 3
Paweł Hostowiec: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* 22
Witold Gombrowicz: *Fragment z dziennika* 27

WIERSZE

Florian Śmieja: *Angelus* 37
" " : *Jaskinia Montesinosa* 37
Jan Darowski: *Życie* 38
" " : *Porachunki* 39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *ABC polityki „Kultury"* 40
Londyńczyk: *Kronika angielska* 51

KRAJ

George J. Flemming: *Z polskiej rzeczywistości* 59

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Hans Küng: *Co Sobór osiągnął?* 69

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

K. Z.: *Polska droga do podległości* 83

TRYBUNA W.A.Z.

W. A. Zbyszewski: *Dwa okresy powojenne* 100

KRONIKA KULTURALNA

B. Brodziński: *O indukcji w izolacji* 116
Józef Czapski: *Czarny kamień* 120
Adam Czerniawski: *Mały traktat o sztuce* 124
Józef Czapski: *Turkiewicz a nowe tworzywo* 126
Komunikaty 129
a) *Stypendia dla studentów Polaków*
b) *Konkurs dla dzieci*

KSIĄŻKI

Kazimierz Zamorski: *O Katyniu poprealistycznie* 132
Józef Mackiewicz: *O historii Polski prof. Rhodego* 142
Józef Wulf: *Oświadczenie* 147
— *Nadesłane nowości wydawnicze* .. 152

◆

Zofia Hertz: *Humor krajowy* 154
A. Berlstein, W. Janta-Połczyńska, K. A. Jeleński, J. Kolaja, J. Kowalewski, T. Nowacki, Wł. Popławski, J. Ulatowski, A. Walczak, J. Zwolska-Selle: *Listy do Redakcji* 155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień-Avril **1966**

INSTYTUT **LITERACKI**

NOTA BIOGRAFICZNA

Hans KÜNG urodził się 19 marca 1928 r., święcenia kapłańskie otrzymał 10 października 1954. Studia odbywał w Lucernie, w Rzymie (Uniw. Gregoriański), w Paryżu (Instytut Katolicki, Sorbona). Uzyskał dyplomy: licencjat z teologii (na Gregorianum), doktorat z teologii (Inst. Kat. 1957) na podstawie tezy: Justification. La doctrine de K. Barth et une reflexion catholique. Posiada także tytuł doktora prawa h. c. uniw. Saint Louis (U.S.). W latach 1957-1959 pracował jako kapelan w Lucernie, potem jest asystentem na uniw. w Monastyrze (Münster) 1959-1960, prof. teologii fundamentalnej na uniw. w Tybindze (Tübingen — 1960-1963), a wreszcie prof. teologii dogmatycznej i ekumenicznej, a także dyrektorem Instytutu teol. ekumenicznej na tymże uniw. w Tybindze. Dotychczas opublikował nast. prace: *Rechtfertigung*, 1957, 453; *Konzil und Wiedervereinigung*, 1960, 763; (tłum. francuskie: *Concile et retour a l'unité*, Cerf, 1962); *Damit die Welt glaube* 1962, 262; *Strukturen der Kirche* 1962, 263; *(Structures de l'Eglise* Desclées, 1963); *Kirche im Konzil*, 1963; *Theologische Meditationen-Freiheit in der Welt* 1964; *Theologe und Kirche*, 1964; *Konzilreden, en collaboration avec le P. Congar (Discours au Concile, Cerf*, 1964).

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Inż. Zygmunt Czarliński, Sao Paulo (Brazylia) zamiast kwiatów na grób kolegi, śp. inż. Feliksa Olszaka, długoletniego prezesa Stowarzyszenia Techników Polskich w W. Brytanii, ostatnio rektora Akademii Górniczej w Krakowie, zmarłego w Krakowie w 1964 roku ..... F. 60,00
J. Talaśka, Hawthorn, Vic. (Australia) F.14,00
Ing. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty F.54,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P. 9786 Chr. Arch,

Kajdany Ludwika Hassa

I

Fakty są ciemne. Wiadomo, że Ludwik Hass był aresztowany w kwietniu zeszłego roku w tej samej sprawie, co Modzelewski i Kuroń. Wiadomo, że początkowo numer aktów śledztwa był wspólny. Potem sprawę Hassa wydzielono. Takie rozbijanie jednej sprawy na kilka stało się ulubionym trickiem władz śledczych w Polsce. Trick polega na tym, że faktyczni współoskarżeni stają się formalnie świadkami, i w takim charakterze występują wzajemnie na swoich procesach. Wyjaśnienie oskarżonego i zeznanie świadka stanowią dwa zupełnie różne rodzaje dowodu. Oskarżony ma prawo kłamać bezkarnie i może odmówić składania jakichkolwiek wyjaśnień, podczas gdy świadek zeznaje pod groźbą odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i nie ma prawa uchylić się od odpowiedzi na zadawane mu pytania. Konsekwentnie, taki faktyczny współoskarżony, który nagle stał się doprowadzonym z więzienia świadkiem, może łatwo, jeżeli jest uczciwy, stanąć w obliczu bardzo ciężkiego konfliktu: kiedy zeznawanie prawdy oznacza pogrążanie współwięźniów, a zeznawanie nieprawdy pogrążanie siebie; gdyż zawsze istnieje ryzyko, że do istniejących punktów oskarżenia dojdzie nowy, o fałszywe zeznania. Jeżeli natomiast osoba taka jest nieuczciwa, to może łatwo wykorzystać swoją pozycję świadka dla celowego pogrążenia współwięźniów. Bo o ile normalnie sądy lekceważą wzajemne donosy szkodących sobie współoskarżonych, o tyle zeznanie „świadka" jest już traktowane jako coś poważnego. Krótko mówiąc, praktyka rozbijania jednej sprawy na kilka jest premią za łobuzerstwo i karą za ideowość. Kombinatorzy dostają do rąk wyśmienitą okazję na różne przetargi z prokuraturą i policją. Natomiast

więźniów ideowych praktyka ta stawia w pozycji bardzo nieprzyjemnej.

Hass wystąpił więc jako taki „świadek" w procesie Modzelewskiego i Kuronia. Był doprowadzony z więzienia w kajdanach. Zachodzę w głowę, co te publicznie pokazywane kajdany na rękach Hassa i innych więźniów miały znaczyć? Towarzysze z Wydziału Śledczego MSW chcieli w ten sposób coś ludowi polskiemu pokazać, coś zademonstrować. Ale co? Że są twardzi, że nie ulegają humanitarnym sentymentom? Że więźniowie polityczni to coś podobnego do morderców i bandytów? Bezmyślna zemsta za jakieś niesubordynacje tych ludzi w celach więziennych? Próbuję się wczuwać w tę mentalność, ale doprawdy pomysłowość mnie tu zawodzi.

O demonstracji przed salą sądową, o śpiewaniu „Międzynarodówki" pisano już wiele, m.in. w „Kulturze". Dlatego tego wydarzenia nie opisuję: przyjmuję, że jest ono czytelnikom znane. W dalszym ciągu tego artykułu będę próbował jeszcze wyciągnąć z tego faktu pewne wnioski. Tu wspomnę tylko, że Hass brał w tej demonstracji udział, wznosząc swoje skute ręce do pozdrawiania demonstrantów zaciśniętymi pięściami. Relacje są zgodne co do tego, że zarówno w toku zeznania na sali, jak i w czasie demonstracji przed salą Hass zachowywał się hardo. Niezgodność relacji dotyczy natomiast czegoś innego: przyjętej w jego zeznaniach linii taktycznej. Znając go, wcale nie wykluczam, że mógł on popełnić nawet poważny błąd taktyczny. Bardzo na przykład prawdopodobne, że niedocenił albo że przecenił głupotę kompletu sędziowskiego. Wydaje się, że Hass, zapewne trafnie, najbardziej obawiał się ewentualności, że sąd uzna oskarżonych za grupkę izolowaną i pozbawioną znaczenia, co w polskich warunkach byłoby istotnie zabójcze dla obrotu sprawy; i aby tego uniknąć, kładł nacisk na międzynarodowe kontakty i wpływy oskarżonych. Spotkałem się z zarzutem, że w ten sposób oskarżonych pogrążał. Ale ta linia zeznawania mogła być z nimi uzgodniona. Poza tym, według innej relacji, Hass wszystkie te zagraniczne kontakty brał jakoby wyłącznie na siebie. Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się jednak, że wszystkie te relacje są nieobiektywne w tym sensie, że postępowanie Hassa oceniano przez pryzmat filozofii „własnej skóry". Tymczasem jedno jest pewne: Hass o własnej skórze myślał najmniej. Hass jest politykiem, i składając to zeznanie, myślał z pewnością o długofalowych efektach politycznych. Oceniać jego postępowanie można tylko przez identyfikowanie się z jego celami, a nie przez podstawianie własnych.

Wydzielenie sprawy Hassa miało jeszcze ten skutek uboczny, że śledztwo przeciwko niemu wlokło się w nieskończoność. Aresztowany w kwietniu, doczekał się procesu dopiero w styczniu.

13-go stycznia *Associated Press* doniosła o skazaniu go na trzy lata więzienia. Razem z nim skazane zostały na tę samą karę dwie inne osoby: historyk Romuald Śmiech i ekonomista Kazimierz Badowski. (Nie znam tych ludzi zupełnie.) Według agencji *France Presse* natomiast Hass dostał trzy i pół roku tzn. o pół roku więcej, niż pozostali dwaj współoskarżeni. Jeżeli to prawda, to jestem niemal pewien, że te dodatkowe pół roku to kara za sprawowanie się już po aresztowaniu. Również nie ma jasności co do treści oskarżenia. Wiadomo, że kwalifikacja była z art. 23 Małego Kodeksu Karnego, a więc znowu rozpowszechnianie druków i wizerunków nawołujących do zbrodni, pochwalających zbrodnię, zawierających fałszywe wiadomości, wyrządzających istotną szkodę państwu, obniżających powagę naczelnych organów państwa i td. i tp. Ale według jednej relacji zarzucano Hassowi rozpowszechnianie ulotek, wzywających do obalenia rządu, a według innej relacji ulotki te miały jakoby zawierać tylko „fałszywe informacje". W chwili, kiedy piszę ten artykuł (początek lutego) za wcześnie jest jeszcze, żebym mógł znać jakiekolwiek bliższe szczegóły procesu. Wiadomo tylko, że Hass był sądzony przy drzwiach zamkniętych. Jest jakaś znowu niesprawdzona relacja, że w czasie rewizji w jego mieszkaniu jakoby znaleziono powielacz, i że ten powielacz odgrywał jakąś rolę w postępowaniu dowodowym. Aha, i wiadomo jeszcze, że w toku procesu Hass powiedział prokuratorowi: „Pan tępi komunistów jak Stalin, czyli jest pan spóźniony o 20 lat, i nie wiadomo dlaczego zasiada pan w sądzie".

II

Ludwik Hass urodził się w r. 1919 albo 1920 w Stanisławowie. Był synem urzędnika pocztowego: ten fakt odegrał później w jego życiu ogromną rolę. Przed wojną zaczął jeszcze studiować na Uniwersytecie Lwowskim. W czasie studiów wstąpił do K.P.P., ale na krótko: krańcowo rozczarowany opuścił partię i związał się z grupą trockistowską, działającą na tymże uniwersytecie. Był współautorem protestu trockistów polskich przeciwko rozwiązaniu K.P.P. Normalnie byłoby dosyć, żeby po 17 września 1939 natychmiast go rozstrzelać. Ale zdarzył się jakiś niebywały błąd ewidencyjny na jego korzyść: NKWD pomyliło go z jego ojcem, i sprawa znalazła się w gestii wydziału telekomunikacyjnego NKWD. Błąd został oczywiście szybko wykryty, ale który wychowanek Dzierżyńskiego przyznałby się do takiego pogwałcenia czujności! Sprawa została więc zatuszowana na niskim szczeblu, i dzięki temu Hass dostał 8 lat plus dożywotnie „wol-

ne" osiedlenie: stereotypowy administracyjny wyrok, niczym za „sabotaż" w telekomunikacji. Został skierowany do Workuty. Przetrzymał, jak sam twierdził, dzięki temu, że codziennie przypatrywał się, jak księgowy obozu wykonuje swoją pracę. W ten sposób nauczył się księgowości, i w tym zawodzie później w obozie i na „osiedleniu" pracował. Na tym „osiedleniu" musiał się oczywiście co tydzień czy dwa meldować w NKWD, ale mimo to robił jakieś brawurowe wypady pociągami do centrum Rosji. Myślę, że jak zawsze bał się mniej, niż inni, w każdym razie mniej, niż lojalni, niewinni komuniści. Ten trockista autentyczny wśród tylu trockistów fikcyjnych rozwinął zapewne swój filozoficzny determinizm w doskonały mechanizm adaptacyjny: mógł on zawsze czerpać satysfakcję z tego, że jakkolwiek jego traktowano i cokolwiek jemu wyrządzano, potwierdzało to jego diagnozy i jego predykcje odnośnie nieuniknionego kierunku rozwojowego rządów biurokracji, nowej klasy i tp. Jeżeli się nie załamał, to chyba głównie dzięki temu. Ale działało tu niewątpliwie także prawo *survival of the fittest:* co do tego nie pozostawia wątpliwości ogłoszone w nrze 1037 „Wiadomości" świadectwo Janusza Kowalewskiego, z którym obozową przyjaźń Hass wspominał z rozrzewnieniem jeszcze po dwudziestu latach. Taki szczegół podany przez Kowalewskiego, jak niezwykle wyostrzony słuch Hassa, który pozwalał mu uprzedzać zamiary „urków" przez podsłuchiwanie ich rozmów na dystans mówi sam za siebie. I przede wszystkim to, co zawsze przypuszczałem: niezwykła, niespotykana wytrzymałość fizyczna, która, jak się okazuje, może być zupełnie niezależna od siły fizycznej: bo Hass był fizycznie słaby. To, co się mówi o sile woli i sile ducha, to nie są frazesy.

W r. 1956 Hass złożył podanie o rehabilitację. Tym razem telekomunikacja działała przeciwko niemu: prokurator wiedział o popełnionym błędzie, i wobec tego uważał, że Hass nie ma już żadnych powodów do uskarżania się na radziecką sprawiedliwość. Sprawa się wlokła, ale w końcu ustąpił. W r. 1957 (a nie jak podaje Kowalewski 1954) Hass pojawił się w Warszawie.

III

Po przybyciu do Warszawy Hass podejmuje dwie doniosłe decyzje. Po pierwsze wstępuje do PZPR. Po drugie zapisuje się na wydział historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, żeby kontynuować studia dokładnie od tego momentu, w którym je przerwał we Lwowie w r. 1939. (Drugi błąd Kowalewskiego: nieprawdą jest, że Hass miał przedwojenną docenturę). Każda z tych decyzji wymaga osobnego omówienia.

Hass nie miał żadnych złudzeń co do oblicza partii, do której wstępował. Swoje poglądy na partię wyraził kiedyś w sposób lapidarny, mówiąc, że partia istnieje po to, żeby realizować rewolucję społeczną; i że konsekwentnie taką partię, która tego nie robi, albo która się do tego nie nadaje, należy rozwiązać. Przypomnijmy, że w tym czasie ta dzielna partia dosłownie zapomniała języka w gębie: cała ideologia kitłasiła się wokół kilku płaskich konformistycznych frazesów w rodzaju awangardy i przewodzenia narodowi, miłości narodu i ojczyzny, racji stanu, rozsądku politycznego i bodźców ekonomicznych. Był to rodzaj BBWR-u, tylko bardziej konserwatywny, bo w BBWR-ze przynajmniej była mniejszość, która oczekiwała od Piłsudskiego implementacji reform społecznych, a od Gomułki oczekiwano wyłącznie umiaru i takiego manewrowania, które umożliwiłoby zachowanie wywalczonego znośnego *status quo*. W dodatku było to w przede dniu popaździernikowej, łagodnej czystki, która oczyściła partię gruntownie z resztek jako tako wartościowych elementów; ta awangarda, która pozostała, to był już w ogromnej większości śmietnik moralny i intelektualny zupełny. Mętnie sobie przypominam jakąś zasłyszaną od Hassa historię na temat handlu produktami zakupionymi w sklepach „za żółtymi firankami", które w sklepach dla zwykłych ludzi były dostępne po znacznie wyższych cenach, albo niedostępne w ogóle. Chodziło o jakieś przybory kosmetyczne, czy ręczniki, czy płaszcze kąpielowe. Otóż stosunki handlowe były nawiązywane przy pomocy specjalnych introdukcji, których zadaniem było pokrycie początkowego zażenowania. Introdukcje te brzmiały: „Powiedzcie, towarzyszu, czym wy się myjecie" albo „powiedzcie, towarzyszu, w co wy się wycieracie?" Jakże ten człowiek mógł się łudzić, że partia, w której rozpanoszyła się tego rodzaju obyczajowość, może mieć cokolwiek wspólnego z rewolucją społeczną? Rewolucję rozumiał on przy tym dosłownie, a nie w przenośni. Zaledwie parę miesięcy minęło od jego przyjazdu z Workuty, a już się kręcił przy rozruchach warszawskich w październiku 1957. Fakt ten świadczy też dobitnie, po czyjej był on stronie w permanentnej wojnie partii z narodem.

Muszę tu dodać, że absolutnie nie na miarę Hassa były zyskujące na popularności, „pozytywistyczne" samousprawiedliwienia w rodzaju „poza partią jest się skazanym na bierność", albo „przynależność partyjna jest warunkiem dokonania czegokolwiek konstruktywnego", albo „bojkot partii oznacza ułatwianie opanowania jej przez najmniej wartościowe elementy: należy wstępować do partii po to, żeby ją ucywilizować". Z pewnością nie o to Hassowi chodziło. Na pewno też nie chodziło mu o ulżenie swojemu smutnemu losowi samotnego repatrianta. Hass pozostał

skromnym, niewiele zarabiającym urzędnikiem: naprzód w Centralnej Dyrekcji Archiwów, a potem w Biurze Historycznym Centralnej Rady Związków Zawodowych. Nigdy swojej legitymacji partyjnej nie dyskontował. Nigdy nie należał do żadnej wpływowej kliki czy koterii, która by się zajmowała wzajemnym ułatwianiem sobie życia. Miał dla tych rzeczy pogardę.

Nigdy Hassa o motywy jego wstąpienia do partii nie pytałem, ale mogę odpowiedzialnie stwierdzić, że motywy te są dla mnie jasne. Przede wszystkim Hass wstąpił do partii nie za darmo. Uzyskał — jak na te warunki — rzecz kapitalną: uznanie stażu członkowskiego od r. 1938. Przypominam, że Hass opuścił KPP dobrowolnie i dobrowolnie przystąpił do trockistów. Logicznie więc rzecz biorąc, uznanie jego stażu stwarzało precedens uznania trockizmu za ruch komunistyczny, precedens rehabilitacji trockizmu. Prawda, że logika w PZPR stoi nisko w cenie, i Hass z pewnością o tym wiedział. Zastanawiam się, co towarzysze sobie myśleli, kiedy na to żądanie Hassa się godzili. Pewno sobie myśleli, że PZRP Hassa zgnoi tak jak zgnoiła innych, a więc, że bezpieczniej Hassa przyjąć. Są różne poziomy myślenia politycznego, i jeżeli moje przypuszczenie jest trafne, to trzeba powiedzieć, że towarzysze zaprezentowali tu jeden ze swoich najwyższych. Bo Hass zgnoić się nie miał zamiaru, i w tym świecie absurdu zaczął stosować logikę. Głośno i publicznie oświadczał, że jest trockistą, i że jest członkiem PZPR jako trockista.

Czy ta zabawa coś przynosiła i czy mogła coś przynieść? Trzeba sobie przypomnieć sytuację z r. 1957. Nikt nie mógł jeszcze wtedy przewidzieć, jak daleko proces przewartościowania wartości w ruchu komunistycznym się posunie. Nikt nie mógł przewidzieć, pod jakimi presjami ten ruch może się jeszcze znaleźć, i jakie będzie musiał poczynić ustępstwa. Formalnie obowiązywał dogmat powrotu do leninizmu. Cokolwiek o leniniźmie się sądzi i jakkolwiek się go ocenia, PZPR była w r. 1957 od powrotu do niego bardzo daleka. Ta sytuacja stwarzała — jak na świat komunistyczny — dość mocny punkt oparcia dla opozycji wewnątrzpartyjnej. Łatwo było pokazywać, jak z tą „jednością teorii i praktyki" coś nie klapuje. Gdyby partia była silna, mogłaby się przed presjami wewnętrznymi tego rodzaju z łatwością obronić. Ale partia była wtedy słaba, wewnętrznie rozbita, i jej morale było żałosne. Jeden był tylko warunek wywierania tego rodzaju presji: trzeba było wiedziać, czego ten Lenin chciał, co on twierdził, a czemu przeczył. Komuniści nie wiedzieli, bo z taką maestrią opanowali sztukę czytania i cytowania bez rozumienia. Antykomuniści nie wiedzieli, bo dla nich Lenin i Stalin to był jeden diabeł. Hass wiedział. Tylko w świecie komunistycznym może się zdarzyć, że cytowanie i powoływanie się na Marksa czy

Lenina będzie przyjmowane jako rewelacja. Ostatecznie na zachodzie klasycy marksizmu są czytani i znani.

Hass przywiązywał ogromne znaczenie do procesu destalinizacji i obserwował ten proces z wytężoną uwagą. Nie miał złudzeń. Widział dobrze paliatywność decyzji, ciągłe zatrzymywanie się w ćwierć drogi, ciągłe wykręcanie kota ogonem, minoderię wciąż zmieniających się wersji oficjalnych, operetkowość imprez. Nie miał złudzeń, że odgórna destalinizacja nie doprowadzi do niczego. Ale jednocześnie dostrzegał, że nawet ta odgórna destalinizacja dostarcza okazji do zadawania kłopotliwych pytań i poruszania drażliwych tematów. Jego celem było doprowadzenie rewizji przeszłości do stadium rewizji teraźniejszości. Partia lojalnych służebników każdej władzy i pokątnych handlarzy ręcznikami na pewno nie była wymarzonym terenem tego rodzaju działalności. Ale w r. 1957 nikt nie mógł jeszcze przewidzieć, w którym miejscu rozpędzona maszyna destalinizacji się zatrzyma.

W tym jątrzeniu kwestiami pominiętymi w oficjalnych katechizmach ideowych, w deprawowaniu praworządnych i państwowotwórczych sumień, w mówieniu o rzeczach, o których się nie mówi, i o których się nawet myśleć nie chce, Hass był niestrudzony. Nikt mu nie może zarzucić małomówności ani braku ferworu polemicznego. Można mu natomiast na pewno zarzucić, że tracił czas na przekonywanie ludzi, z którymi rozmawiać nie było warto, bo byli nieskazitelnie lojalni albo absolutnie indyferentni. Wogóle jest dla mnie kwestią otwartą, czy z tych niekończących się dysput ideologicznych Hass czerpał jakąkolwiek satysfakcję inną niż satysfakcję łatwego sukcesu polemicznego. Później, na uniwersytecie czy w „Krzywym Kole" z pewnością znalazł ludzi, z którymi mógł rozmawiać jak równy z równym. To samo z pewnością da się powiedzieć o młodym pokoleniu PZPR-owców, z którego reprezentantami znalazł się razem w celach więziennych: ten jeden fakt mógłby być wystarczającym uzasadnieniem jego wstąpienia do partii. Ale czy znalazł takich ludzi wśród tych, na których liczył najbardziej: w starej kadrze partyjnej? Czy był tam ktokolwiek poza zupełnymi tchórzami i oportunistami? Czy tam znalazł jakiekolwiek podskórne nurty, które by mógł cenić? Czy było tam cokolwiek, co mogłoby być dla niego atrakcyjne? Nie wiem.

IV

Jak wspomniałem, drugą doniosłą decyzją Hassa po powrocie do Polski było podjęcie studiów uniwersyteckich po 18 latach przerwy. Mogę tu dodać, że Hass stosunkowo szybko studia te

ukończył. Napisał pracę magisterską pod kierownictwem Henryka Jabłońskiego o lewicy PPS z lat dwudziestych. Miał kilka wartościowych publikacji. Dokonał jakichś ciekawych odkryć archiwalnych: tak np. odkrył istnienie grupy trockistowskiej działającej w getcie warszawskim w r. 1940 czy 1941, o której nikt absolutnie nie wiedział. Tak ta sprawa wygląda od strony formalnej. Faktycznie ten aspekt życia tego człowieka jest dla mnie tajemniczy i niewyjaśniony.

Hass wykazywał wręcz niesamowitą, imponującą wszystkim erudycję w zakresie historii ruchów robotniczych. Nie mogła to być sprawa przypadkowo wywartego wrażenia: miałem z tym człowiekiem dość stały kontakt w ciągu trzech lat, a inni, którzy też go dobrze znali, oceniali również jego erudycję bardzo wysoko. Skąd się ta erudycja wzięła? Był poliglotą: czytał płynnie po niemiecku i po francusku, kiedy wyjeżdżałem z Polski, zaczynał czytać po angielsku. Gdzie się tych języków nauczył? W mojej książce o „Krzywym Kole" wspomniałem o jego referacie: analizie statystycznej wyborów do sejmu w r. 1919. Uderzyło mnie to wtedy jako wzorowe zastosowanie zasad wnioskowania statystycznego. Amerykański specjalista, któremu ten referat pokazałem, opinię moją potwierdził. Gdzie on się nauczył zasad wnioskowania statystycznego? Jego publikacje odznaczały się wyśmienitą analizą źródeł. Skąd on wiedział, jak to się robi? Kreśląc jego sylwetkę w mojej książce o „Krzywym Kole" wspomniałem, że Hass był znakomitym, porywającym salę mówcą. Dwa, trzy lata wcześniej, bezpośrednio po powrocie z obozu miał poważne trudności z mówieniem po polsku; ostatecznie tyle lat tego języka nie używał. Skąd ten zrujnowany fizycznie przez lata łagru i osiedlenia człowiek brał siły, żeby w takim tempie i z takim powodzeniem odrabiać stracone lata? Powtarzam, te rzeczy są dla mnie tajemnicze i niewyjaśnione.

V

W całej tej opowieści pominąłem pewien aspekt życiorysu Hassa: mianowicie aspekt narodowościowy. Hass jest Żydem. O ile pamiętam, mówił mi, że dom jego rodziców w Stanisławowie był polsko-języczny. Ale naprawdę spolonizowani mogli być tylko Żydzi z Polski centralnej, nigdy kresowi. Żyd kresowy, który odchodził od tradycyjnej kultury żydowskiej, asymilował się w naturalny sposób do kultury narodu rządzącego na tych wielonarodowych terenach: a więc do kultury rosyjskiej, a w Galicji wschodniej do niemieckiej. Dopiero po roku 1918 kultura Polska pojawiła się na tych terenach jako praktycznie możliwy kierunek asymilacji. Ale w przypadku Hassa jeszcze znacznie istotniejsze jest to, że po 17 latach pobytu w Workucie był on dość gruntownie zrusyfikowany. Sam mi opowiadał, jak trudno mu było z początku po powrocie mówić po polsku, i jak musiał właściwie na nowo język polski sobie przyswajać. Jego żona jest Rosjanką. Jeszcze w r. 1962 trudno było z nią porozumieć się po polsku. Konsekwentnie, w jego domu mówiło się po rosyjsku.

Piszę o tym wszystkim dla pokazania, że jego decyzja powrotu do Polski absolutnie nie była czymś naturalnym i samo przez się zrozumiałym. Równie, albo nawet bardziej naturalne byłoby, gdyby po rehabilitacji pozostał w ZSSR, albo po powrocie do Polski wyjechał do Izraela. Przy politycznym zorientowaniu i determinacji Hassa żadne interwencje Chruszczowa utrudniające żydowskim repatriantom z Rosji wyjazd do Izraela nie mogły stanowić poważnej przeszkody. Masa tych repatriantów spaceruje sobie dzisiaj spokojnie ulicami Tel-Avivu, i Hass, gdyby tylko chciał, mógł doskonale zrobić to samo. Nie miał w Polsce (ani nigdzie na całym świecie) żadnej rodziny, żadnych krewnych: wszyscy zostali wymordowani przez Niemców. Ale chciał zostać w Polsce. Hass jest więc w gruncie rzeczy Polakiem z wyboru. Czasami myślę sobie gorzko, że wybrał źle. Nie o to mi nawet chodzi, że wskutek tego wyboru znowu poszedł na długie lata do więzienia: mogę tylko powtórzyć, że ten człowiek nie rozumował kategoriami „własnej skóry". Chodzi mi o to, że gdyby wybrał sobie jakiś inny naród, to może nie byłby skazany na taką samotność, może jego wybór byłby lepiej rozumiany i bardziej doceniony. W naszych strasznych czasach pojęcie narodowości coraz powszechniej utożsamia się z uznawaniem jakiegoś zespołu twierdzeń podawanych do wierzenia. Słowa takie jak „un-American" albo „antyradziecki" najlepiej o tym świadczą. W Polsce ten proces zaszedł chyba dalej, niż gdzie indziej. Polak — Józefa Mackiewicza przywołuję tu na świadka — to *ex definitione* taki pan, co o polskie interesy narodowe dba przede wszystkim, rację stanu uznaje, obowiązek politycznego niepodskakiwania uważa za święty, z rzeczywistością się liczy, granicę na Odrze i Nysie popiera, za wroga nr 1 uważa rewizjonistów niemieckich i obcym rzucać oszczerstw na Polskę nie pozwala. Otóż Hass całej tej jedności moralno-politycznej narodu polskiego nie znosił i nie uznawał. Stwierdzał otwarcie i publicznie, że bardzo mu się ta *Polish creed* nie podoba. W tych warunkach, to co dla niego było wyborem narodu, i identyfikacją z walką o wolność tego narodu, dla innych oznaczało świadome i dobrowolne stawianie się poza tym narodem. Hass nie należał do ludzi, którzy się uskarżają na swoją dolę, nie poddawał się łatwo presjom, i nie można było go namówić, żeby był grzeczny. To był twardy

człowiek. Ale ta sytuacja nie mogła nie pozostawić w nim goryczy strasznej.

Wiem dobrze, że dla wielu taka polskość, jak polskość Hassa będzie czymś nie do przyjęcia. Nie chodzi mi tu o żydożerczych matołków, którzy ostatnio rozmnożyli się w polskiej prasie emigracyjnej w ilościach i jakościach zupełnie przeraźliwych, i którzy nigdy Hassowi nie wybaczą, że nie miał nordyckiej postury. Chodzi mi raczej o tych, którzy pomyślą sobie, że takie rzeczy, jak język czy kraj zamieszkania, choćby dobrowolnie wybrany, są czysto formalnymi aspektami narodowego samookreślenia, i że o wiele istotniejszą rzeczą dla tego samookreślenia będzie gotowość poddania się jakiejś dyscyplinie, gotowość poświęcenia swojego indywidualizmu dla dobra narodu jako całości, a więc to, co Hass odrzucał. Takie koncepcje narodowego samookreślenia wydają mi się zawsze osobliwie ubogie przez założone w nich utożsamienie narodu z władzą, i osobliwie śliskie w tym sensie, że łatwo wypączkowują z nich totalitarne ideologie. Ale nie będę z nimi polemizował, gdyż nie jest to artykuł polemiczny. Jeżeli poruszam tę sprawę, to dlatego, żeby powiedzieć, że narodowe samookreślenie się Hassa, choć nie szło po linii tych koncepcji, nie ograniczało się do momentu języka i kraju zamieszkania. Jego polskość wyrażała się np. w ciągłym uporczywym powracaniu do sprawy odpowiedzialności polskich rządów za różne pacyfikacje Galicji wschodniej, przedwojenne i powojenne, za wysiedlenia Ukraińców i Niemców. Albo do sprawy Ziem Zachodnich, których aneksję w Potsdamie uważał, wierny Leninowi i Róży Luxemburg, za klasyczny „traktat rozbiorczy" w imperialistycznym stylu. Albo do sprawy odszkodowań niemieckich, które interpretował w podobnym duchu. Teoretycznie rzecz biorąc, dla niego, internacjonalnego komunisty, powinny to były być rzeczy tego samego typu i wymiaru co np. ucisk Kurdów w Iraku albo Pusztunów w Pakistanie. Ale jego wyraźnie ucisk Ukraińców w PRL-u obchodził znacznie więcej, niż Kurdowie czy Pusztuni. Teoretycznie rzecz biorąc mogły go także równie dobrze obchodzić pogromy Polaków urządzane przez Ukraińców: wiedział o tych rzeczach doskonale i nie miał najmniejszego zamiaru ich negować. Ale jego właśnie obchodziły pogromy Ukraińców urządzane przez Polaków. Bo jego obchodziła Polska: kraj, który pokochał, i w którym nie chciał mieć więzienia narodów czy punktu etapowego dla przesiedleńców. Klasyczny patriotyzm oznaczał zawsze dążenie do supremacji nad innymi narodami i zarazem zatajanie — w dobrze zrozumianym narodowym interesie — nieprzyjemnych faktów, które się w toku tego dążenia do supremacji wydarzyły. Hass rzucał temu klasycznemu patriotyzmowi wyzwanie, głosząc i praktykując zasadę wydobywania tych nieprzyjemnych faktów na światło dzienne. Identyfikował się przy tym bez zastrzeżeń z uciskanymi mniejszościami narodowymi, choćby tak niepopularnymi, jak Ukraińcy czy Niemcy. Znowu wiem, że wielu pomyśli sobie, że tego rodzaju działalność jest antynarodowa, antypatriotyczna, że graniczy ze zdradą i tp. Ale powtarzam: to nie jest artykuł polemiczny. Mogę tylko powiedzieć, że ten człowiek swoją polskość rozumiał właśnie w taki „antynarodowy", „antypatriotyczny" i „zdradziecki" sposób.

VI

Osobnego wyjaśnienia wymaga trockizm Hassa.

Trockistów uważa się dość powszechnie za stalinistów, którzy przegrali. Uważa się, że gdyby Trocki i jego zwolennicy nie zostali od władzy w ZSSR odsunięci, w równie bezwzględny sposób, stosowaliby te same skrajne formy terroru i dyktatury, które stosował Stalin. Ich krytykę stalinizmu uważa się za czysto taktyczny manewr w celu zdyskredytowania przeciwnika. Uważa się, że trockiści byli równie dalecy od demokracji, jak stalinowcy, ale stroili się w piórka demokratów ze względów propagandowych. Tak się rozumie wypowiedzi Trockiego z ostatniego okresu jego życia, za dwupartyjnością, albo przeciwko monopolowi państwa na rynku pracy. Innymi słowy propagandę trockistowską uważa się za coś podobnego do hitlerowskiej propagandy na temat Katynia albo sowieckiej na temat Oświęcimia. Nie jest to jedyne źródło niepopularności trockizmu. Trockistów uważa się nadto za grupkę typowo emigrancką i kawiarnianą, rozszczepiającą włos na czworo, kłócącą się zażarcie o kwestie, które istnieją tylko w wyobraźni samych trockistów, i z powodu tych kwestii kroczącą od rozłamu do rozłamu. Uważa się też trockistów za ludzi operujących kategoriami myślowymi przebrzmiałej epoki, i nie zdających sobie zupełnie sprawy z tego, że czasy się zmieniły, i że ich doktrynalne schematy zupełnie już do naszej epoki nie pasują.

Wszystkie te zarzuty padały przeciwko Hassowi. Moim zdaniem w jego przypadku zarzuty te były absolutnie nieprawdziwe. Wykazując, że nie miały one zastosowania do Hassa, nie będę twierdził jednak niczego o ich słuszności czy niesłuszności w zastosowaniu do Trockiego i trockistów. Ani nie bronię Trockiego, ani nie popieram tych zarzutów. Tematem tego artykułu jest Hass a nie Trocki: pisanie o Trockim przekraczałoby moje możliwości i moje kompetencje.

Zacznijmy od rzeczy najprostszych. Powiedzenie, że ktoś jest politykiem kawiarnianym i zajmuje się rozszczepianiem włosa na

BIBLIOTEKA NARODOWA

czworo nie ma żadnego sensu, jeżeli ten polityk ryzykuje głową. Zarzuty tego rodzaju mogą ewentualnie mieć zastosowanie w odniesieniu do trockistów Paryża czy Nowego Yorku. (I to też nie w czasach, kiedy dyskusje ideowe z nimi prowadziło GPU przy pomocy majchra, siekiery, czy fałszywej denuncjacji do miejscowej policji). Ale w odniesieniu do trockistów w Warszawie czy w Workucie gadanie takie po prostu nie ma żadnego sensu. Jeżeli istnieje tu jakiś problem, to tylko problem tych, którzy tego rodzaju zarzuty wysuwali. Zarzuty te są bowiem typowym przejawem podwórkowego „pozytywizmu" tj. popularnej w Polsce teorii, która głosi, że należy mniej „gadać", a więcej „robić". Jeżeli potraktować tę ideologię pobłażliwie, to należy powiedzieć że zasadza się ona na zupełnym niezrozumieniu faktu, że wpływanie na opinię publiczną jest doniosłą formą działalności, a nie „gadaniem". Mniej pobłażliwie natomiast można powiedzieć, że to, co ta ideologia głosi naprawdę, to jest zasada „słuchać i nie denerwować władzy przez stawianie kwestii drażliwych".

Zupełnie pozbawiony odrobiny prawdy jest także zarzut oderwania się od rzeczywistości i myślenia kategoriami innej epoki. Głównym powodem, dla którego piszę ten artykuł, jest nie chęć upamiętnienia odwagi, bohaterstwa czy poświęcenia Hassa, lecz danie wyrazu mojemu głębokiemu przekonaniu, że Hass był od tych wszystkich „pozytywistów" i realpolitikerów o wiele mądrzejszy, lepiej zorientowany w sytuacji, trafniej oceniający rzeczywistość. Podstawową myślą Hassa zawsze było, że ten cały „pozytywizm", „pragmatyzm", „liczenie się z rzeczywistością" i tp. nie jest środkiem racjonalnej polityki, lecz tylko i wyłącznie środkiem zapewnienia komfortu moralnego wtedy, kiedy sumienie polityczne jest niebardzo czyste. Ale nawet jeżeli założyć, że celem każdej polityki jst zaadaptowanie się do „epoki" i „sytuacji", to i tak byłyby dane, żeby uznać wyższość Hassa nad jego oponentami, jako tego, kto lepiej tę „epokę" i tę „sytuację" rozumiał. Hass bowiem, prawdopodobnie w wyniku swojej gruntownej znajomości Rosji, potrafił dostrzec na horyzoncie dziejowym nadciągający kryzys ideologii polityki realnej i politycznego „pozytywizmu". Do sprawy tej powrócę jeszcze w ostatnim paragrafie artykułu.

Wreszcie zarzut, który wymieniłem na pierwszym miejcu. Czy Hass był stalinistą, któremu się nie udało? Czy był zwolennikiem dyktatury i terroru?

Do zgniłego, skorumpowanego do szpiku kości reżymu Gomułki Hass czuł tylko pogardę. Nie miał nigdy złudzeń co do „października": wyraźniej niż inni dostrzegał, że „październik" nie naruszył istniejącej struktury władzy w PRL i że konsekwentnie partia ma w dalszym ciągu pełną swobodę manewru w po-

sługiwaniu się batem lub przynętą stosownie do swego widzimisię. Kochał wolność: wolność prawdziwą, nie żadne inne pojęcie chyłkiem pod słowo „wolność" przemycone, nie żadne „rozumienie konieczności" albo „wolność krytyki konstruktywnej". Rozumiał dobrze niebezpieczeństwo tkwiące w procesach koncentracji władzy, choć, jak pamiętam, nie miał wyraźnie sprecyzowanego zdania na temat tego, które formy oddolnej kontroli władzy należałoby uznać za najbardziej pożądane. Pamiętam jak kiedyś powiedział, że zwyczajna, burżuazyjna, parlamentarna demokracja na miejsce Gomułkizmu byłaby w Polsce krokiem naprzód, postępem, a nie regresją. Nie mówi to wiele o jego stosunku do Zachodu, z którym Hass się nigdy nie identyfikował. Rzecz była rozpatrywana w kategoriach mniejszego i większego zła, i żadna z ewentualności nie była traktowana jako ideał czy cel ostateczny. Bardzo wiele natomiast mówi przytoczona opinia o jego stosunku do Gomułkizmu.

Wyczulenie Hassa na problematykę władzy wyrażało się jeszcze i w inny sposób. W ciągłym uporczywym stawianiu zagadnienia wielkiego dygnitarza o hrabiowskich manierach, który poucza maluczkich o awantażach socjalizmu. Zagadnienia dystansu społecznego grupy rządzącej od narodu. Zagadnienia obyczajowości grupy rządzącej. Zagadnienia podziału dochodu narodowego. Zagadnienia „komu się w Polsce dobrze dzieje". Zagadnienia nowej klasy. O wszystkim tym Hass mówił publicznie, w zatłoczonych salach, przy węszących szpiclach.

Czym więc dla tego człowieka był trockizm? Sam Hass odpowiadał na to pytanie, twierdząc, że spośród wszystkich grup antystalinowskiej opozycji w łonie ruchu komunistycznego, jedni trockiści wykazali się stworzeniem jakiegoś trwałego ruchu, jakichś trwałych form organizacyjnych na skalę międzynarodową. Wszystkie inne grupy były efemeryczne i wcześniej lub później się rozlatywały. Nie wykluczam, że pociągała Hassa romantyka sytuacji, w jakiej ruch trockistowski działał: mam na myśli to zupełne osaczenie przez prowokację i bandytyzm, to dziesiątkowanie ruchu przez skrytobójcze morderstwa. Wszystko to prawda, ale myślę, że nie cała prawda. Bo myślę, że dla Hassa trockizm był przede wszystkim wielką tęsknotą. Tęsknotą za rewolucjonizmem, który jeszcze nie przerodził się w nieudolne i nieuczciwe administrowanie. Za braterstwem między ludźmi, które jeszcze nie przerodziło się we wzajemne szpiegowanie i donosicielstwo. Za jakąś elementarną uczciwością, niezgnojoną jeszcze w wewnątrzpartyjnych intrygach personalnych. Za indywidualizmem jeszcze nieznacjonalizowanym. I przede wszystkim za prawdą niezrelatywizowaną, za stosowaniem równych miar do tych samych rzeczy, za nazywaniem rzeczy ich właściwymi nazwami.

Przypomnijmy niektóre doświadczenia, które Hass dobrze znał, och jak dobrze! A więc obrona ZSSR jako pierwszy obowiązek proletariuszy całego świata, i wobec tego Hindusi czy Syngalezyjczycy powinni z rewolucją poczekać. A więc że Niemcy Hitlera nie są państwem kapitalistycznym. A więc kosmopolici, elementy bezojczyźniane. A więc kontrrewolucja na Węgrzech. A więc towarzysze z Bezpieczeństwa, najlepsi, awangarda, prawo do nieco większego komfortu życiowego w uznaniu ich zasług. A więc że nieodpowiedzialne elementy wywołały strajk w jakiejś fabryce. A więc Stalin: towarzysz choć generalissimus. I taki skromny. Wydaje się, że Trocki mógł być zwolennikiem, ideologiem i fanatykiem dyktatury i metod terrorystycznych, ale że tego rodzaju handelek słowami i pojęciami był nie na jego miarę, przynajmniej intelektualnie.

VII

Czy nie sądzę, że pisząc ten artykuł mogę Hassowi zaszkodzić? Dostarczyć pretekstów do dalszych represji? Przesądzić ewentualną sprawę rewizyjną na jego niekorzyść? Czy dla jego dobra nie lepiej by było, gdybym milczał? Gdybym nie ujawniał kompromitujących go faktów? Gdybym nie ujawniał, że byliśmy w bliskich stosunkach, w przyjaźni?

Ludzie kochani! Przez całe lata setki szpiclów notowały z przerażeniem każde słowo tego człowieka, który pojmował swój najwyższy moralny obowiązek w ten sposób, żeby niczego nie bać się publicznie powiedzieć. O jego bliskich stosunkach ze mną wiedziało w Warszawie co najmniej kilkaset osób. Sylwetkę Hassa w mojej książce o „Krzywym Kole" (str. 125-126) kreśliłem, kiedy Hass był jeszcze na wolności, w absolutnej pewności, że zarówno jego rola w Klubie, jak i jego kontakty ze mną były rzeczą publicznie znaną. Teraz moja książka, jeśli ktoś zapragnie do niej w tym celu sięgać, może być jeszcze jednym „dowodem" tego, co i tak było ogólnie wiadome jeszcze przed jej napisaniem. Ale to nie wszystko. Czy człowieka oskarżonego o aktywną działalność przeciwko reżymowi, mogą jeszcze „kompromitować" tego rodzaju „rewelacje", jak przytoczone tu jego opinie na temat tego reżymu? Czy człowieka, który otwarcie mówi na rozprawie sądowej o swoich kontaktach z międzynarodową organizacją rewolucyjną, mogą jeszcze kompromitować dawno przerwane kontakty z politycznie niezaangażowanym studentem Uniwersytetu Kalifornijskiego? Czy na rozprawę rewizyjną człowieka, który mówi na sali sądowej o tępieniu komunizmu w Polsce może jeszcze wpłynąć jakiś artykuł w piśmie emigracyjnym? Przecież to są nonsensy zupełne! Proszę czytelnika, aby na podstawie przedstawionych tu faktów spróbował wniknąć w sytuację Hassa, i odpowiedzieć na pytanie, czego ten człowiek może w tej chwili pragnąć, o czym marzyć? Czy jest możliwe, żeby pragnął on milczenia wokół jego sprawy w nadziei, że w ten sposób uzyska jakieś okruchy łaski administracji sądowej czy więziennej? Czy jest możliwe, żeby pragnął on, żeby nikt o jego losach nie wiedział i nie słyszał? Czy jest możliwe, żeby pragnął on z góry udaremnić jedyną nikłą szansę honorowego złagodzenia represji, jaka mu jeszcze pozostała: szansę, że władza się cofnie pod naciskiem krajowej lub zagranicznej opinii publicznej? Czy jest możliwe, żeby wymagał on bierności i milczenia od jedynego bodaj przebywającego na Zachodzie człowieka, który go naprawdę dobrze znał? Odpowiedź na wszystkie te pytania jest dla mnie tak absolutnie oczywista, że nie mam najmniejszej wątpliwości, że jedyny sposób zrobienia czegoś dla dobra Hassa, to krzyczeć o nim, krzyczeć jak najgłośniej*).

A poza tym coś się raz na zawsze skończyło tego pamiętnego dnia, kiedy na procesie Modzelewskiego i Kuronia demonstranci zaczęli wznosić okrzyki i śpiewać „Międzynarodówkę". To już nie miało charakteru demonstracji po ogłoszeniu wyroku na Wańkowicza, która w gruncie rzeczy polegała na tym, że czytelnicy jego historycznych powieści złożyli hołd popularnemu pisarzowi. Tym ludziom, którzy demonstrowali i śpiewali „Międzynarodówkę" na procesie Modzelewskiego i Kuronia musiało przyjść do głowy, że mogą swoim postępowaniem władzom dostarczyć pretekstów, oskarżonym zaszkodzić, przesądzić sprawę na ich niekorzyść i tp. W tych warunkach przyjść im to do głowy musiało. Ale jak świadczą fakty, zaraz z głowy wyszło. Jakoś tym razem nie podziałało cudowne ubeckie panaceum na wszystkie buntownicze skłonności: „Buntując się, narażasz nie siebie, lecz innych. Dla dobra innych lepiej stul pysk". Znaczenie tego wydarzenia trudno przecenić. Oznacza ono, że na scenę dziejową wkroczyła nowa generacja rewolucjonistów, która tego rodzaju życzliwych rad i apelów do ludzkiego altruizmu po prostu nie przyjmuje do wiadomości. Oznacza to wytrącenie władzom z ręki najskuteczniejszego i nic ich nie kosztującego środka paraliżowania wszelkiej opozycji. Już są dowody, że władze zareagowały konsternacją: jak w końcu można sobie wytłumaczyć cały bezsens

*) Ostatecznie w razie pojawienia się jakichś nowych nieprzewidzianych elementów sytuacji Hass może zawsze powiedzieć, że jestem prowokatorem, podżegaczem, agentem imperializmu. Osobiście czerpałbym z takiego obrotu sprawy tylko satysfakcję. Oznaczałoby to dla mnie bowiem, że Hass nareszcie pomyślał o własnej skórze: w końcu dla mnie jest on przede wszystkim przyjacielem, a dopiero na drugim miejscu politykiem. Ale bardzo wątpię, czy coś takiego przejdzie mu przez gardło.

tych kajdan, jeżeli nie jako bezmyślny odruch dokonany pod wpływem szoku? Dlatego pierwszy krok tej nowej generacji rewolucyjnej jest już sukcesem.

VIII

Józef Mackiewicz pisał mi kiedyś w jakimś liście, że na łamach rosyjskiej prasy emigracyjnej poruszył raz zagadnienie zupełnego zaniku w naszych czasach typu osobowego rosyjskiego rewolucjonisty. Dlaczego ta zdolność do bezgranicznego oddania sprawie, bohaterstwa i poświęcenia, jaka cechowała rewolucjonistów rosyjskich walczących z caratem dzisiaj się już nie zdarza? — taki był typ pytań, jakie Mackiewicz zadawał. Wtedy Mackiewiczowi napisałem, że w gruncie rzeczy nie tak trudno na to pytanie odpowiedzieć. A dzisiaj myślę, że jednak w samym pytaniu tkwi błąd, że mimo wszystkich pozorów typ osobowy rosyjskiego rewolucjonisty nie zanikł zupełnie, że zdolność do bezgranicznego bohaterstwa i poświęcenia dla sprawy znowu się zdarza. Co więcej, są dane, że ten typ osobowy pojawił się na nowo w tym samym kraju, w którym istniał w tamtej epoce: w Rosji.

Zaczęło się chyba od napisów „Ręce precz od Węgier!" na uniwersytecie Moskiewskim i Leningradzkim w r. 1956. Zachodni dziennikarze uznali to za przejaw „odwilży" na równi z deklaracjami w rodzaju „Pod przewodem tow. Chruszczowa przezwyciężymy błędy i wypaczenia okresu kultu jednostki i zbudujemy nowe społeczeństwo oparte na leninowskich normach praworządności". W powodzi odwilżowego gnoju utonęła prawda, że język tych napisów był naprawdę rewolucyjny, że nie było w nim minoderii i nie czaiło się kłamstwo. Żeby nie wiem jak niedoświadczeni chłopcy to pisali, musieli się liczyć z tym, że może być zastosowana zbiorowa odpowiedzialność i masowe represje przeciwko niewinnym. Potem co jakiś czas dochodziły na Zachód urywkowe wiadomości o nieporządkach na sowieckich uniwersytetach. Najczęściej przybierały one formę pozornie apolitycznego demonstrowania na rzecz popularnych jednostek stawiających opór procesom kulturalnej uniformizacji. Typowym przykładem może być demonstracja na cześć obrzucanego wyzwiskami Jewtuszenki. Ostatnio nieporządki stały się znowu polityczne bez maski: taki charakter mają niedawne protesty studentów w sprawie Siniawskiego i Daniela. Domaganie się uwolnienia pisarzy lub ich jawnego procesu jest znowu uderzeniem pięścią w stół, i nie ma nic wspólnego z asekurowanym wygłupianiem się odwilżowych „liberałów". Choć nie mam do takiego wniosku żadnych podstaw, przypuszczam, że zarówno w przypadku napisów z r. 1956, jak i w przypadku wystąpień w obronie dwóch pisarzy motyw był patriotyczny: za wszelką cenę, nie oglądając się na możliwe konsekwencje, pokazać światu, że ta Rosja nie jest aż tak zeświniona, żeby nie znalazł się nikt, kto by zaprotestował, kiedy naród jest mordowany, albo kiedy tępi się najwartościowszych pisarzy.

Równolegle z tymi wypadkami w Rosji, radykalne nonkonformistyczne ruchy studenckie dały o sobie znać w wielu różnych krajach świata. Najpotężniejszym z nich jest dziś niewątpliwie ruch studencki Stanów Zjednoczonych. W Stanach Zjednoczonych nie ma terroru policyjnego, i ryzyko podejmowane przez studentów jest nieporównywalne z ryzykiem Rosjan. Pod tym względem analogii nie ma. Natomiast pod innym względem analogia jest, i to wyraźna. Ruch amerykański oznacza zmierzch płaskiego konformizmu, który tak długo dusił życie akademickie w tym kraju: zmierzch filozofii własnej skóry, zmierzch „liczenia się z rzeczywistością", zmierzch „myślenia kategoriami amerykańskimi", zmierzch zasady, że to, co rzeczywiste jest rozumne. Osobiście mam mnóstwo gorzkich myśli na temat tego ruchu. Ale jest widoczne, że zdziałał cuda. Uderza przy tym rosyjski rodowód tego ruchu. W domach bardzo wielu działaczy studenckich wyniesione z Rosji tradycje są jeszcze bardzo żywe. Rosja obecna, ta sprzed półwiecza, i jeszcze dawniejsza, wciąż jeszcze pasjonuje tych ludzi. Kiedy czytam utalentowanego ideologa tego ruchu, Paula Goodmana, wciąż myślę: „jakie to rosyjskie!"

W Polsce pierwszymi zwiastunami nowej generacji rewolucjonistów byli chyba dopiero Modzelewski, Kuroń, Hass i inni członkowie tej samej grupy. Antecedencje rosyjskie tej grupy znowu wydają się wyraźne. Kajdany, cokolwiek miały znaczyć, dobitnie świadczą o jednym: że władze połapały się, że mają do czynienia z odmiennym, dotychczas niespotykanym typem więźnia politycznego. I tak jest rzeczywiście. W Poznaniu, czy w Warszawie w Październiku 1957, czy w innych miastach przy innych okazjach robotnicy wykazali ogromną determinację. Ale brakło im programu, i nie zawsze wiedzieli dobrze o co walczą. „Po Prostu" — jakiekolwiek były jego zasługi, brakowało zdolności wyciągania konsekwencji do samego końca. „Krzywe Koło" i inne przejawy „intelektualnej" opozycji, to były jednak raczej intelektualne debaty, niż walenie pięścią w stół. W porównaniu z tym wszystkim dopiero grupa Modzelewskiego wydaje się być klasyczną grupą rewolucyjną.

Hass był przypuszczalnie w tej grupie jednostką intelektualnie najwybitniejszą. Przypuszczalnie formułował cele i zadania raczej, niż je wykonywał. Wspomniałem wyżej o całych jego namiętnych polemikach z ideologami dostosowywania się do „epo-

ki" czy „rzeczywistości". Ten element jego światopoglądu uważam za absolutnie naczelny, najważniejszy. Hass dyskwalifikował to stanowisko na gruncie intelektualnym raczej niż moralnym: cały ten heglizm że to co rzeczywiste jest rozumne, że to co istnieje jest słuszne dlatego że istnieje, był dla niego przede wszystkim samooszukańczy i bezmyślny, a dopiero na drugim miejscu służalczy i tchórzliwy. Ale z drugiej strony — jak także miałem już okazję wspomnieć — Hass znacznie przenikliwiej umiał obserwować tę rzeczywistość, niż jej gloryfikatorzy. Na pewno z nostalgią spoglądał w przeszłość: do czasów, kiedy myślenie ludzkie nie było jeszcze do tego stopnia znacjonalizowane i skolektywizowane. Ale zarazem potrafił patrzeć w przyszłość. Wiedział chyba, że epoka myślenia znacjonalizowanego i skolektywizowanego nie może trwać wiecznie: musiał to wiedzieć, bo inaczej całe to jego łapanie ludzi za guzik i przekonywanie ich nie miałoby sensu. Może myślał sobie, że nowe pokolenie, na które tak liczył, po prostu będzie miało dosyć tej nudy śmiertelnej, która tak cechuje epokę lojalności wobec wszelkiej władzy. Może liczył na to, że wszystkie te zabiegi samooszukańcze, wszystkie te zgniłe kompromisy, wszystkie te heroiczne odwroty, cała taktyka kapitulacji w imię wyższych dóbr całe to uleganie prymitywnym prowokacjom „dla ocalenia rzeczy najcenniejszych" ukaże się wreszcie oczom ludzkim w całej swojej nędznej okazałości tak, że bezużyteczność tych zabiegów stanie się oczywista. Na pewno liczył na to, że nędzarze nie będą wiecznie tolerować luksusu i hrabiowskich manier właścicieli Polski Ludowej. Jakiekolwiek były jego przesłanki, postawił chyba na dobrego konia. Wraz z pojawieniem się nowej generacji rewolucjonistów nad epoką myślenia skolektywizowanego zaczynają się gromadzić groźne chmury.

Niezłomność i odwaga Hassa były często przedmiotem kpin. Słuchając jego przemówień, argumentów czy ripost wydziwiali i dowcipkowali ludziska, że jakoś go w Workucie źle uczono, albo że może on pragnie pojechać do Workuty po raz drugi. W ogóle Hass nie był i nie mógł być popularny. Hass był podejrzliwy, egocentryczny, niepohamowany w swoich reakcjach, skłonny do wszelkich skrajności: nic z idyllicznej duszy słowiańskiej. Ale przede wszystkim mącił on spokój ludzki, mącił ludzki komfort moralny i intelektualny, odbierał ludziom pewność przekonań i zadowolenie z postępowania. Określenie, które najczęściej na jego temat padało, brzmiało: „to jest człowiek niebezpieczny". Trudno właściwie temu zaprzeczyć. Z tego samego założenia zresztą wyszła policja, nakładając mu kajdany.

Ale mylili się ci, co uważali go za Don Kiszota. Nie tylko dlatego, że Don Kiszotów ostatecznie nie zakuwa się w kajdany.

Pozostał mi żywo w pamięci pewien szczegół: Hass lękał się przejścia przez ulicę przy dużym ruchu ulicznym. Nie myślę o tym jako o agorafobii: raczej chyba była to kwestia nieprzyzwyczajenia do życia w wielkim mieście: w Workucie ostatecznie nie wiele jest samochodów. Otóż tę słabostkę ludzką Hass gotów był w sobie tolerować. Nie próbował nawet tego swojego strachu opanowywać. To tylko strach przed policją, przed represjami, przed aparatem ucisku Hass starał się opanować i w końcu opanował zupełnie. Bo dobrze wiedział jak ten strach paraliżuje zdolność myślenia i jak intelektualnie degraduje. I dzięki temu ten prawdziwy polityczny realista stał się prekursorem i ideologiem nowej generacji rewolucjonistów, których — jak o tym wymownie świadczą ich kajdany — już niesposób zastraszyć, zbłaźnić ani zgnoić.

Witold JEDLICKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

Tel: FRE. 7888

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

PRZYŚPIESZANIE SIĘ I NIERUCHOMOŚĆ

Od przeszło stu lat żyjący na Zachodzie odnoszą wrażenie, że bieg historii przyśpiesza się nieustannie[1]. Pewien historyk amerykański twierdzi nawet, że szybkość zmian, jakim ulega otaczający nas świat, wzrasta w proporcji geometrycznej.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy takie same wrażenia odnoszą mieszkańcy innych stref i kontynentów, czy też mamy tu do czynienia ze zjawiskiem lokalnym, z wnioskiem wysnutym z obserwacji przemian, zachodzących w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych.

Gdy Jules Michelet sformułował swe wrażenia przyśpieszania się biegu historii, Europa wyglądała inaczej niż dziś. Dnia tego Michelet patrzył na defilujące ulicami Paryża grupy republikanów niemieckich, włoskich, polskich, czeskich i td. Zrodzony nad Sekwaną ruch rewolucyjny szerzył się aż do Neapolu i Węgier. Europa wydała się bardziej jednolita niż obecnie.

W wieku XX-tym, jak niegdyś w wiekach średnich, Europa rozpadła się na dwie części o odmiennej strukturze politycznej, odmiennych pojęciach i obyczajach. W braku wspólnego języka Wschód i Zachód przyglądają się sobie nieufnie poprzez zasieki z kolczastego drutu.

Czy mieszkańcy wschodniej części kontynentu ulegają również wrażeniu przyśpieszania się biegu historii? Zjawiska i wypadki znajdujące się w ich polu widzenia nie nasuwają takich wniosków. Ich warunki materialne nie zmieniły się od pół wieku: to samo zgęszczenie ludności w nędznych mieszkaniach, ten sam brak towarów, ta sama niska stopa życiowa.

1. Por. Notatnik z marca 1963, *Kultura* Nr 185.

Znający wśród nich historię mogą porównywać bieg rewolucji francuskiej i rosyjskiej. W ciągu 50 lat Francja widziała upadek monarchii, rewolucję, cesarstwo, restaurację, drugą rewolucję i znajdowała się u progu trzeciej, po której miało przyjść drugie cesarstwo. W Rosji rewolucja zatrzymała się na epizodzie terroru. Zjawisko, które we Francji było przejściową fazą rewolucji, przybrało w Rosji pozory instytucji i trwa już bez mała pół wieku. *Les tricoteuses*, które przysłuchiwały się obradom konwentu wydając nieżyczliwe pomruki pod adresem wrogów ludu wysyłanych na szafot, były przejściowym wyrazem złego humoru paryżanek. Z tego co wiemy o zachowaniu się publiczności na procesach Brodskiego oraz Siniawskiego i Daniela można by wnosić, że w Moskwie działa już drugie lub trzecie pokolenie *tricoteuses*. Psychoza oblężonego miasta, zagrożonego przez wrogów zewnętrznych, zdrajców i sabotażystów, trwa od czasów Dzierżyńskiego. Miraż zwycięstwa nad chylącym się do upadku światem kapitalistycznym unosi się od pół wieku nad mizerią dnia codziennego. Rolnictwo walczy wciąż z trudnościami, na które dwa pokolenia agronomów i administratorów nie znalazły żadnego lekarstwa.

A „liberalizacja"? Liczący na jej powolne postępy zdają się nie brać pod uwagę, że od NEPu, pierwszej i najpoważniejszej próby liberalizacji, podjętej przez samego Lenina, miną w tym roku 44 lata. Dziesięć lat dzieli nas od „odwilży". Próby te minęły bez śladu, nie zostawiając po sobie nawet dobrej pamięci. W roku ubiegłym zaczął się w całym bloku wschodnim odwrót od tendencji liberalnych.

Immobilizm uderza również w dziedzinie nieco luźniej związanej z polityką i gospodarką, mianowicie w literaturze i sztuce. Malarze sowieccy naśladują *pieredwiżników* z drugiej połowy XIX wieku. Techniką dziadów kładą na płótna te same brudne farby, jak gdyby impresjoniści i *les fauves* nigdy nie istnieli. W historii sztuki na próżno szukalibyśmy równie trwałych konwencji artystycznych. Czytelnik sowieckich nowości wydawniczych nie bez pewnego zdumienia poznaje w nich często nieudolne naśladowanie techniki pisarskiej XIX wieku. Pamiętamy zresztą, z jakim uporem cenzura nie dopuszczała do Rosji Kafki, którego głównym grzechem była chyba pewna nowość formalna. Trudno pojąć, dlaczego literatura zaangażowana, mająca bronić rewolucji i ustalonego przez nią porządku rzeczy, musiała posługiwać się formami tradycyjnymi, wyszłymi gdzie indziej z obiegu, i które samym czytelnikom sowieckim wydawały się zapewne przestarzałe, niemodne. Rzecz w tym, że instytucje patronujące w Rosji

kulturze i sami zresztą pisarze i artyści trzymają się kurczowo spadku po XIX wieku, zachowując instynktownie postawę konserwatywną, niechętną wszelkiej nowości.

W pierwszych latach gotowość do współpracy w konserwacji ustalonego przez rewolucję porządku rzeczy była być może bardziej zrozumiała. Wspomnienia wojny cywilnej były świeże, i najgorszy nawet porządek mógł się wydawać lepszy od krwawego rozrachunku, jaki nastąpiłby po upadku nowych rządów. Była w tym siła inercji, broniąca wszystkich dyktatur. Dziś, gdy tylko najstarsi wiekiem pamiętają jeszcze wojnę domową i początki rewolucji, objaśnienie takie nie wystarcza. Przyczyn immobilizmu i konserwatyzmu sowieckiego szukać więc trzeba w naturze nowych sił społecznych, które doszły do głosu w Rosji, a potem w innych krajach bloku wschodniego.

Mamy tu na myśli przede wszystkim „nową klasę", opisaną przez Milovana Dżilasa.

Zniesienie własności prywatnej nie prowadzi niezbędnie do równości w korzystaniu z własności kolektywnej. Różnice uprawnień zaznaczyły się już w pierwszych dniach rewolucji. Z relacji mojej matki przypominam sobie szczegół następujący. Wiosną 1919 w Winnicy przetrząsano całe dzielnice w poszukiwaniu aktorki Mawritanskiej. Jeden z czekistów biorących udział w obławie zastukał do drzwi. — *Niet-li zdieś aktrisy Mawritanskoj?* — A widząc na stole świeżo napoczętą paczkę herbaty, której zaczynało już brakować w mieście, zapytał: — *Czej eto czaj?* — *Moj.* — Czekista poczerwieniał z oburzenia. — *Wasz?!... Narodnyj.* — I schował paczkę do kieszeni.

Różnice uprawnień wzrastały w miarę stabilizacji nowego porządku. Administratorzy majątku narodowego wykroili zeń na swój użytek liczne beneficja i przywileje. Dżilas notuje: „Nowej klasie przypadły w udziale wille podmiejskie, najlepsze meble i inne przedmioty zbytku. Na użytek elity biurokracji urządzono specjalne rezydencje i ekskluzywne zakłady wypoczynkowo-uzdrowiskowe. W państwach komunistycznych sekretarze partii i szefowie tajnej policji cieszą się nie tylko autorytetem, lecz korzystają również z bardziej materialnych przywilejów w postaci luksusowych mieszkań i najdroższych samochodów. Stojący na niższych szczeblach hierarchii biurokratycznej korzystają z przywilejów nieco mniejszych, proporcjonalnych do zajmowanego stanowiska".

Do nowej klasy weszli również dobrze widziani naukowcy, pisarze i artyści. W swej relacji z podróży do Polski Hans Zbinden pisze, że wielu pisarzom i uczonym powodzi się tam bardzo dobrze. O ich domach wypoczynkowych dodaje, że pod tym

względem Polska wyprzedziła Szwajcarię, gdzie tego rodzaju reprezentacyjnych fundacji dla pisarzy dotąd nie znano.

Sowietolodzy utrzymują, że warstwa średnio uprzywilejowanych ma tendencję do rozszerzania się. Wymagania jej wzrosły i zróżnicowały się. Bohdan Czajkiwśkij[2] widzi w tym nawet zalążek gospodarki rynkowej, bo nowa klasa stała się konsumentem wybrednym, nie chce towarów produkowanych w trybie ogólnego planowania i szuka czegoś lepszego. O rafinacji jej potrzeb wnosić można z pojawienia się turystów sowieckich we Włoszech. Od znajomych, którzy oglądali ich w Wenecji, słyszałem, że byli porządnie ubrani i zachowywali się jak ludzie dobrze wychowani.

Nie jest to jednak nowa burżuazja. Nad przywilejami ich ciąży niepewność posiadania. Mieszkania ich są służbowe. Wiemy, że — od Cziczerina do Chruszczowa — wszyscy dygnitarze tracący swe stanowiska tracili również mieszkanie, samochód, prawo pobytu w ekskluzywnych domach wypoczynkowych i td. Pisarzom wypadłym z łask grozi los Brodskiego, zesłanego za uchylanie się od użytecznej społecznie pracy. Uprzywilejowani nie posiadają swych prerogatyw, są jedynie profitariuszami, wykorzystywującymi tymczasowo stanowisko służbowe lub fawory hierarchów. Są w położeniu idącego po linie, którego najlżejszy wstrząs może strącić w przepaść.

Najpewniejsze wydaje się jeszcze położenie tzw. technokratów, zajmujących swe stanowiska z tytułu wyszkolenia. Nie są jednak silni liczebnie. Można to wnosić z notatki, jaka ukazała się w prasie sowieckiej o powołaniu komisji, mającej opracować model wzorowego kołchozu[3]. W skład jej weszło 16 ministrów rolnictwa republik związkowych, 4 agronomów, 2 przedstawicieli nauk pomocniczych, 57 kierowników i pracowników kołchozów i 70 urzędników partyjnych, to znaczy osób wnoszących jako kompetencję do prac komisji swą lojalność partyjną, strach przed utratą posad i niechęć do wszelkich zmian. Powyższy skład komisji pozwala bez większej omyłki przypuszczać, że opracowany przez nią projekt wzorowego kołchozu nie wniesie do sytuacji rolnictwa nic nowego.

Własność prywatna została tak oczerniona przez moralistów XIX wieku, że nie podejmuję się tu jej bronić. Nie wydaje się jednak, aby jej zniesienie i zastąpienie klas posiadających przez profitariat było operacją szczęśliwą. Niepewny swych prerogatyw, profitariat obawia się nie tylko przewrotów i rewolucji, lecz wszelkich zmian w ogóle, utrwalając w ten sposób stan

2. *Suczasnist'* ze stycznia 1966.
3. *Suczasnist'* z lutego 1966.

rzeczy nie dający nikomu zadowolenia. Przyjście jego do władzy było końcem rewolucji i początkiem immobilizmu. Cokolwiek o niej myśleć skąd inąd, krytyka chińska systemu sowieckiego w jego stanie obecnym nie jest pozbawiona słuszności.

Paweł HOSTOWIEC

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXX

MIKOŁAJ ARŻAK

ODKUPIENIE

I INNE OPOWIADANIA

Zbiór opowiadań sowieckiego pisarza, którego arbitralne aresztowanie jest od szeregu tygodni światowym skandalem.

Opowiadania te były drukowane w „Kulturze" na przestrzeni ostatnich lat.

Str.128 Cena 9 F (dol. 2,00 ; 13/6).

◆

TOM CXXI — Seria "Archiwum Rewolucji"

ARTHUR KOESTLER

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Historia rozczarowań i powodów odejścia od komunizmu wybitnego pisarza.

Str. 240 Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM CXXII — Seria "Archiwum Rewolucji"

MICHEL GARDER

AGONIA REŻYMU W ZSSR

Przełożyła z francuskiego Zofia HERTZ

Str. 144 Cena 9 F (dol. 2,00; 13/6)

Fragment z dziennika

(Styczeń 1966) Rok z górą mija odkąd osiedliłem się w Vence, o dwadzieścia kilometrów od Nicei, na zboczu Alpes Maritimes — miejscowość szykowna, nie brak rezydencji wykwintnie ukrytych w kępach palmowych, za murami z róż, w gęstwinie mimoz.

Nieraz z okna widzę na placyku po kilka Rolls Royce'ów, których właściciele kupują na targu mleko, lub krewetki.

Oprócz Rolls Royce'ów, Jaguary.

◆

Kto by chciał wiedzieć, co ze mną się działo w ciągu tego, rocznego już prawie, mojego milczenia...

W Royaumont, pod Paryżem, trzy miesiące spędziłem. Potem uciekłem przed jesienią, naprzód w okolice Cannes, do La Messuguière. Zajmowałem pokój, w którym Gide mieszkał przed laty. Moja ścieżka wstępuje na koniec na ślad ludzi, dobrze mi znanych od dawna, jak bym dosięgał ich fizycznie *post mortem* i odzywa się we mnie głos: byłeś wygnany.

Zamieszkałem wreszcie w Vence. Mieszkanko przyjemne, pięć balkonów, cztery widoki, trzy kominki. Pomiędzy Alpami, wrącymi od światła, morzem niebieszczącym się w dali, oraz starożytnymi uliczkami czcigodnej mieściny z resztką zamku baronów de Villeneuve et de Vence.

◆

W sześćdziesiątym pierwszym roku życia osiągnąłem to, co normalnie człowiek zdobywa około trzydziestki: życie rodzinne, mieszkanie, pieska, kotkę, wygody... A też niewątpliwie (wszys-

tko o tym świadczy) stałem się „pisarzem". Ta śmieszna historia, wlokąca się dziwacznie i niemrawo od wczesnej młodości przez całe moje życie, jakoś nabrała kolorów, oto jestem „pisarz".

Tylko że wciąż dymi i huczy we mnie brzeg porzucony dwa lata temu, tam, za Gibraltarem, wyspami Kanaryjskimi, za oceanem, poniżej wzgórz brazylijskiego wybrzeża i plaż Urugwaju. Argentyna wydaje mi się stąd dysząca pianą i wiatrem oceanu, nie wiem dlaczego. Mam ją w sobie, jak coś ciemnego, niewyraźnego, zagadkowego. Nigdy chyba nie zdołam oswoić się z Argentyną, ciągle się waham, raz wydaje mi się, że ona była mi sądzona, w moich była przeznaczeniach, a znów potem przychodzi mi na myśl, że nie, że to było coś przypadkowego, z zewnątrz, jak skok zwierza w lesie, napastliwy.

A też jest dla mnie przykre, że z owego czasu argentyńskiego tak mało zostanie. Gdzież są ci, co mogliby mnie opowiedzieć, opisać, przekazać mnie, jakim byłem? Ludzie, z którymi obcowałem, nie byli przeważnie ludźmi pióra, trudno wymagać od nich barwnych anegdot, szczęśliwej charakterystyki, udanej sylwetki... i, trzeba przyznać, ja z każdym byłem inny, więc nikt z nich nie wie, jakim byłem.

Nieprzyjemnie mi się robi, gdy poczta dostarczy mi, od czasu do czasu, tego co się pisze o mnie w Argentynie. Jak było do przewidzenia, ucharakteryzowano mnie na dobrodusznego wujaszka, przyjaciela młodych, w tych wspominkach, artykulikach, jestem konwencjonalną postacią artysty „niezrozumianego" i odepchniętego przez środowisko. Cóż! *Tu l'a voulu, Georges Dandin!* Dlaczego wybrałeś sposób bycia za trudny do opisania — system masek zbyt skomplikowany? Ludzie przezorni dbają, by ich żywot nadawał się do wspominków.

W każdym razie jest pewne, że tam, za oceanem, nawet wspomnienie o mnie ulega rozkładowi, umiera.

Czy tu, na Riwierze, zdołam jeszcze raz ożyć? Póki co jestem jak ton naciśniętego klawisza, więcej we mnie śmierci, niż życia. Za późno!

◆

Gdzieś w okolicach maja ukazał się „Kosmos", na razie po polsku, w wydaniu „Kultury".

Ten utwór chętnie nazywam „powieścią o tworzeniu się rzeczywistości". A ponieważ powieść kryminalna jest właśnie tym — próbą organizacji chaosu — więc „Kosmos" ma po trosze formę kryminalnego romansu.

Ustalam dwa punkty wyjściowe, dwie anomalie, bardzo od siebie odległe: a) wróbel powieszony; b) skojarzenie ust Katasi z ustami Leny.

Te dwie zagadki zaczną domagać się sensu. Jedna przeniknie drugą, dążąc do całości. Rozpocznie się proces domysłów, skojarzeń, poszlak, coś pocznie się tworzyć, ale embrion raczej potworny... i ta mroczna szarada, niepojęta, wzywać będzie swego rozwiązania... szukać wyjaśniającej, porządkującej idei...

Jakież przygody, awantury z rzeczywistością, podczas takiego jej wywalania się z mgły!

Logika wewnętrzna i logika zewnętrzna.

Podstępy logiki.

Manowce intelektualne: analogie, opozycje, symetrie...

Z nagła wzrastający rytm dytyrambiczny formującej się wściekle Rzeczywistości. I jej rozpad. Katastrofa. Wstyd.

Nagłe przepełnienie faktem *nadmiernym*.

Tworzenie się bocznych odnóg... ciemnych jam.... zatorów... zahamowania, wiry... skręty....

Etc. etc. etc.

Idea krąży wokół mnie, jak dzikie zwierzę...

Etc.

Moja współpraca. Ja po tamtej stronie, po stronie szarady. Ja, jako ten, co sobą usiłuje dopowiedzieć szaradę. Ja porwany wirem zdarzeń, szukających Kształtu.

Na próżno rzucam się w ten wir, żeby kosztem szczęścia mego...

Mikrokosmos — makrokosmos.

Mitologizacja. Dystans. Echo.

Wywalenie się nagłe *logicznego* absurdu. Bezwstyd.

Punkty odniesienia. Leon i jego nabożeństwo.

Etc. etc.

◆

Jeszcze w związku z „Kosmosem": z bezmiaru dziejących się zjawisk wokół mnie, wyławiam jedno. Spostrzegam, na przykład, popielniczkę na moim stole (reszta przedmiotów na stole usuwa się w niebyt).

Jeśli zdołam uzasadnić, dlaczego popielniczkę akurat zauważyłem („chcę strząsnąć popiół z papierosa") wszystko jest w porządku.

Jeśli spostrzegłem popielniczkę przypadkowo, bez żadnej intencji, i nie wracam więcej do tego spostrzeżenia, też wszystko, jak trzeba.

Jeśli jednak, zauważywszy to zjawisko bez znaczenia, powrócisz do niego po raz drugi... biada! Dlaczego znów ją zauważyłeś, jeśli bez znaczenia? Ach, więc jednak coś znaczy dla ciebie, jeśli powróciłeś?... Oto jak, przez sam fakt, że bezprawnie skupiłeś

się na tym zjawisku o sekundę dłużej, rzecz ta już zaczyna się wyróżniać, staje się znamienna... Nie, nie, (bronisz się) to zwykła popielniczka! — Zwykła? Dlaczego bronisz się przed nią, jeśli zwykła?

Oto jak zjawisko staje się obsesją.

Czy rzeczywistość z istoty swojej jest obsesjonalna? Wobec tego, że światy nasze budujemy kojarząc zjawiska, nie zdziwiłbym się, gdyby u prapoczątku czasów było *skojarzenie dwukrotne*. Ono wytycza kierunek w chaosie i jest początkiem ładu.

W świadomości jest coś takiego, jakby sama dla siebie była pułapką.

◆

W tym też czasie, tak w końcu kwietnia i początkach maja, ciężko głupie miałem przeżycie, ze dwa tygodnie byłem chory z upokorzenia.

Nie zapominajmy, że poeta jest istotą poufną, nocną, nieomal podziemną, artysta ma naturę nietoperza, szczura, kreta i mimozy. Byłem pewny, że w tym roku nie mam szans żadnych na załapanie dziesięciu tysięcy dolarów Międzynarodowej Nagrody Wydawców. Prasa nie wymieniała mnie w liczbie kandydatów i wytłumaczono mi, że taki a taki układ względów, interesów, taktyk i procedur wyrzuca mnie na margines. Nie bardzo więc przejmowałem się obradami jury, tuż obok tutaj, w pobliskim Vallescure. Ale w trzecim, czy czwartym, dniu obrad jedna dziennikarka włoska, która przyjechała z Vallescure, żeby robić ze mną wywiad, mówi, że coraz gęściej mowa o mnie, że „Pornografia" zaczyna się wybijać z kilkudziesięciu dyskutowanych utworów. To wystarczyło. Żądza mnie chwyciła. Dolary! I potem ciągle ktoś telefonował, dolary, dolary, w finale już tylko rozgrywka pomiędzy Saulem Bellowem i mną, dolary! W dniu, w którym miał zapaść wyrok, moja godność była szmatą, moja suwerenność głupstwem, dolary, dolary dolary...

Które z upływem minut, niknęły... o piątej po południu piłem kawę w kawiarence na placu, dolary, gdy wtem nadjechali: Bondy z żoną, pisarka grecka Kay Cicellis, Seaver, dyrektor Grove Press i jeszcze parę osób, wszyscy z Vallescure. Relacja z tej dramatycznej rozgrywki, w której, gdyby nie... Ba! Gdyby nie to, że delegacja hiszpańska, będąc w zasadzie za mną, postanowiła jednak wysunąć w pierwszym głosowaniu pewnego pisarza Ameryki Łacińskiej, żeby mu zrobić nieco reklamy... Ba! Gdyby „Pornografia" nie nazywała się „Pornografią"... bo pech zdarzył, że to samo jury przyznało kilka dni temu nagrodę dla młodych Amerykaninowi za powieść troszkę drastyczną, więc

obawiano się tego tytułu, że to niby dwa grzyby w barszcz... Ba! Gdyby nie taktyka delegacji niemieckiej i pewne interesy wielkich domów wydawniczych... Ba! Gdyby...

Relata refero. Ja coś zacząłem, że właściwie mógłbym wziąć adwokata i wytoczyć proces temu jury. No, tak! Podstawy prawne takiej akcji sądowej są niewątpliwe. Przyznanie tej nagrody, największej po Noblu, to sprawa poważna. Członkowie jury są obowiązani wedle statutu przyznać nagrodę za książkę najlepszą pod względem artystycznym, ten jeden jedyny wzgląd ma decydować. Tymczasem, jak widać ze sprawozdań prasowych, bierze się pod uwagę względy i względziki nie mające nic wspólnego z jakością artystyczną: dać temu, bo „trzeba by nagrodzić kogoś z *nouveau roman français*", dać tamtemu, bo „czas na Amerykę Łacińską"... członkowie jury popijając whisky gaworzą sobie na wszystkie możliwe tematy. Byłoby ciekawe, mówiłem, wygrać ten proces. To by wywołało lawinę innych procesów, wszyscy poszkodowani zażądaliby rewizji wszystkich nagród i to by doprowadziło do zlikwidowania Nagrody jako takiej... tego napiwka, tej kompromitacji...

Zagadano mnie, ha, ha, co za paradoksy, potem Seaver wziął mnie na stronę, wyłuszczył pewne propozycje w imieniu Grove Press, dolary, dolary, poczułem się nieco lepiej, a w następnych dniach jeszcze coś niecoś kapnęło (bo w gazetach dużo pisano, że tylko jednym głosem przepadłem), więc niby jeszcze lepiej się poczułem. A jednak czułem się potwornie.

Proszę zrozumieć: my, artyści, doskonale znamy nikłość, zwiewność, naszych poczynań. Oczywiście, zaczernianie papieru urojonymi historiami nie jest poważnym zajęciem. Jakże się tego wstydziłem w pierwszych latach mojego pisania, jak się czerwieniłem, gdy ktoś mnie na tym przyłapał! Jeśli inżynier, lekarz, oficer, pilot, robotnik, od razu są poważni, to artysta dopiero po długoletnim wysiłku osiąga powagę urzeczywistnienia.

Artysta podchodzi prywatnie, po cichu, do każdego z osobna, szepcze ci do ucha, po cichu domaga się żebyś go uznał. Już się stało! Już mam jednego, dwóch nawet, co mnie uznali. Już ich mam piętnastu, stu, cztery tysiące. Zaczynam oddychać pełną piersią, więc jednak dochodzę, do niej, do powagi! Ileż lat! Mnie ta wspinaczka pochłonęła ze trzydzieści lat wysiłku, biedy i upokorzenia.

Cóż wtedy? Wtedy łapią cię za kołnierz i bęc!... przed aeropag. O, nocy błogosławiona, gdzie ty?! Przed chwilą byłeś sam na sam... teraz w towarzyskiej atmosferze, w blasku lamp hotelowych, jesteś jedną z trzydziestu krów dojnych i jedną z trzydziestu szkap wyścigowych, które się obmacuje i ocenia. Któż to ta kulturalna ciotka na samym czele, która z nonszalancją paple,

że „nie była w stanie" przeczytać więcej niż pięćdziesięciu stron twojej powieści? To, we własnej osobie, sama przewodnicząca szanownego jury, pani McCarthy. McCarthy? Ależ dla mnie McCarthy — i mówię to zupełnie szczerze — nie należy do poważnej literatury, gotów jestem zeznać pod słowem honoru, że McCarthy zawsze była dla mnie zupełnie podrzędną autorką trzeciej, czy nawet czwartej, klasy. Jakże więc się dzieje, że ja u kresu moich wysiłków, po tak długiej i ciężkiej wędrówce, znajduję się u stóp tej zacnej damy, z nonszalancją paplającej, że „nie była w stanie" i td. Co to za figle? Z moją powagą figle? Z moją dumą? Z moją godnością?! Jakiż demon przywrócił mnie znienacka głupocie, niepowadze, błahości mojego początku?!

Kto? Jaki demon? Dziesięć tysięcy dolarów! Których pożądasz! Które cię przeniknęły aż do rdzenia! Dziesięć tysięcy? Ależ to jest zupełnie głupia suma! Żebyż przynajmniej milion! Pięćdziesiąt milionów!

Nie, dziesięć tysięcy, suma, jaką zarabia przeciętny finansista na zupełnie miernej transakcji.

(Napisane nie żeby wzgardzić nagrodami, a właśnie żeby móc kandydować do nich jak najskwapliwiej, bez uszczerbku dla mego życia wewnętrznego. Ale napisałem to mając także na oku interes publiczny, czas by zrozumiano, jakie to kąśliwe... draństwo...)

•

Wspomnę też o czymś, co zdarzyło się niedawno, w listopadzie chyba, o eseju Sandauera... Ale naprzód kilka słów o spacerze w dolinę Varu. Spacer w dolinę Varu? Już się robi, już pomykamy balkonem Alpes Maritimes, otwartym na morze. Dolina, suche szerokiej rzeki łożysko, więc co? Jeszcze dalej? Owszem, autostrada niesie nas w głąb, w góry wniebowstępujące... co to? Tam, z tysiąc metrów nad nami maleńka *bourgade* z zameczkiem, z wieżą, zwisa jak z nosa olbrzymiej skale... naprzód! Serpentyny, przepaść, buczący motor. Śniadanko? Ani marzyć, w tym średniowiecznym maleństwie wszystko pozamykane, zabite deskami. Koniec sezonu. Jesień. Zjeżdżamy. Ale ujrzeliśmy rozwidlenie dróg... więc tą na prawo, do Roquesteron! I rozpoczęła się jazda do Roquesteron w białości rozsłonecznienia, poprzez jesień rozpapraną kolorem... przejrzystość liści, złoto i czerwień, głębiny cieniów, zieleń ogromna, woda szumiąca i gniazda skał.

O piątej po południu z powrotem w Vence. Stanowczo, nie mogę pogodzić się z tą ich literaturą, Czy nie lepiej, żeby w wogóle nie mieli literatury?

Na stole przede mną ten essej Sandauera w warszawskiej

„Kulturze" pod tytułem „Gombrowicz, człowiek i pisarz". Od siedmiu lat nie dochodziło mnie stamtąd nic, oprócz milczenia (i czasem błota), cóż to znaczy, czy znów mają pozwolenie, żeby o mnie pisać?

Gréolière, Thorenc, Coursegoules, pełno we mnie panoram.

Literatura krajowa jest na oko taka sama, jak wszystkie literatury na Zachodzie: mają „znakomitych pisarzy", „świetne utwory", poezję, prozę, krytykę, felieton, nagrody, konkursy, akademie. Proszę! Niczym Paryż! Dopiero przy bliższym wejrzeniu odkrywa się, że to wszystko wydymane. I któż pojmie, czy oni są heroiczni dmuchając na płomień literatury polskiej w warunkach tak... kłopotliwych... czy też są praktyczni, załapując gdzie się da synekurki, honory, wygody?... Tragiczne? Czy sprytne?

Ten „humanizm"... Ta ich cnotliwa armata, strzelająca nabojami moralnego potępienia w „gwałt dokonywany na człowieku". Ale czemuż to armata strzela tylko w jednym kierunku, ze wschodu na zachód? Cóż to za moralność... jednokierunkowa?

Sandauer? Znamy się nie od dzisiaj. Klerk zadzierzysty, on to przecież uderzał najmocniej w fikcję tamtejszą... ale w całym ich pomieszaniu pojęć, ludzi, wartości, skąd ja mogę wiedzieć, o ile tamten Sandauer jest jeszcze dzisiejszym Sandauerem? Na papierze człowiek staje się jeszcze bardziej nieuchwytny, niż w życiu. Literatura, to szereg zdań, idących gęsiego, jedno po drugim. Ktoś może napisać trzy zdania szczere, swobodne, dumne — w czwartym zdaniu jednak ta jego szczerość skoncentruje się, na przykład, na moich „kompleksach feudała", zamiast wybrać sobie jakiś inny aspekt mej osoby — i to już spowoduje pewne, lekkie, skrzywienie — i choć następne zdania będą znów tak stanowcze i bezwzględne, że powiemy sobie z podziwem „a to mi dopiero!", niezadługo jedno z nich napomknie o moich „faszystowskich ciągotkach"... Spostrzeżemy wówczas, że szczerość nie przestała być szczerością, ani stanowczość stanowczością, nie, one jedynie zaczęły wybierać sobie z pewną ostrożnością tereny swojego działania...

Taki, na przykład, ustęp sandauerowski, dotyczący pani Swinarskiej i jej ze mną głośnego spotkania.

Ba, mówi Sandauer, ten „wywiad" nie musiał być taki odległy od prawdy, bo jego ton „przechwalający się, przekorny, prowokacyjny, ma w sobie coś gombrowiczowskiego". No i przecież, dodaje, Gombrowicz sam nieraz wspomina o swoich ciągotkach faszystowskich (tu następują cytaty z mojego dziennika).

Ileż swobody i znawstwa w tych subtelnych roztrząsaniach — za subtelnych może w zastosowaniu do grubego świństwa.

Do diabła z niuansami, czy ton był gombrowiczowski, czy nie był, przecież, jak to Sandauerowi dobrze wiadomo, cała ta heca była niczym więcej jak ordynarną naganką polityczną: przez dwa miesiące nieszczęsne gazety polskie rozrabiały mnie na rozkaz, odsądzając od czci i wiary, podczas gdy moje sprostowanie, wysłane nie tylko do gazet, ale i do Związku Pisarzy, zostało na rozkaz wsadzone pod bibułę. Temu zaś rozrabianiu zakneblowanej ofiary przyglądali się wszyscy miejscowi „czołowi" i „znakomici", wszyscy subtelni, moralni, odpowiedzialni i europejscy nie śmiejąc pary puścić z gęby. Nie mam oczywiście pretensji do Sandauera, że biedak siedział, jak mysz pod miotłą i ani pisnął — bo ja wiem, może i nie był wówczas dostatecznie poinformowany. Ale przecież teraz jest poinformowany, bo, jak sam przyznaje, czytał moje szczegółowe wyjaśnienie w paryskiej „Kulturze". Więc co? Więc, zamiast przynajmniej zamilknąć ze wstydu, nasz pan krytyk powiada, zmarszczywszy nos, iż dziwne, doprawdy, jaki ten Gombrowicz ma dar wywoływania skandalu... i zapuszcza się w analizy moich duchowych tonacji...

Et tu, Bruto? „A Brutus mężem jest przecież szanownym". Ale może nie trzeba za dużo wymagać. Gdy krytycyzm tego krytyka nie może funkcjonować, jakby chciał, niechże przynajmniej funkcjonuje, jak może. Zastosujmy taryfę ulgową...

◆

Rozważania Sandauera w tym eseju, dotyczące moich ewentualnych zboczeń płciowych? Ależ proszę bardzo! Póki to jest robione z powagą i taktem... Mnie dobrze wiadomo, że za prawo do dumy płaci się pokorą i wcale nie uchylam się od badań, które zresztą sam prowokuję mymi połowicznymi konfidencjami. (Dlaczego konfidencje są połowiczne? A nuż dlatego, że jest się homoseksualistą i nie jest; że się jest w pewnym okresie życia; lub w pewnych okolicznościach; że — to moja opinia — nie ma prawie mężczyzny, który by mógł zeznać pod przysięgą, że nigdy nie doświadczył tego pokuszenia. Trudno w tej dziedzinie domagać się spowiedzi zbyt kategorycznej.)

Ale obawiam się, że Sandauer niezbyt się nadaje do tego konfesjonału.

Pięć lat temu pisałem w dzienniku co następuje: *„Zresztą coraz wyraźniej widział Gombrowicz, że jego porozumienie z Sandauerem jest dalekie od doskonałości, obejmując tylko część jego utworów i jego osoby. Nie należało oczekiwać od Sandauera niesamowitej chłonności i chwytającej w lot wrażliwości Jeleńskiego. Sandauer był z gatunku chrząszczów, samotnych, maszerujących swoją drogą, mastodont, skorupiak, mnich, hipopotam, dziwak, inkwizytor, męczennik, aparat, krokodyl, socjolog..."*

Cóż, pytam, ten kaktus może wiedzieć o Erosie, zboczonym, lub nie? Dla niego świat erotyczny będzie zawsze osobnym, na klucz zamkniętym, pokojem, nie połączonym z innymi pokojami ludzkiego mieszkania. Socjologia, tak, psychologia... to są pokoje, w których on czuje się u siebie. Ale erotyzm, to dla niego „monomania".

Powieści, te zwiewne bajeczki, nabierają wagi dopiero, gdy świat przez nie odsłonięty stanie się dla nas czymś prawdziwym. Dostojewski pozostanie bajeczką dla kogoś, kto nie uchwyci go w jego nagiej rzeczywistości. Kafka, Valéry, Dante, surrealizm, dadaizm, cokolwiek w sztuce, wszystko w sztuce, ma rację istnienia tylko, o ile odnosi się do rzeczywistości, do jakiejś rzeczywistości, nowej, zaskakującej nieraz, którą czyni dostępną, żywą, namacalną.

Sandauer, badający moje zboczenia erotyczne? Ależ musiałby naprzód ustalić, czy one doprowadziły do jakiejś prawdy. Jeśli nie, nie warto nimi zawracać głowy, ani sobie, ani innym. Taki *casus* nadawałby się tylko do szpitala. Krytyk, który by chciał ocenić, na przykład, „Pornografię", musiałby przede wszystkim zbadać, o ile takie widzenie człowieka może być istotnym wzbogaceniem wiedzy o nas samych. Autor tej książki mówi, że tu pragnieniu człowieka by być Bogiem przeciwstawia się inne pragnienie, krańcowo odmienne: być Młodym. Czy to prawdziwe? Nieprawdziwe? Wzbogacające? W powieści urzeczywistnione? Jaki zasięg tego? Jaka dynamika?

Czy ja się mylę, gdy u mnie człowiek wschodzący, młody, musi stać się bożyszczem (lub może raczej: dopowiedzeniem) człowieka już urzeczywistnionego, starzejącego się, schodzącego? Czy wypływa tylko z mojej patologii twierdzenie, że dumne panowanie starszego nad młodszym, wraz ze wszystkimi swymi socjalnymi, kulturalnymi, psychicznymi, konsekwencjami, służy między innymi do zatarcia innej rzeczywistości, równie ważnej — tej, mianowicie, że człowiek zstępujący może nawiązać z życiem tylko poprzez istotę wstępującą, dorastającą — albowiem życie zawsze jest „wschodzące"? Czy jestem zboczeńcem, gdy twierdzę, iż natura chłopca, tak specyficzna, tak odmienna w swej niepełności, niedostateczności, niższości, w swojej przedziwnej lekkości, staje się kluczowa dla zrozumienia natury dorosłego — a więc i natury naszego, dorosłego, świata? Czy jestem chory, gdy twierdzę, że w ludzkości odbywa się wciąż tajna współpraca wieków i faz rozwojowych, że dzieje się w niej gra urzeczeń, oczarowań, gwałtów, dzięki którym „dorosły" nigdy nie jest jedynie „dorosłym"? Mówimy: człowiek. To słowo dla mnie nic nie

znaczy. Ja bym zapytał: człowiek w jakim wieku? Jakim wiekiem oczarowany? Jakiemu wiekowi poddany? Z jakim wiekiem w swojej ludzkości związany?

Oto pytania, które, jeśli nawet nie są wymienione w „Pornografii", określają naturę eksperymentu, który w niej się odbywa, a zwłaszcza gatunek piękności i poezji, o który tu chodzi. Ale cóż ten chrząszcz z tego wszystkiego zrozumiał? Akurat tyle co madame McCarthy. Dla niego akcja tej powieści nie ma nic, ale to nic wspólnego z rzeczywistością, on myśli, że to bajeczka, że wszystko tu dzieje się, ot tak, w trybie dowolnym, magicznym, po prostu na rozkaz Fryderyka, postaci nadnaturalnej i prawie „boskiej"... która, *nota bene,* jest moim *alter ego.* Z czego przenikliwy Sandauer wyciąga wniosek, że wskutek sukcesów wydawniczych na rynku międzynarodowym dostałem manii wielkości... Ojojoj! Zgadzam się by natury nieerotyczne z trudnością wnikały w światy erotyczne i w ogóle bynajmniej nie wymagam aby zbyt gładko asymilowano moje utwory, raczej czułbym się niepewnie, gdyby to odbywało się bez oporu; ale musi być przecież jakaś granica w głupstwie nawet dla panów krytyków. I cóż człowiek tak płytko i nierozumnie odczytujący moje książki może o mnie wiedzieć? Po co jemu zestawiać pracowicie rozmaite aspekty antynomii „wyzszość-niższość", grającej we mnie, gdy nie jest w stanie jej związać z niczym na prawdę istotnym? I po co on się grzebie w moich „zboczeniach", jeśli nie potrafi prześledzić, do jakich konsekwencji one doprowadzają?

◆

Sympatyczne spacery z moim Psiną.

W kawiarence, na placu, malarze... (w Vence ich pełno). Piwo, whisky... Mówią „och, ta chodzi teraz z tym..."

Chagall, Dubuffet i Papazoff.

Mistral.

Stolik ma za krótką nogę.

Muszę kupić zapałki.

Kapelusz.

Witold GOMBROWICZ

Wiersze

ANGELUS

Dziś kataklizmu nie obwieszcza anioł
trąbą ze srebra. Posłaniec burzy czai
się za cienkim dzwonkiem telefonu
równie śmiertelnie a my truchlejemy
z słuchawką w ręku i serce zamiera,
jakby fatalny miecz na głowę dybał.
I mówi jeden, że dzisiaj tragedia
jest nierealna jak cud albo czary.
Więc skąd ta pustka, oschłość niespodziana,
bezwładna ręka, przepaść pod nogami?
Jeśli zaś muszą zostać nienazwane
obszary duszy nagle spustoszone,
to niech choć wolno będzie na papierze
urwalić krzyk w momencie bez rozwagi,
aby wśród postaw ze spiżu odlanych
gest nie zaginął człowieczej słabości.

Florian ŚMIEJA

JASKINIA MONTESINOSA

Co innym zwykło jak najnaturalniej
samo przychodzić przez szkieł nałożenie,
dla mnie błądzeniem było nieustannym

z woli Merlina od strasznych olbrzymów
po wiatrak lichy mruczący żarnami,
do ordynarnej chłopki na oślęciu;
to zejście do dna jaskini, pęd męski,
by dosiąc kresu, by na gruncie stanąć;
katarsis moja, najmniej heroiczna,
w codziennym starciu z trywiami gościńca,
z grubą chytrością ambitnego giermka,
a przecież soli ziemi; odmienienie
nie dramatyczne, acz znaczone śmiercią.
Poznanie nagiej rzeczy, bez ułudy,
życie zbawione wrogich zazdrośników,
ta rzeczywistość z podkrążonym okiem,
nosem spłaszczonym, te harce zwierzęce
wystarczą, aby strącić sny z ołtarza?
Już Dulcynea znika odwrócona,
wszak nieuchwytny lęk ludzkiego serca.
Opaczne znaki lęgną się na drogach
a jednak tędy wchodzić trzeba znowu
w bezpieczne progi przyziemnego trwania
krokiem niezlękłym, bez łzy w cichym oku.

Florian ŚMIEJA

ŻYCIE

Oni zaczarowani
on rozczarowany

Razem bawili się pod stołem
stawali na nogi
z biegiem czasu biegli beztroscy jak dzieci
którym w zegarze najważniejsza kukułka
blaszany kogut na wieży dyrygujący wiatrami
najwyższym dostojnikiem Kościoła

To samo słowo wschodziło im rano
w gałęziach gruszy w promieniach poezji
to samo serce zachodziło za las
oczy za mgłę ręce w włosach matki
wracali z wypraw w góry
nieziemsko skupieni
niosąc lipcową noc na plecach jak skrzydła ogromne
w tym samym zimowym księżycu maczali swe pióra

by opisać śmierć

I tu rozdzieliło ich życie

— oni widzą wciąż
brzozowy szkielet na wzgórzu z czerwonym jabłuszkiem
w chłodnych tiulach mgły
on: rozżarzoną równinę
na której drżącą ręką stawia krzyżyk za krzyżykiem
jak analfabeta
podpisujący niezrozumiały dokument

Jan DAROWSKI

PORACHUNKI

Nie będą to już porachunki o byle co
na przykład dwóch mężczyzn z nożami na wyrost
o honor
na polance w lesie
sekundanci w cylindrach kobieta za drzewem
albo sztaby pochylone nad mapą
czoła w bliznach i perłach głębokiego myślenia
w monoklu mróz

Pierwszy wybuch będzie dla wszystkich ostatnim
wszystkie noże się skrzywią
i spełzną na niczym
wszystkie perły myślenia
wszystkie mapy
zwiną się nagle w jeden rulon dymu
do wody skoczy kobieta za drzewem
w ogień skoczy drzewo

a jeśli tych dwóch na polance cudem ocaleje
nie będą to już porachunki o byle co
bez końca będą musieli rachować
i nie doliczą do trzech

Jan DAROWSKI

Archiwum polityczne

ABC polityki « Kultury »

„Co należy rozumieć przez właściwą polską politykę?" — zapytuje mnie jeden z naszych Czytelników w Stanach Zjednoczonych. I dodaje: „czy można sformułować jednoznaczną odpowiedź na powyższe pytanie?"

Odpowiedź teoretycznie nie nasuwa trudności. Przez właściwą politykę polską należy rozumieć politykę, która w danej sytuacji najlepiej (najwłaściwiej) służy polskim interesom.

Przez „polskie interesy" należy rozumieć pozycję państwa polskiego w Europie i w świecie. Osobiście uważam, że polskie interesy w odróżnieniu od spraw ustrojowych — winny być rozpatrywane w perspektywie ponad-partyjnej i oceniane kryteriami ściśle pragmatycznymi. Polacy w przeciwieństwie do Anglosasów — nie mają tradycji ponad-partyjnej polityki zagranicznej. U nas każda partia czy ugrupowanie ma swoją własną koncepcję polityki zagranicznej.

Wbrew tradycji, musimy nauczyć się podchodzić do zagadnień politycznych bezemocjonalnie i z postawy ponad-partyjnej. Polska jest czymś nieporównanie większym i istotniejszym niż wszystkie nasze partie historyczne i niehistoryczne. Nie jestem przeciwnikiem demokratycznych partii politycznych — sądzę jednak, że bardzo nieliczne z tych, które są reprezentowane na emigracji — mają szansę odrodzenia się w przyszłej Polsce. Partie na emigracji są w najlepszym razie tylko depozytariuszami tradycji i dlatego nie przyciągają młodych. Trudno oczekiwać od dwudziestoletniego młodzieńca wychowanego i wykształconego w Londynie, który polskiego chłopa nie widział na oczy i nie potrafiłby odróżnić żyta od pszenicy — by zapisał się do jednego z odłamów stronnictwa ludowego. To samo dotyczy innych stronnictw. Reprezentacja Polaków zagranicznych z całą pewnością ulegnie zmianie ponieważ stronnictwa polityczne wchodzące w skład Rady Jedności Narodowej — znikną ze sceny. Już dziś Polaków na emigracji podzielić można tylko na dwie grupy: pro-reżymowych i antyreżymowych. Wszystkie inne podziały są nieistotne.

Choć na każdym kroku podkreślamy naszą zachodniość pragmatyzm nigdy nie stanowił naszej mocnej strony. Mimo całej nienawiści do Wschodu — wykazujemy nieprzepartą skłonność do operowania kryteriami ideologicznymi — co jest cechą typowo wschodnią.

Dla pragmatycznie myślącego polityka tylko interesy państwa i narodu stanowią element stały i niezmienny. Wszystko inne zależy od sytuacji i podlega zmianom.

Zilustrujmy ów punkt konkretnymi przykładami. W styczniowym numerze „Esprit" zacytowano mój artykuł ogłoszony w marcowym zeszycie „Kultury" z roku 1964. W artykule tym wyraziłem pogląd, że gdyby Rosja weszła na drogę porozumienia z Niemcami — Polska winna wówczas szukać zbliżenia z Pekinem.

Osobiście, z przyczyn o których będzie jeszcze mowa, jestem zwolennikiem porozumienia polsko-rosyjskiego, które winno zastąpić status satelicki. Gdyby jednak Rosjanie podjęli kiedyś politykę zbliżenia z Niemcami wówczas każdy nieprzejednany wróg Rosji stałby się automatycznie naszym sojusznikiem. Komunizm chiński jest jeszcze bardziej totalistyczny i odrażający niż komunizm sowiecki. Lecz w takim wypadku nie wchodzą w grę ani sympatie ani antypatie, ponieważ liczyłby się tylko jeden element tzn. nastawienie anty-rosyjskie.

Jako pragmatycy nie jesteśmy w „Kulturze" ani pro-rosyjscy ani anty-rosyjscy — ani pro-niemieccy ani anty-niemieccy — staramy się tylko być konsekwentnie polscy.

W okresie wojny koreańskiej nie nasi patentowani „niezłomni" lecz „Kultura" wysunęła sugestię utworzenia symbolicznej polskiej jednostki wojskowej. W owym czasie *roll-back policy* miała wszelkie pozory konkretnego programu. Nie wierzyłem w wojnę światową, lecz byłem przekonany, że zdecydowana demonstracja siły ze strony Stanów Zjednoczonych może w znacznej mierze zmienić układ w Europie wschodniej.

Dziś nie namawiamy nikogo by jechał do Wietnamu walczyć z komunistami. Czy to oznacza, że zmieniliśmy nasze przekonania? Nie, zmieniliśmy tylko naszą politykę i taktykę ponieważ sytuacja międzynarodowa uległa radykalnej przemianie.

Wybrałem dwa jaskrawe przykłady by wykazać na czym polegają „zygzaki" polityki „Kultury". Gdybyśmy byli doktrynalnymi antykomunistami jak nasi „niezłomni" — powtarzalibyśmy w kółko to samo od lat 20-tu. W naszej polityce nie byłoby zygzaków lecz nie byłoby również i sensu.

Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami oceny interesów narodowych kryteriami ideologicznymi bez względu na to czy daną ideologią jest komunizm czy anty-komunizm. Ocena kryteriami ideologicznymi prowadzi nieuchronnie do identyfikacji interesów ideologii z interesami państwowymi — co w praktyce oznacza podporządkowanie racji stanu — racji ideologicznej.

Reprezentujemy pogląd, że polska racja stanu jest suwerenna i nadrzędna w odniesieniu do każdej ideologii. Ci, którzy głoszą

prymat postulatów ideologicznych, ci, dla których rozbicie Sowietów i zlikwidowanie komunizmu jest ważniejsze niż polskie interesy obecne i przyszłe — winni szukać porozumienia z Niemcami, ponieważ jest to najpotężniejszy i najbardziej anty-komunistyczny naród w Europie. Są wśród nas ludzie, którzy myślą po tych liniach a od kokietowania Niemców powstrzymuje ich tylko lęk przed opinią publiczną.

Ponieważ w sprawie Odry i Nysy — „Kultura" zajmuje identyczne stanowisko jak polska prasa komunistyczna — „Deutscher Ost-Dienst" z dnia 20. 1. br. nazwał mnie *ein nichtkommunistischer „Gomulkist"* (nie komunistyczny „gomułkowiec"). Dla panów z „Deutscher Ost-Dienst" każdy Polak, który broni granicy na Odrze i Nysie jest kolaborantem współpracującym z komunistycznym reżymem. W oczach redaktorów „Ost-Dienst" — stałbym się antykomunistą dopiero wówczas gdybym oświadczył publicznie, że ziemie nadodrzańskie należą się Niemcom.

Jesteśmy przeciwnikami komunizmu — co łatwo wyczytać z łamów „Kultury" — lecz i w tej sprawie jesteśmy pragmatykami. Amerykanie w gruncie rzeczy są również pragmatycznymi antykomunistami. Od *„roll-back policy"* poprzez *„containment"* do zróżnicowanej „koegzystencji" — doprawdy trudno o bardziej zygzakowaty wykres. Amerykanie walczą i giną w Wietnamie — choć wolne wybory przeprowadzone w tym kraju niemal na pewno dałyby większość komunistom. Nie udzielili natomiast pomocy Budapesztowi — choć wolne wybory na Węgrzech dałyby przytłaczającą większość przeciwnikom komunizmu. Prez. Johnson ocenia, że obrona południowego Wietnamu leży w interesie Ameryki — natomiast prez. Eisenhower uważał, że interwencja amerykańska w okresie powstania węgierskiego zagroziłaby interesom Stanów Zjednoczonych w Europie. Z cytowanymi decyzjami można się zgadzać lub nie zgadzać — można oceniać je pozytywnie lub negatywnie — niemniej w obu wypadkach prezydenci kierowali się wyłącznie pragmatycznie pojmowanym interesem Stanów Zjednoczonych.

W ocenie interesów można popełnić błąd. Lecz pragmatyk — ponieważ nie patrzy poprzez ideologiczny pryzmat — ma większą szansę niż doktryner dostrzeżenia w porę błędu i zmiany polityki. Konieczność zmiany polityki na danym odcinku nie przeraża pragmatyka ponieważ wie, że w tej grze jedynym punktem stałym są interesy narodowo-państwowe. Wszystko inne musi być zmienne i ruchome — zależnie od rozwoju sytuacji — bo tylko w ten sposób interesy narodowo-państwowe mogą być należycie obsłużone i zabezpieczone.

By uniknąć zarzutu, że propaguję zasady *right or wrong — my country*, „cel uświęca środki" i tp. — pozwolę sobie zauważyć, że etyka i moralistyka nie wchodzą w zakres polityki. Argumenty moralne mobilizują zawsze ci, którzy ponieśli klęskę. Zwycięzcy o moralności i etyce mówią niezmiernie rzadko. Należy również podkreślić, że kryteria etyczne nawet starych, ustabilizowanych religii ulegają wielkim zmianom. Charłamp sądził, że

pan Wołodyjowski zgładziwszy tylu heretyków więcej tym udelektował Pana Jezusa niż ksiądz kazaniami. W owej epoce był to pogląd powszechny. Gdyby pan Wołodyjowski wstał z grobu uważałby, że należy zorganizować krucjatę przeciwko bezbożnym potęgom komunistycznym. Czekałoby go wielkie rozczarowanie, ponieważ pierwszym człowiekiem, który by oparł się temu projektowi byłby papież.

Celem polityki jest definiowanie interesów państwowo narodowych oraz szukanie dróg maksymalnego ich zaspokojenia i zabezpieczenia. Mieszanie norm politycznych i etycznych nie wychodzi na dobre ani polityce ani etyce. Natomiast obywatele mają prawo domagać się odpowiedniego poziomu moralno-etycznego od swoich reprezentantów politycznych. W krajach demokratycznie rządzonych poziom etyczny polityków odpowiada na ogół przeciętnemu poziomowi danego społeczeństwa. Im przeciętny poziom jest wyższy tym i poziom politycznych reprezentantów jest wyższy. Kraj w którym kwitną przekupstwo, łapownictwo i pogarda dla praworządności — nie może oczekiwać, że wolne i demokratyczne wybory obdarzą go nagle rządem sprawiedliwych i uczciwych polityków.

Przed laty, Paweł Hostowiec w jednym z pierwszych odcinków „Notatnika niespiesznego przechodnia" — opisując swą podróż po Niemczech bezpośrednio po kapitulacji — zanotował wśród ocalałej anty-hitlerowskiej inteligencji niemieckiej renesans „Iliady". Wśród gruzów dawnej Europy inteligenci niemieccy pragnęli sięgnąć do źródeł i umocnić się w poczuciu ciągłości zachodnio-europejskiej kultury.

Przystosowalność człowieka w sensie fizycznym jest zdumiewająca. Lecz ten sam człowiek, który z łatwością przystosuje się do stanu nieważkości w statku kosmicznym — gdy pogląd tradycyjno-społeczny w którym się wychował runie — sięgnie po „Iliadę" lub Biblię a jeżeli będzie Polakiem po „Księgi Pielgrzymstwa" a nawet po Kraszewskiego.

„Kultura" nie stanowi w tym względzie pełnego wyjątku. Gdy przeglądam dziś roczniki naszego pisma, wydaje mi się, że reagowaliśmy wolno, że nie — zbyt często, lecz przeciwnie — zbyt rzadko zmienialiśmy formuły polityczne, że intelektualnie niezawsze nadążaliśmy za błyskawicznie zmieniającą się sytuacją i woleliśmy sięgać po polskie „Iliady" niż wykreślać plany w oparciu o analizę trudnej rzeczywistości.

Pod koniec drugiej wojny światowej dosłownie wypadło dno ze świata, którego pierwsza i druga Rzeczpospolita stanowiły kolejno część składową. Koncepcje Dmowskiego i Piłsudskiego — nie mówiąc o koncepcjach dawniejszych — utraciły układ odniesienia, stając się historią zamkniętego okresu. Istnieją Niemcy i Rosja, tak jak dawniej, lecz oba te państwa weszły w skład całkowicie zmienionych systemów europejskiego i światowego.

Układem odniesienia dla każdej polskiej koncepcji politycznej była Europa. Nawet wówczas, kiedy nie było nas na mapie —

układem odniesienia wszystkich naszych poczynań była zawsze Europa. Niestety Europy naszych wodzów, polityków i myślicieli — nie ma. Mur berliński oddziela żołnierzy amerykańskich od sowieckich, którzy symbolizują okupację przekształconą w system.

Wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy z faktu, że chcąc przywrócić sens jakże niedawnym polskim koncepcjom politycznym — trzeba by wpierw odbudować ich europejski układ odniesienia, tzn. wyewakuować Amerykanów i Rosjan i przywrócić sytuację sprzed 30 laty. To jest zadanie, które przekracza siły Europejczyków. Nasi super-partnerzy tzn. Rosja i Stany Zjednoczone nie zdradzają najmniejszej chęci odrestaurowania samodzielnej Europy z Sowietami na granicy z 1939 roku.

Równocześnie oś światowego konfliktu przesunęła się z Europy do Azji. Skłonny jestem przypuszczać, że w najbliższych latach czeka nas seria wojen azjatyckich lecz nie europejskich.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić wyjątkowość sytuacji w jakiej wypadło żyć naszemu pokoleniu. Utraciliśmy nie tylko niepodległość — lecz utraciliśmy również Europę w której ramach mogliśmy wywalczyć i odbudować naszą niepodległość. Wszystkie polskie koncepcje i doktryny polityczne stały się anachronizmem nie dlatego, że były fałszywe — lecz dlatego, że utraciły układ odniesienia, który stanowił ich fundament.

Jestem przekonany, że Polska i kraje Europy Wschodniej odzyskają w pewnych formach niepodległość — natomiast nie wierzę by nasz kontynent wrócił do sytuacji porównywalnej z układem z 1939 r. W konsekwencji nie wierzę w polityczną zastosowalność jakichkolwiek polskich doktryn czy koncepcji politycznych mających swe źródła w układzie sprzed września 1939 r.

Nie tylko my znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Anglia nie utraciła wprawdzie niepodległości lecz układ odniesienia jej tradycyjnej polityki zapadł się wraz ze światem, który zgasł we wrześniu 1939 r. W polityce angielskiej ścierają się tradycyjne anchronistyczne poglądy z próbami poszukiwań nowych rozwiązań. Anglia nie odnalazła jeszcze ani swej pozycji ani nowego kursu na mapie powojennej epoki.

W myśleniu historycznym i politycznym jest niezmiernie trudno wydobyć się z zaczarowanego koła wspomnień i analogii. Dla większości Polaków na emigracji ewentualny upadek Sowietów ewokuje obraz sytuacji z 1918 r. Sowiety okupują całą Europę wschodnią — w konsekwencji upadek tego olbrzyma-zaborcy — w takiej czy w innej formie — musiałby przynieść wyzwolenie i niepodległość.

Niestety pomiędzy upadkiem czy rozkładem dzisiejszej Rosji Sowieckiej a sytuacją jaką zarysowała się pod koniec pierwszej wojny światowej nie ma absolutnie żadnej analogii. Rok 1918 w polskiej perspektywie oznaczał nie tylko rozkład carskiej Rosji — lecz również klęskę militarną cesarskich Niemiec i cesarskiej Austrii. Równoczesność upadku trzech naszych zaborców stworzyła ową wyjątkową koniunkturę.

Trudno wyobrazić sobie sytuację, która w pewnej mierze byłaby analogiczną do 1918 r. Nawet gdyby doszło do wojny przeciw Sowietom — czy przeciw Sowietom i Chinom — tym razem Niemcy znalazłyby się po właściwej stronie frontu jako główny europejski sojusznik Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego wojna przeciwko Sowietom w Europie jest mało prawdopodobna? Dziesiątego stycznia br. w prasie amerykańskiej ukazały się fotografie podpisane „U.S.Navy". Owe oficjalne fotografie dokonane przez zwiadowcze samoloty marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych — przedstawiają atomowe sowieckie łodzie podwodne patrolujące stale wzdłuż wschodnich i zachodnich wybrzeży Ameryki. Jak wynika z ogłoszonych informacji podwodne okręty sowieckie wyposażone są w 3-6 pocisków nuklearnych o zasięgu 350 mil.

Wśród depesz i fotografii z wietnamskiego teatru wojny powyższa wiadomość nie wzbudziła ani ech ani komentarzy. A przecież to jest powrót do sytuacji „kubańskiej" z października 1962. Stany Zjednoczone znalazły się bowiem powtórnie i tym razem na stałe w polu obstrzału atomowych pocisków sowieckich średniego zasięgu. W praktyce oznacza to również, że gdyby Stany Zjednoczone uderzyły pierwsze i zniszczyły na terytorium Sowietów wyrzutnie pocisków międzykontynentalnych, lotniska, porty i td. — to i tak nie uniknęłyby sowieckiego odwetu atomowego. W ten sposób szale równowagi terroru zostały wyrównane.

Na terenie europejskim Rosjanie — w mojej opinii — nie użyliby pierwsi broni atomowych. Co im po Europie przemienionej w radioaktywny gruz? W stosunku do państw zachodnio-europejskich Sowiety dysponują znaczną przewagą w siłach konwencjonalnych i liczyliby na zwycięstwo bez totalnego zniszczenia.

Nie wyobrażam sobie by prezydent Stanów Zjednoczonych — (obojętne kto byłby nim w danej sytuacji) — wydał rozkaz atomowego bombardowania Sowietów w celu powstrzymania agresji w Europie, podjętej konwencjonalnymi siłami. Taką decyzję, która spowodowałaby natychmiastowy odwet i w konsekwencji zniszczenie miast amerykańskich podjąć można tylko w dwóch wypadkach: w stosunku do przeciwnika niezdolnego do atomowego odwetu (Chiny), lub w stosunku do Rosjan gdyby pierwsi użyli pocisków atomowych.

W sumie, bezpieczeństwo Europy zachodniej polega nie tylko i nietyle na amerykańskim „parasolu" atomowym — lecz w pierwszym rzędzie opiera się na autentycznej pokojowości Sowietów na tym froncie. Sowiety nie zamierzają okupować Francji, Belgii czy Holandii. Mają dość kłopotów z Europą wschodnią i postawa Moskwy do Zachodu na odcinku europejskim jest czysto defensywna.

Z wszystkich możliwych konfliktów wojennych najbardziej prawdopodobny jest zbrojny konflikt amerykańsko-chiński. Porażka Amerykanów w Wietnamie może ów konflikt tylko przyśpieszyć. Amerykanie bitwy o Wietnam nie przegrają w Wietna-

mie — lecz, jeśli ją przegrają, przegrają ją u siebie w domu. Klęska w Wietnamie a przede wszystkim konsekwencje owej klęski, które narastałyby jak lawina — przekonałyby opinię społeczną w Stanach Zjednoczonych, że w grę wchodzą żywotne interesy i bezpieczeństwo Ameryki. Francuzi mogli wycofać się z Indochin a nawet z Algieru. Amerykanie nie mogą wycofać się z Pacyfiku. Alternatywą amerykańskiej polityki globalnej jest tylko chaos.

Gdyby doszło kiedyś do konfliktu zbrojnego amerykańsko-chińskiego w formie pośredniej czy bezpośredniej — Sowiety w moim przekonaniu zachowałyby *de facto* neutralność. Dla celów propagandowych piętnowaliby amerykańską „agresję" — zaoferowaliby Chinom pomoc techniczną na warunkach dla Pekinu trudnych do przyjęcia i na tym by się skończyło.

Rosjanie wykorzystaliby zaangażowanie Ameryki w Azji, by umocnić swą pozycję w Europie. Być może w poufnych kontaktach, jako warunek *de facto* neutralności, wysunęliby pod adresem Waszyngtonu żądanie definitywnego uznania *status quo* w Europie z pogrzebaniem kwestii zjednoczenia Niemiec włącznie. Im zaangażowanie i trudności Amerykanów w Azji byłyby większe — tym cena za sowiecką *de facto* neutralność byłaby wyższa. Nie ulega wątpliwości, że pomagając wydatnie Chinom Sowiety niczego by nie zyskały — natomiast *de facto* neutralność przyniosłaby im same korzyści.

Celem wyżej przytoczonych rozważań jest wykazać, że w Europie nie zanosi się ani na wojnę, ani demonstrację siły, ani na żadną akcję zmierzającą do osłabienia pozycji Sowietów. Jałtański *status quo* w Europie symbolizuje „kwestia niemiecka". Wszyscy zachodni sojusznicy Niemiec, z Ameryką włącznie, boleją nad podziałem Niemiec — lecz nikt nie zaryzykuje dziesięciu dolarów, by ów stan zmienić. Podobnie wszyscy boleją nad satelictwem Europy wschodniej — lecz w praktyce nikt nie kiwnie przysłowiowym palcem, by ów stan zmienić. Prowizorium przemieniło się w system, który w oczach wielkich mocarstw ma tę zaletę, że można go bez ryzyka kontynuować. Każdy inny system trzeba by wypracować a może wywalczyć.

Jeżeli przedstawiona analiza jest słuszna — zdani jesteśmy wyłącznie na własne siły i to zarówno dziś, jak i w najbliższej przyszłości. Program ewolucjonizmu, który „Kultura" wysunęła przed dwoma laty wywodził się z analogicznej oceny sytuacji.

W jakiej mierze sprawdziły się nasze ówczesne przewidywania i oczekiwania?

Sytuacja w Sowietach nie jest ani ewolucyjna ani rewolucyjna tylko kryzysowa. Nie jest ewolucyjna, bo nie ma wspólnoty celów pomiędzy społeczeństwem a kierownictwem — i nie jest rewolucyjna ponieważ napór jest jeszcze zbyt słaby i zbyt społecznie ograniczony w proporcji do środków przemocy jakimi dysponuje partia. Powszechne niezadowolenie i głęboki ferment w warstwie inteligencji (nawet technicznej) — wystarczyłby do wytworzenia sytuacji rewolucyjnej w ramach carskiej Rosji.

Lecz nowoczesna dyktatura komunistyczna jest zagadnieniem innej kategorii.

Chruszczow w swym tajnym referacie, wygłoszonym na XX Zjeździe, zacytował następującą wypowiedź Woroszyłowa: „Ilekroć Stalin zaprosił mnie na obiad nigdy nie byłem pewien czy wrócę do domu czy do więzienia".

Nawrót do stalinizmu oznaczałby niebezpieczeństwo życia nie tylko dla Siniawskich i Danielów lecz również dla Kosyginów i Podgórnych. Niepomiernie wybitniejsi i o wiele bardziej zasłużeni komuniści niż Kosygin i Podgórny ginęli w kazamatach stalinowskiej NKWD. Terror typu stalinowskiego musi być totalny — musi w równej mierze dotyczyć zamiatacza ulicy jak i członka Komitetu Centralnego. Gdyby było rzeczą możliwą stosować absolutny terror w odniesieniu do obywateli drugiej klasy a równocześnie zapewnić bezpieczeństwo w stosunku do elity — Rosja Sowiecka już od dawna miałaby taki typ ustroju. Lecz to nie jest możliwe. Terror absolutny może urzeczywistnić tylko władca absolutny, — samodzierżca, dyktator.

Destalinizacja nie była wyrazem troski o tzw. „szarego człowieka" — lecz podyktował ją interes elity rządzącej. Panowie Chruszczow, Woroszyłow, Kosygin i inni chcieli mieć pewność że — mówiąc obrazowo — z obiadów i przyjęć wracać będą do domów, a nie do więzienia. Odejście od absolutnej dyktatury jednostkowej oznaczało rezygnację z terroru totalnego. Sowiety są państwem policyjnym, lecz dziś nikt nie jest władny poczynać sobie jak Stalin.

Istotę kryzysu sowieckiego stanowi fakt, że siły naporu społecznego są jeszcze zbyt słabe, by spowodować decydującą przemianę, a aparat przemocy, którym dysponuje elita rządząca, jest zbyt słaby by zlikwidować ferment i zamknąć usta oponentów.

Przywódcy partyjni sądzą, że można mieć ekonomię w połowie pragmatyczną i równocześnie socjologię w całości doktrynalną. Sądzą również, że można w gospodarce przemysłowej zrehabilitować częściowo motyw zysku i mechanizm rynkowy i równocześnie prowadzić czysto doktrynalną gospodarkę rolną.

Tam gdzie oponenci są zbyt słabi i nieliczni, by spowodować konkretne przemiany — a elita rządząca jest zbyt słaba, by zlikwidować ferment i opozycję — ani ewolucja ani rewolucja nie są propozycją realną. Jedynym rezultatem takiej sytuacji może być tylko pogłębiający się kryzys, ogólne rozprzężenie i chaos. Do pełni obrazu należy dodać problem narodowościowy i postępującą izolację Rosji. Przewód sądowy i skazujący wyrok w sprawie Siniawskiego i Daniela spotkał się z krytyczną oceną ze strony zachodnich partii komunistycznych. Po raz pierwszy w dziejach cała lewica na zachodzie z komunistami włącznie wystąpiła solidarnie przeciwko systemowi sowieckiemu. Ze strony Sowietów to był katastrofalny polityczny błąd — nie tylko zbrodnia. Współczesny model sowiecki nie jest ani modelem chińskim ani europejskim. W gruncie rzeczy jest to zlepek sprzeczności, który w swej obecnej formie nie może trwać długo.

Rozkład Związku Sowieckiego na skutek piętrzących się trudności wewnętrznych — stworzyłby podobną sytuację jak w roku 1918, lecz dla nas ów rozkład nie wróżyłby niczego dobrego.

Skrajny nacjonalizm, rewizjonizm, neo-hitleryzm są dziś w Niemczech doktrynami nierealnymi i wskutek tego mało popularnymi. Rozkład Związku Sowieckiego spowodowałby chaos w całej Europie wschodniej. Przed niemieckim nacjonalizmem, rewizjonizmem, a nawet neo-hitleryzmem otwarłyby się nagle realne i konkretne perspektywy. Utracilibyśmy nie tylko Ziemie Odzyskane lecz coś znacznie więcej.

Zdaję sobie sprawę, że pogląd który zamierzam sformułować idzie pod włos tradycyjnej opinii większości Polaków. Lecz większość nigdzie nie ma monopolu na słuszność.

Wszystkie nasze koncepcje polityczne utraciły swój układ odniesienia i stały się bezużyteczne. W obecnym systemie światowym, który jest radykalnie różny od systemu sprzed 1939 r. — polska polityka niepodległościowa musi być na nowo zdefiniowana.

„Mocarstwowy" schemat — tzn. ani z Rosją ani z Niemcami — zarówno obecnie jak i w dającej przewidzieć się przyszłości jest nierealny. Ostatnim echem koncepcji „między Rosją a Niemcami lecz ani z Rosją ani z Niemcami" było *disengagement* i projekt pasa neutralnego w Europie środkowo-wschodniej. Popieraliśmy ów projekt dopóki istniała choćby jedna na tysiąc szansa jego realizacji.

Idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej, którą „Kultura" zawsze popierała i popiera nadal — staje się coraz mniej realna na skutek polityki niemieckiej. Ani Czechosłowacja ani Węgry nie zechcą wiązać się z Polską, która ma zatarg z Niemcami. Niemiecka Republika Federalna musiałaby oficjalnie uznać granice na Odrze i Nysie i wyzbyć się wszelkich pretensji rewizjonistycznych by idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej przeobrazić się mogła w realny projekt.

Sądzę, że w najbliższych latach wojskowe i gospodarcze zaangażowanie Ameryki w Azji będzie rosło, bez względu na wynik kampanii w Wietnamie. Podział świata na biednych i bogatych determinuje politykę nie tylko biednych lecz i *bogatych*. Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone jako super-mocarstwa, wysoko uprzemysłowione posiadają wspólny czynnik determinujący ich politykę — i ów czynnik jest elementem silniejszym niż podziały ideologiczne. Potężni — w konfrontacji z biednymi i słabymi — mają zawsze na pewnych odcinkach wspólną linię postępowania, bez względu na flagę i ideologię. Chińczycy rozumieją to doskonale. Tylko polskim politykom krajowym i emigracyjnym nie może to pomieścić się w głowie.

W świecie rządzonym przez bogate i potężne Stany Zjednoczone byłoby miejsce na bogatą i potężną Rosję Sowiecką. W świecie rządzonym przez Chińczyków Rosja sowiecka spadłaby w tabeli mocarstw na podrzędne miejsce a los Rosjan nie byłby do pozazdroszczenia.

Trudno domagać się od Rosjan ewolucji, liberalizacji, demokratyzacji — jeżeli my, najbliższy ich sąsiad, nie wykazujemy najmniejszej chęci porzucenia uprzedzeń i zmiany naszej tradycyjnej postawy. John Grigg, jeden z najinteligentniejszych publicystów „The Guardian", omawiając niedawno stosunki brytyjsko-amerykańskie napisał co następuje: „Rozmiar Stanów Zjednoczonych i psychologia Amerykanów powodują, że tzw. „stosunek specjalny" *(special relationship)* może być tylko stosunkiem pana do sługi".

Określenie Grigga jest pełne goryczy i nieobiektywne. Myślę jednak, że choć geopolityczna sytuacja Polski jest jedną z najtrudniejszych na świecie — Polska ma wiele konkretnych danych by swój *special relationship* z Rosją zbudować na innej podstawie niż stosunek sługi do pana. Jesteśmy największym narodem słowiańskim o kulturze łacińskiej i zachodniej. W pewnej mierze potencjalnie — w wydaniu najmniej obcym, pobratymczym — reprezentujemy to czego Rosjanom nie dostaje.

Nie umieliśmy zbudować *special relationship* ani z Rosją ani z Zachodem. Stosunek PRL do Rosji jest typowym stosunkiem sługi do pana. Stosunki PRL z Zachodem po prostu nie istnieją.

Nasze niezmiernie trudne położenie geopolityczne zdyskontowalibyśmy w pełni na naszą korzyść tylko wówczas — gdybyśmy w przyszłości przekonali Rosjan, że potrafimy być głównym pośrednikiem pomiędzy Moskwą a Zachodem. Równocześnie musielibyśmy przekonać Zachód, że Polska jest kluczem do Rosji.

Terc, Arżak, i wielu innych, których nie pora wymienić z nazwiska — zwrócili się do nas z wyboru a nie z przypadku. Ci ludzie są prawymi Rosjanami i nie chcieli popełnić zdrady. Nie popełnili jej. Zwracając się do nas wiedzieli dobrze, że nie zwracają się do wrogów Rosji i narodu rosyjskiego — lecz przeciwnie byli pewni, że nawiązują kontakt z wolnościową polską instytucją, która propaguje ideę zbliżenia i porozumienia polsko-rosyjskiego. Owo porozumienie stanie się propozycją realną gdy znaczny procent Polaków uzna słuszność poglądów „Kultury" w tej sprawie, a większość Rosjan uzna słuszność postawy swych anty-stalinowskich pisarzy i działaczy podziemnych.

Jestem do głębi pragmatykiem i dlatego twierdzę, że to nie są „pobożne życzenia". Nawet w drugiej połowie XX-go wieku przy wszystkich sputnikach i bombach wodorowych głównym instrumentem działania politycznego jest *słowo*. Drukując Terca i Arżaka i udostępniając ich utwory całemu światu — w sensie czysto politycznym dokonaliśmy więcej niż wszystkie polskie instytucje emigracyjne na przestrzeni ubiegłych 25 lat.

Słowo jest głównym instrumentem działania politycznego ponieważ w ostatecznym rozrachunku zwyciężyć nie oznacza podbić lecz zjednać. Zaś zjednać oznacza przekonać. Do prawdziwej współpracy można tylko kogoś zjednać lecz nie przymusić.

Musimy zawsze pamiętać, że komunizm rosyjski jest zagadnieniem specjalnym. Inteligenci rosyjscy, nawet najkrytyczniej nastawieni do komunizmu, przyjmują za pewnik „kapitalistycz-

ne okrążenie" i przekonani są, że wszystkie napaści na Rosję szły od Zachodu.

Walter Laquer w swojej doskonałej książce pt. „Russia and Germany — a Century of Conflict" pisze, że pewnego dnia w czasie swego pobytu w Sowietach przejeżdżając przez jedno z przedmieść Moskwy zauważył niewielką kolumnę. Zaintrygowany zapytał współpasażera co ów pomnik oznacza? Odpowiedziano mu, że owa kolumna znaczy najdalszy punkt do którego dotarli Niemcy w listopadzie 1941 roku.

Niemcy byli również antykomunistami i są nimi i dzisiaj podtrzymując pretensje rewizjonistyczne. Antykomunizm, który jest równoznaczny z programem rozparcelowania Rosji i wydatnego osłabienia jej vis à vis Niemiec — nie tylko nie pogłębia fermentu w Sowietach lecz wydatnie go tłumi. Nie można być antykomunistą jeżeli antykomunizm jest równoznaczny ze zdradą nie ideologicznych lecz narodowych interesów. Po tej linii idzie propaganda sowiecka — a ci z nas, którzy głoszą konieczność rozbicia Związku Sowieckiego — grają w ręce nie Arżaków i Terców, ale ich sędziów i prokuratorów. Rosja Sowiecka musi być przebudowana w prawdziwy związek federacyjny czy luźniejszy *commonwealth* — lecz tego nie dokona pokolenie Kosyginów. W obecnej chwili, walka idzie nie o przebudowę Związku Sowieckiego, lecz o przebudowę komunizmu, tzn. pełną destalinizację.

Komunizm niewątpliwie ewoluuje, lecz jak dotąd w ramach doktryny. Za czasów Stalina — Terc i Arżak zostaliby rozstrzelani a zachodnie partie komunistyczne prześcigałyby się w obrzucaniu błotem obu nieszczęsnych pisarzy. Zmieniło się wiele i należy to docenić, gdyż dla ludzi mieszkających w bloku wschodnim są to przemiany wielkiej wagi. Lecz na pytanie czy komunizm jest zdolny do ewolucji będzie można autorytatywnie odpowiedzieć dopiero wówczas, gdy założenia doktryny zostaną poddane rewizji. Dziś krytykę — choćby najbardziej anachronistycznych założeń marksizmu uważa się za propagandę kontrrewolucyjną.

Wysuwamy program ewolucyjny z dwóch przyczyn. Po pierwsze sytuacja w europejskim bloku wschodnim sprzyja ewolucji. W owym zmaganiu między siłami naporu społecznego a policyjnym aparatem partii — szansa sukcesu jest niewątpliwie po stronie oponentów. Można bowiem poszerzyć i pogłębić zasięg fermentu, można wzmóc napór społeczny — lecz partii byłoby niezmiernie trudno na wzmożenie naporu odpowiedzieć nawrotem do metod stalinowskich. Gdyby napór rósł — partia zaczęłaby się cofać. Jeżeli ktoś zaczyna się cofać, wcześniej czy później dochodzi do punktu, z którego nie ma odwrotu.

Rozwiązanie ewolucyjne i pokojowe wydaje się nam również najbardziej zgodne z polskimi interesami. Rozkład Związku Sowieckiego i chaos w Europie wschodniej z całą pewnością nie leżą w polskim interesie.

Wschodni Europejczycy, a przede wszystkim Polacy, mogliby odegrać poważną rolę w procesie „europeizacji" Rosji. Lecz warunkiem wstępnym w tej sprawie jest przekonać i upewnić Rosjan a w szczególności inteligencję rosyjską, że przez europeizację rozumiemy wyłącznie likwidację totalizmu a nie likwidację Rosji jako mocarstwa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

SĄD IDZIE...

25 lutego br. minęło 10 lat od chwili wybuchu wielkiej bomby, którą wyeksplodował Chruszczow na XX Zjeździe partii komunistycznej Związku Sowieckiego. Z artykułów w prasie zachodniej, które w takiej czy w innej formie uczciły owe „millenium" — można by skompilować kilka pokaźnych tomów.

Najbardziej optymistyczną i równocześnie obiektywną wydała mi się uwaga Wiktora Zorzy, którą zamknął swój artykuł w „The Guardian".

Młodzi ludzie w Związku Sowieckim, którzy 25 lutego 1956 byli dziesięcioletnimi smykami — dziś liczą sobie lat 20. To jest pierwsze pokolenie, które nie pamięta i nie zna stalinowskiego terroru. Dodajmy, że jest to również pokolenie nie obarczone winą. Ci młodzi ludzie nie ponoszą odpowiedzialności za zbrodnie stalinowskiego reżymu, za czystki, mordy, łagry. W śledztwach NKWD nie wydawali swych przyjaciół, nie musieli łykać bez zmrużenia powieki najbardziej absurdalnych kłamstw i oskarżeń, nie musieli zgruntować dna upodlenia jak pokolenie uprzednie. Za 10 lat to nowe pokolenie osiągnie trzydziestkę i zacznie przejmować władzę. Dopiero gdy ostatni stalinowiec zejdzie ze sceny — proces de-stalinizacji historycznie będzie ukończony.

Słynny „tajny" referat Chruszczowa do dziś dnia nie został ogłoszony w Związku Sowieckim. I trudno się temu dziwić. Stalin nie działał w próżni. Za jego zbrodnie odpowiada cały jego aparat i wszyscy, którzy bezpośrednio i pośrednio z nim współpracowali. „Kult jednostki" w większej mierze określa postawę otoczenia Stalina niż samego Stalina.

Samodzierżca umarł mając 74 lat. Cierpiał na wysokie ciśnienie i inne dolegliwości. Można było go zgładzić jednym uderzeniem pięści — lecz nikt nie zdobył się na takie rozwiązanie. Stalin związał ze sobą współodpowiedzialnością za zbrodnie systemu całe pokolenie. Związał ze sobą również tych, których upodlił. Od pisarzy, którzy milczeli gdy ich kolegów wywożono do łagrów — trudno dziś wymagać by stanęli otwarcie po stronie Siniawskich i Danielów. Ci ludzie mogą uspokoić swoje sumienie tylko za cenę częściowej obrony Stalina i stalinizmu.

Całkowita de-stalinizacja musiałaby oznaczać zastąpienie fałszerstw obiek-

tywną prawdą historyczną. Lecz wówczas akt oskarżenia przeciw Stalinowi trzeba by rozszerzyć i objąć nim całe pokolenie przywódców i działaczy partyjnych. Ponieważ nikt nie może być sędzią i prokuratorem w swojej własnej sprawie — z procesem i wyrokiem trzeba zaczekać aż dojrzeje pokolenie nie obarczone winą i odpowiedzialnością.

W epoce powojennej problem pokoleniowy odgrywa znaczną rolę w całym świecie. Lecz nigdzie ów problem nie jest zagadnieniem tej miary co w Niemczech i w Rosji.

Hitler również związał ze sobą poczuciem winy i upodleniem całe pokolenie przywódców i aparatczyków. Od-hitleryzowania Niemiec nie przeprowadzili Niemcy tylko władze okupacyjne. Przywódcy hitlerowscy, których skazano i powieszono w Norymberdze byli sądzeni przez trybunał w którym nie było ani jednego Niemca.

Załóżmy dla przykładu, że Hitler padł ofiarą zamachu. Anty-hitlerowcy w sojuszu z konserwatywnymi kołami armii — utworzyli rząd i zawarli pokój, który uchronił Niemcy od okupacji. Wówczas od-hitleryzowanie Niemiec postępowałoby równie wolno i opornie jak de-stalinizacja w Sowietach. Pokolenie odpowiedzialne, współodpowiedzialne i pośrednio odpowiedzialne za zbrodnie Trzeciej Rzeszy — w częściowej obronie hitleryzmu widziałoby jedyną drogę pomniejszenia swojej winy.

Stalinowców sowieckich nie będzie sądził międzynarodowy trybunał. Lecz Aleksiej Kosygin, członek stalinowskiego Biura Politycznego (1948-52) — gdy jadąc ulicami Moskwy rządową limuzyną patrzy na tłumy młodzieży uniwersyteckiej może sobie powiedzieć słowami Terca, którego kazał zamknąć: Sąd Idzie...

DRAMAT ŚRODKÓW I CELÓW

Raport Rady Ekonomicznych Doradców *(Council of Economic Advisors)* liczący 306 stron druku, który prez. Johnson w początkach lutego przedłożył Kongresowi Stanów Zjednoczonych — jest nieporównaną epopeją sukcesu gospodarczego. Dochód Narodowy w ubiegłym roku wzrósł o 47 bilionów dolarów, dochód na głowę mieszkańca o 39 bilionów dolarów, zyski korporacji przemysłowych wzrosły o 20%, produkcja stali wzrosła o 16% i td. i td.

Od pięciu lat nieprzerwanie trwa bezprzykładny rozwój gospodarki amerykańskiej i nic nie wskazuje na to by ów cykl miał się załamać. Jeden z wybitnych ekonomistów brytyjskich wyraził niedawno opinię, że właściwie nikt nie wie na czym polega tajemnica wzrostu gospodarczego. Gospodarkę można porównać ze zdrowiem. Łatwiej jest powiedzieć czego nie należy robić by zachować zdrowie, niż sporządzić przepis co należy robić by zachować siły, i dobre samopoczucie.

Stosunkowo niedawno miałem możność przedyskutowania analogicznych problemów z rodakiem z kraju, który związany jest blisko ze sferami gospodarczymi. Zdaniem mojego rozmówcy komuniści — mam na myśli figury pierwszoplanowe — zdają sobie sprawę z faktu, że system gospodarczy nie pracuje.

W Stanach Zjednoczonych według cytowanego raportu Rady Ekonomicznych Doradców — zdolność produkcyjna amerykańskich zakładów przemysłowych wykorzystana jest w 97 procentach. Natomiast w Polsce — jak zauważył mój rozmówca krajowy — istnieją dziesiątki hal fabrycznych, które nie produkują niczego oprócz rdzy na bezczynnie stojących maszynach.

W oparciu o tzw. zdrowy rozsądek należałoby powiedzieć, że nie ma socjalistycznej i kapitalistycznej metody robienia kiełbasy. Kiełbasę można robić dobrą lub złą — tanio lub drogo i to wszystko. Nie ma również kapitalistycznej i socjalistycznej metody produkowania samochodów. Samochody, podobnie jak kiełbasę — można tylko produkować dobre lub złe, tanio lub drogo.

W oparciu o zdrowy rozsądek stwierdzić należy również, że istotą socjalizmu jest sprawiedliwy podział dochodu narodowego. Socjalista może nawet przyjąć, że akcent spoczywa na słowie „podział" a nie na słowie „dochód". Innymi słowy socjalista może reprezentować pogląd, że warto poświęcić pewien procent wydajności produkcyjnej — jeżeli jest to cena, którą trzeba zapłacić za urzeczywistnienie systemu maksymalnie sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Socjalista powie nam, że lepiej jest produkować nieco mniejszy wianek kiełbasy a sprawiedliwie go podzielić — niż produkować wielki wianek kiełbasy lecz zrezygnować ze sprawiedliwego podziału.

To są słuszne i szlachetne zasady z jednym istotnym zastrzeżeniem. Ideologia podziału kiełbasy nie może paraliżować procesu jej produkcji — bo wówczas, choć istnieje system podziału — nie ma czego dzielić. Powiem więcej: doktryna podziału dochodu narodowego, która hamuje dynamikę rozwoju gospodarczego — jest *fałszywą* doktryną podziału dochodu narodowego ponieważ stanowi przykład środków, które unicestwiają cel.

Marksistowski ekonomista czy socjolog, gdyby brał udział w naszej dyskusji zauważyłby w tym miejscu, że komuniści odrzucają zasadę, która głosi, że cel uświęca środki. Nawet wysokie osiągnięcia gospodarcze nie mogą usprawiedliwić kapitalistycznych metod produkcji.

Reprezentuję pogląd, że w ramach zdrowego rozsądku cel uświęca środki. Bicie laską ludzi po głowie jest na pewno metodą haniebną. Lecz uderzenie laską w głowę bandyty, który w biały dzień wymierza pistolet w pierś listonosza pieniężnego, jest metodą nie tylko dozwoloną lecz chwalebną. Pozbawienie ludzi możności zmiany miejsca pobytu zakazami administracyjnymi — jest odrażającym przejawem terroru. Lecz ten sam zakaz zastosowany lokalnie i czasowo w okresie epidemii tyfusu jest w pełni usprawiedliwiony.

Istnieje tylko jedno kryterium oceny w tych sprawach a mianowicie dobro publiczne. Można w danej sytuacji zastosować surowe środki i metody, lecz musi być oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że wydane zarządzenia służą dobru publicznemu. Tym różni się pragmatyk od ideologa. Pragmatyk gotów jest do rozsądnego kompromisu ilekroć wzgląd na dobro publiczne tego wymaga. Dla ideologa każdy kompromis jest zdradą lub „sekciarskim odchyleniem".

Zaczęliśmy od kiełbasy więc trzymajmy się gastronomii. Zarówno cudzoziemcy jak i Polacy zagraniczni odwiedzający kraj stwierdzają zgodnie, że dziś w Polsce dobrze zjeść można tylko w domu prywatnym. W tym wypadku poświęcono dobro publiczne dla ideologicznego dogmatu — grze-

biąc tradycje polskiej kuchni, która przed wojną uchodziła za jedną z najlepszych w Europie. O szczebel wyżej w płaszczyźnie ogólno-przemysłowej — obserwujemy w Polsce nieśmiałe próby pogodzenia mechanizmu rynkowego z centralnym planowaniem — pogodzenia praw popytu i podaży z państwową kontrolą cen, inwestycji, funduszu płac, przydziału surowców i td.

Bardzo trudno jest pogodzić pragmatyczną gospodarkę z dogmatyczną ideologią. Skłonny jestem przypuszczać, że na dalszą metę nie okaże się to możliwe. Nikt nie wymaga od marksistów by zrezygnowali z socjalizmu. Marksiści powinni jednak postawić wreszcie kropkę nad „i" uznając że staroświeckimi doktrynalnymi metodami socjalistycznymi nie można zbudować socjalizmu. Socjalizm musi oznaczać nie tylko sprawiedliwy podział dochodu narodowego lecz dobrobyt dla wszystkich. W państwie, które dziesiątkami lat nie jest w możności wydobyć się z serii kryzysów gospodarczych, które nie jest w możności stworzyć dostatecznych rezerw dóbr konsumpcyjnych — centralny problem socjalizmu, tzn. kwestia podziału dochodu narodowego, traci sens i znaczenie. Nie ma ani o co walczyć ani nad czym dyskutować — bo nie ma czego dzielić.

W Stanach Zjednoczonych problem podziału dochodu narodowego jest zagadnieniem kapitalnym — bo jest co dzielić. Nawet najkrytyczniej ustosunkowany do Ameryki obserwator musi przyznać, że podział dochodu narodowego w Stanach Zjednoczonych, choć daleki od ideału, z każdym rokiem staje się społecznie sprawiedliwszy.

Oba systemy światowe oddziaływują na siebie wzajemnie. Po tej stronie mamy coraz więcej centralnego planowania, państwowych służb społecznych i tp. — po tamtej stronie próby adaptacji mechanizmu rynkowego, motywu zysku i tp.

Lecz jakie wnioski stąd wypływają? Mój wniosek, który stanowi tezę niniejszych rozważań — ująć można w sposób następujący: Ameryce łatwiej jest zrealizować ideał sprawiedliwego podziału dochodu narodowego niż Związkowi Sowieckiemu osiągnąć ideał dobrobytu dla wszystkich. Stanom Zjednoczonym łatwiej przyjdzie zapewnić stałą pensję każdemu obywatelowi niż Związkowi Sowieckiemu przestawić swą gospodarkę w ten sposób, by osiągnęła choćby tylko 60% wydajności amerykańskiej.

Dobrobyt dla wszystkich i sprawiedliwość społeczna — to jest najkosztowniejszy ustrój pod słońcem. Taki ustrój budować można w oparciu o wypróbowany system ekonomiczny. Istotą sukcesu amerykańskiego jest zdolność do ewolucji i pragmatyzm. W polskich warunkach pragmatyzm musiałby oznaczać zwycięstwo zdrowego rozsądku nad doktryną.

Innymi słowy marksiści musieliby przyjąć postawę pragmatyczną i wykazać gotowość do kompromisu w wypadkach gdy wzgląd na dobro publiczne wymaga odstępstwa od doktryny. Można mieć socjalizm i znakomite prywatne restauracje i — odwrotnie — można mieć uspołecznione marne jadłodajnie i nie mieć socjalizmu. Lecz przede wszystkich marksiści musieliby sobie uświadomić, że najpierw trzeba rozbudować gospodarkę a dopiero w następnej kolejności budować socjalizm. Socjalizm to jest wydatkowanie z kasy państwowej na olbrzymią skalę. By móc płacić pracownikom wszystkich szczebli wysokie stawki i zapewnić im sprawnie funkcjonujące służby społeczne — trzeba mnóstwa pieniędzy. Bez pieniędzy może się obejść dyktatura takiego czy innego generała — lecz prawdziwego, nowoczesnego socjalizmu bez pieniędzy mieć nie można.

Przed socjalizmem nie ma ucieczki ponieważ postęp społeczny jest równoznaczny z socjalizmem. Słuszność podstawowych zasad socjalizmu jest bezsporna i oczywista. Dyskusja dotyczy tylko środków a nie celów. Najsłabszym punktem wszystkich teorii socjalistycznych jest strategia środków. Ponieważ do tej pory nigdzie na świecie nie zbudowano idealnego ustroju socjalistycznego — problem metod jest kwestią otwartą.

W oparciu o półwiekowe doświadczenie w Związku Sowieckim należy obiektywnie stwierdzić, że upaństwowienie środków produkcji nie prowadzi automatycznie do socjalizmu. Z chwilą gdy partia komunistyczna w danym państwie obejmuje władzę — środki produkcji zostają upaństwowione a nie uspołecznione. Wszystkie fabryki w Związku Sowieckim czy w Polsce — są fabrykami państwowymi. Robotnicy w fabrykach państwowych — w przeciwieństwie do fabryk uspołecznionych — nie mają nic do powiedzenia. Tłumaczy im się natomiast, że ponieważ „ich" partia rządzi państwem a państwo zarządza fabrykami — więc robotnicy poprzez partię rządzą zarówno państwem jak i produkcją. W praktyce nie rządzą niczym.

W moim przekonaniu jest obojętne kto produkuje, pod warunkiem by produkował sprawnie, wydajnie i tanio. Z punktu widzenia socjalizmu istotny jest tylko *podział* a nie metoda produkcji.

Badania ustaliły, że około 18% rodzin w Wielkiej Brytanii żyje poniżej minimalnego poziomu ustalonego przez *National Assistance Board*. Około 7 i pół miliona mieszkańców Anglii żyje w biedzie. Nawet w Londynie stwierdzono wypadki, że dziecko przez trzy miesiące nie chodziło do szkoły — ponieważ wyrosło z butów a rodzice nie mieli pieniędzy by kupić nowe buty. (Report by prof. Brian Abel-Smith and prof. Peter Townsend).

Zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Anglii istnieją rezerwaty biedy. Radykalnej przemianie uległ natomiast stosunek do biedy. Krystalizuje się po obu stronach Atlantyku przekonanie, że każdemu obywatelowi przysługuje z prawa udział w powszechnym dobrobycie. W odczuciu współczesnego człowieka Zachodu — bieda jest nie tyle krzywdą społeczną co bezprawiem. Prawo do konsumpcji winno przysługiwać wszystkim. Tym, którzy nie są w możności pokryć swego rachunku konsumpcyjnego — musi przyjść z pomocą państwo. Nie w drodze łaski — lecz z mocy prawa.

Lecz w tej delikatnej materii niejednokrotnie socjalizm utrudnia socjalizm. Ludzie pracy — w białych kołnierzykach i bez białych kołnierzyków — wychowani są od pokoleń w poglądzie, że różnica pomiędzy nimi a kapitalistami sprowadza się do źródła dochodu. Kapitalistą nie jest lekarz, który ciężką pracą zarabia 5 tysięcy funtów rocznie. Kapitalistą jest natomiast człowiek żyjący choćby tylko z tysiąca funtów rocznie jeżeli ów dochód stanowi dywidendę od papierów wartościowych odziedziczonych po ojcu, dziadku czy stryju. Kapitalistą jest człowiek, który nie musi pracować, który żyje z pieniędzy niezarobionych *(unearned income)*.

Istnieje plan zastąpienia „National Assistance Board" ministerstwem bezpieczeństwa społecznego. Polakowi „bezpieczeństwo" kojarzy się z Bezpieką. Oczywiście nazwa „Ministry of Social Security" w przekładzie na język polski winna brzmieć „ministerstwo ubezpieczeń społecznych".

Owa proponowana zmiana terminologicznie jest bardzo ważna. Słowo „assistance" oznacza pomoc. „Security" oznacza ubezpieczenie. Ubezpiecze-

nie to jest coś co się należy — pomoc to jest zawsze filantropia. Ujawniono oficjalnie, że 700 tysięcy osób uprawnionych do pomocy z Assistance Board nie korzysta z niej. Z powyższej cyfry jedna osoba na pięć oświadczyła, że duma nie pozwala jej korzystać z dobroczynności. Dobroczynność jest niewątpliwie najbardziej upokarzającą formą dochodu niewypracowanego *(unearned income)*.

Pomijam fakt, że w znacznym procencie ci, którzy odmawiają pomocy z NAB — płacili składki przez wiele lat i zasiłek należy im się z prawa nie w formie dobroczynności. W tym wypadku chodziło mi tylko o wykazanie jak trudno jest w aspekcie społecznym i psychologicznym — rozbić tradycją uświęcony związek zarobku z konsumpcją.

„Kto nie pracuje ten nie je" jest najbardziej antysocjalistyczną zasadą jaką kiedykolwiek sformułowano. Kapitalista odmawia prawa do konsumpcji pracownikowi, który nie pracuje. A czy dany robotnik pracuje czy nie pracuje zależy wyłącznie od kapitalisty, którym, w ojczyźnie cytowanego sloganu, jest państwo.

Dlaczego zasada „każdemu według jego potrzeb — każdy według swych możliwości" — nie przyniosła spodziewanych wyników? Odpowiedź jest prosta: ograniczono możliwości — spętano je nieżyciową doktryną ekonomiczną. Jeżeli potrzeby każdego obywatela mają być zaspokojone — za socjalistyczny należy uznać ten system gospodarki, który umożliwiłby sfinansowanie socjalistycznego „Welfare State". Gospodarka, która uniemożliwia sfinansowanie socjalizmu — choćby stanowiła zaprzeczenie kapitalizmu — nie jest gospodarką socjalistyczną.

Pierwszy krok na tej drodze nie wymagałby odstępstw od uznanych wzorów. Należałoby natomiast zapoznać się bliżej choćby z gospodarką bratniej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ulbricht reprezentuje pogląd, że „sektor prywatny" w przemyśle ważniejszy jest niż „sektor prywatny" w rolnictwie. Kolektywizacja w rolnictwie w NRD obejmuje niemal 90% gospodarstw. Natomiast w przemyśle „sektor prywatny" i „sektor mieszany" kwitną. W NRD istnieje 4600 przedsiębiorstw państwowo-prywatnych. Kapitalista, którego udział wynosi 25% jest dyrektorem i otrzymuje do ręki jedną czwartą czystego zysku. W ten sposób kapitalizm wprzągnięto w służbę socjalizmu — co osobiście uważam za pomysł interesujący. Gospodarka NRD jest trój-sektorowa i obejmuje przedsiębiorstwa państwowe, prywatne i mieszane. Osiągnięcia wschodnio-niemieckiego modelu mieszanego są znacznie lepsze niż wszystko czym może pochwalić się PRL.

Niestety Gomułce i towarzyszom wydaje się, że socjalizm polega na obaleniu kapitalizmu i niedopuszczeniu do jego odrodzenia. Likwidacja kapitalizmu nie pociąga jednak za sobą automatycznie narodzin socjalizmu. Wydaje mi się jednak, że komuniści, którzy spędzili swą młodość na walce z ustrojem kapitalistycznym nigdy tego nie zrozumieją.

WIETNAMSKIE MONACHIUM

W debacie wietnamskiej uczestniczy cały świat zachodni. Każdego dnia pojawiają się dziesiątki artykułów na ten temat. Publicyści, pisarze, profesorowie, ex-ambasadorowie, intelektualiści niemal jednomyślnie potępiają Amerykanów. Szczególnie jednolity front prezentują intelektualiści.

Jednomyślność budzi we mnie nieprzepartą nieufność. W życiu i w polityce jest niezmiernie mało problemów absolutnie jasnych i absolutnie dokładnie rozpoznanych, które usprawiedliwiałyby postawę jednomyślną. Krystalizatorem postaw jednomyślnych w większości wypadków są czynniki emocjonalne jak nienawiść, lęk i tp. Ludzie boją się rozszerzenia konfliktu wojennego i pragną pokoju. Gdyby Amerykanie jutro opuścili Wietnam nastąpiłby pokój. Oczywiście gdyby Ho Chi-minh wyraził zgodę na podjęcie negocjacji pokojowych — działania wojenne ustałyby natychmiast.

Dlaczego wszyscy krytykują prez. Johnsona a nikt nie krytykuje Ho Chi-minh'a?

Odpowiedź na powyższe pytanie nie nasuwa trudności. Społeczeństwa zachodnie, a w szczególności społeczeństwo amerykańskie, mogą na prez. Johnsona wpływać, a nawet wywierać nacisk. Natomiast na Ho Chi-minh nie mamy wpływu ani nie możemy na niego wywierać nacisku. Nie jest istotne że słuszność jest niewątpliwie po stronie prez. Johnsona. Istotny jest tylko fakt, że na prez. Johnsonie można wymusić ustępstwa, a na Ho Chi-minh nie można wymusić ustępstw.

Choć Stany Zjednoczone nie są Czechosłowacją — wyżej przytoczony schemat myślowy stanowi klasyczny wzorzec mentalności monachijskiej. Naciska się na tę stronę w sporze, którą można zmusić do ustępstw. Obojętne jest po której stronie jest racja i słuszność.

Owego września 1938 r. panowała zdumiewająca jednomyślność opinii, że nacisk należy wywrzeć na Czechosłowację — ponieważ na Pragę można było naciskać, a na Berlin nie. Jeżeli pokój miał być uratowany ktoś musiał ustąpić. Oczywiście ustąpić musiała ta strona w sporze, na której Zachód mógł wymusić ustępstwa. Fakt, że Hitler był agresorem a Czechosłowacja ofiarą nie zburzyły budującej jednomyślności w tej sprawie. Zasada monachijska jest prosta: skapitulować musi ta strona — obojętne czy ma rację czy nie — na której można wymusić kapitulację. Czechosłowację można było zdradzić i zmusić do ustępstw i za tę cenę „uratować" pokój. Natomiast Hitlera nie można było zmusić do ustępstw bez użycia siły.

Jest rzeczą zdumiewającą, że w sprawie wietnamskiej piętnuje się Amerykanów, którzy są z powołania i przekonania negocjatorami i wykazywali zawsze większą skłonność do kompromisu niż do „demonstracji siły".

Ho Chi-minh wysuwa dwa żądania, od których nie odstąpił na milimetr. Domaga się: ewakuacji Amerykanów z południowego Wietnamu oraz uznania Wietkongu jako jedynego politycznego reprezentanta południowego Wietnamu. Jak dotąd Hanoi nie proponuje negocjacji, tylko domaga się od Amerykanów kapitulacji.

Wietnam stał się poligonem dwóch koncepcji globalnej polityki komunistycznej. Gdyby Amerykanie skapitulowali, narody Azji i Afryki musiałyby dojść do przekonania, że chińska doktryna lokalnych „wojen wyzwoleńczych" jest słuszna i prowadzi do celu. Natomiast sowiecka doktryna pokojowej koegzystencji jest de facto zamaskowaną kolaboracją z imperialistami. I z tych przyczyn klęska w Wietnamie w dalszej perspektywie — być może, pociągnęłaby za sobą równie poważne konsekwencje jak Monachium.

ALCAZAR I CZĘSTOCHOWA

Geoffrey Moorhouse na łamach „The Guardian" (2 i 3 marzec br.) poświęcił dwa artykuły sprawie stosunków pomiędzy kościołem a partią w Polsce Ludowej.

W artykule z dn. 3. 3. br. Moorhouse pisze dosłownie, że biskupi polscy w liście zapraszającym biskupów hiszpańskich na uroczystości jasnogórskie „wyrazili sympatię dla nacjonalistycznych obrońców Alcazaru w czasie wojny domowej i przyrównali walki kościoła hiszpańskiego w owym okresie do zmagań polskiego kościoła".

Jeżeli informacje G. Moorhouse'a są ścisłe — a niestety nie ma powodu w to wątpić — biskupi polscy popełnili nietakt i błąd.

Wierzący katolik jest z definicji przeciwnikiem ateizmu, który stanowi kamień węgielny komunizmu. Lecz jest katastrofalnym błędem identyfikowanie antykomunizmu z faszyzmem. W ten sposób dostarcza się rzeczowych argumentów komunistom, których propaganda usiłuje zawsze przedstawić przeciwników komunizmu jako faszystów.

Katolicy hiszpańscy — o czym polscy biskupi prawdopodobnie nie wiedzą — odgrywają bardzo poważną rolę w ruchu anty-faszystowskim i bynajmniej nie wszyscy katoliccy prałaci w Hiszpanii są entuzjastami gen. Franco.

LONDYŃCZYK

ISTNIEJĄCA OD ROKU 1833

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bd Saint-Germain
PARIS, VIe
Tel.: 326-04-42

posiada stale na składzie duży wybór:
— **książek polskich** — emigracyjnych i krajowych oraz
— **książek francuskich**
— załatwia wszelkie zlecenia w zakresie handlu księgarskiego
— przyjmuje prenumeraty czasopism polskich i francuskich
— udziela bezinteresownych informacji i wskazówek.

Kraj

Z polskiej rzeczywistości

MŁODZIEŻ

Niewiele pewnie jest krajów w Europie, gdzie sprawy młodzieży miałyby takie znaczenie jak w Polsce. Przyczyną pierwszą jest fakt, że Polska jest krajem o niesłychanie wysokim procencie obywateli poniżej pełnoletniości. Sam widok miast takich, jak na przykład Nowe Tychy wprawia w zdumienie — i nie na darmo, bo właśnie tam liczba dzieci i młodzieży sięga 70% ogółu mieszkańców. Słynny już „wyż demograficzny" stał się postrachem rządu, sejmu, partii i ludzi starych, którym grozi wcześniejsza emerytura, co ma państwu zaoszczędzić pieniędzy i dać więcej miejsc pracy dla młodych następców.

Jaka jednak jest ta młodzież, co reprezentuje, jak i co myśli? I odpowiedź na to pytanie jest tak samo skomplikowana, jak nieproste są sprawy młodzieży. Oglądając zatłoczone sale wykładowe wyższych uczelni, studenckie kluby, kawiarnie, winiarnie, wreszcie boiska huligańskich rozróbek przed Pałacem Kultury, albo na Targowej od Dworca Wileńskiego do Bazaru Różyckiego — można wyciągnąć najrozmaitsze wnioski. Jeden, i pierwszy, jaki się narzuca, to ten, że młodzież ma sporo pieniędzy i jeszcze więcej czasu. Tak jak wśród dorosłych, tak i wśród młodzieży trudno by było ustalić z całą precyzją źródła dochodów, bo oficjalne są z pewnością mniejsze niż wydatki. „Fukier", który stał się Mekką „młodziaków" we włoskich butach nie jest tanim miejscem rozrywki, a jednak znalezienie tam stolika należy do cudów. To samo dotyczy MDMowskiej „Niespodzianki" i niejednego nocnego lokalu o nader podejrzanej reputacji. A pieniądze na te niezawsze najlepszego gatunku rozrywki albo pochodzą z niezupełnie czystych źródeł, albo od rodziców, którzy, jak to się w Polsce mówi, mieli „ciężkie dzieciństwo" i chcą swym pociechom życie osłodzić. To słodzenie prowadzi czasem — i to nierzadko — do sądu, gdy młody człowiek wcześniej umiejący wydawać pieniądze, niż je zarabiać, straci nagle rodzicielskie wsparcie, a

nie potrafi się odzwyczaić od *dolce vita*. A przy tym wzorów do naśladowania i celów zazdrości nawet w Polsce nie brak. Rozbijają się po kraju od Sopotu po Zakopane synkowie aparatczyków i „badylarzy" Volkswagenami (od 100 do 150 tysięcy zł na prywatnym rynku) a niech by tylko Syrenami — wysiadują nad whisky na Gubałówce i podrywają kociaki po „Jędrusiach" i Grand Hotelach. „I pan Krupa chciał być taki" — toteż normalna kolejka marzeń każdego młodego człowieka jest następująca: chata, szkło, gablota* i w tym wszystkim cizie, czyli szmatki, czyli złote rybki, czyli kociaki. Abstrahując od warszawskiego żargonu takie marzenia nie byłyby w zasadzie czymś zdrożnym, ale w warunkach ekonomicznych epoki Gomułki są drogą legalną trudne do zrealizowania. Te dążenia i marzenia dają nieraz przedziwne i wcale nie zamierzone przez partię rezultaty. Tak się stało na przykład z Nową Hutą, „pierwszym socjalistycznym miastem", które po okresie baraków, błota i — już nie huliganów — po prostu bandytów stało się najbardziej drobnomieszczańskim miastem (dokładniej dzielnicą) w Polsce. Dziś łatwiej o nocny napad w starym Krakowie niż w odległej zaledwie o siedem km Nowej Hucie, gdzie w niedzielę niedawni rozrabiacze po mieszczańsku dorobieni wychodzą na spacer z dziećmi w różane aleje, albo łapią ryby nad niedalekim Jeziorem Rożnowskim. Tam zadziałał przykład dobrze znany z dawnej ojczyzny młodych robotników — przykład pana rejenta z Kłaja czy pana aptekarza z Kolbuszowej. Na pewno nie tak miało wyglądać socjalistyczne miasto — ale tak wygląda typowe młode miasto, jakkolwiek by się ono miało w partyjnej nomenklaturze nazywać.

Beznadziejnością zioną ciche uliczki Zamościa, czy Węgrowa, Zambrowa czy Góry Kalwarii: młodzież nie ma co robić, nie ma się gdzie podziać; może nie być kina, telewizja jeszcze nie dociera — ale knajpa na pewno jest, z zielonym szyldem Samopomocy Chłopskiej, gdzie łatwiej o czerwoną kartkę** niż o świeży chleb, — ale za to trudno o pieniądze. Nie od dziś też trwa masowy exodus młodych na „budowy socjalizmu" do Turoszowa, Konina, Płocka — tak jak dawniej do Nowej Huty. Za nimi zostają na łasce starych pozostawione gospodarstwa, bo nawet średnie czy wyższe studia agronomiczne dopełnione w mieście nie zmuszają do powrotu, gdy weselej i łatwiej się żyje w zneonizowanych punktach zbiorowego mieszkania. Wieś jest nudna i, co najważniejsze, bez przyszłości — chyba, że się jest badylarzem, albo hoduje ślimaki na eksport do Francji — ale na to idą raczej znudzeni miastem niedożywieni nauczyciele, czy niedopłaceni inżynierowie; wiejska i małomiasteczkowa młodzież zapełnia wielkie miasta uzupełniając szeregi niskokwalifikowanych robotników, a często luki wśród drobniejszych huliganów, koników i zwykłych obiboków. Jest oczywiście spora liczba wiejskiej młodzieży na wyższych uczelniach, ale mimo stypendiów i

* Przekład na wszelki wypadek: mieszkanie, wódka, samochód.
** Najtańszy gatunek wódki.

wielu ułatwień, trzeba samozaparcia i dużej wytrwałości, by w tych warunkach ukończyć kilkuletnie studia. Zresztą procent młodzieży wiejskiej na uniwersytetach i politechnikach jest w stosunku do wkładanych wysiłków rządu i organizacji młodzieżowych, bardzo niewielki. W ustroju, gdzie państwo przyzwyczaja swych obywateli, że będzie za nich myśleć i działać, łatwo jest o powstanie przeświadczenia, że wszystko „się należy" i to należy jak najprędzej i bez wielkiego wysiłku. Te prawdy miasta odkryły już dość dawno, a teraz odkrywa je młodzież napływowa. Rezultaty są tylko smutne, a pociechą może być fakt, że i władcom zaczyna świtać, gdzie leży ich błąd. Na to przeświadczenie pracowały jednak lata, i teraz trzeba będzie jeszcze dłuższych lat, by to odrobić. Hasło „czy się robi czy się leży dwa patyki się należy" weszło w krew, i chociaż o te dwa patyki wcale nie jest łatwo, to bez nich „nie warto" nic robić. Pewien znajomy Amerykanin, po kilkomiesięcznym montażu urządzeń stoczniowych w Polsce, tak streścił swoje wrażenia: „na zachodzie pieniądz znaczy dużo, ale w Polsce: wszystko". Kłopot polega na tym, że niezawsze pieniądze opłaca się zarabiać. Łatwiej o nie, gdy przychodzą same: przez „konikowanie" pod kinami albo koło stadionów i hal sportowych, przez hazard nie tylko na wyścigach, ale nawet przy szachach, nie mówiąc o niezapomnianych trzech kartach, przez prostytucję i sutenerstwo, z których tylko to drugie jest nielegalne, bo „paragraf zero" nadal obowiązuje. Po młodzieżowych lokalach wysiadują piętnasto i szesnastoletnie prostytutki w towarzystwie niewiele starszych alfonsiaków rajfurzących swoje podopieczne starszym panom żądnym wrażeń. Zaawansowana sorta uczęszcza do nocnych lokali odwiedzanych przez „dewizowych", a w Szczecinie, Gdańsku czy Gdyni nie wiadomo czy w ogóle są inne lokale, niż podległe miejscowym królowym portowego półświatka rządzonego przez niewidocznych, a jednak dobrze milicji i prokuraturze znanych, kundów*. W śp. „Bajce" czy w „Café Clubie" w Szczecinie znajdzie się wśród tamtejszych cór Koryntu niejedna studentka, była urzędniczka, dziewczyna z dobrego domu — zbierająca w ten sposób pieniądze na posag, na mieszkanie, na samochód... I to też jest młodzież.

To wszystko nie są tajemnice, o tym się wie, nawet czasem pisze, ale nigdy nie wyciąga na zjazdach i kongresach, plenach (plenumach jak mówi minister Naszkowski!), sesjach i innych odświętnych miejscach dyskusji bez dyskusji. Oczywiście prostytucja i huligaństwo nie są polską specjalnością, spotyka się te zjawiska na całym świecie, i to w może jeszcze większej skali, ale rzecz jest w tym, że tak się dzieje w określonym ustroju i za parawanem wielkich słów i jeszcze większych przyrzeczeń.

Są i inni, jest ich wielu, młodzi ludzie, którzy tworzą i budują, coraz bardziej znani na całym świecie: młodzi architekci, ar-

* „Kunda" — „przedsiębiorca" handlowy w strefie wolnocłowej, wynajmowany również dla zabicia, pobicia i tp. — rekrutuje się na ogół spośród wysłużonych marynarzy, nierzadko członków partii.

tyści pędzla, pióra i kamery filmowej, inżynierowie, lekarze, młodzi uczeni — pracujący z całym zapałem dla państwa, a nieraz i wbrew państwu. Niezawsze ich wysiłki są oceniane tak jak na to zasługują, i niezawsze znajdują zrozumienie u niedouczonych stołecznych i prowincjonalnych kacyków. Jakie są ich poglądy? jakie ich dążenia? Na pewno niedalekie od wyników ankiety wśród studentów z roku 1961, kiedy to zaledwie kilka (4?)* procent uznało się za marksistów. A dążenia też podobne do byłych rozrabiaczy z Nowej Huty, tylko realizowane w sposób mniej wzorowany na aptekarzach i rejentach z Kłaja Dolnego.

Wyż demograficzny obok znanych już skutków, wywołał jeszcze jeden: podniesienie barier kwalifikacyjnych. Dziś, żeby być personalnym nie wystarczy być konfidentem UB, trzeba coś umieć. Oficerowie milicji i wojska coraz częściej pytani są o wyższe wykształcenie, a nawet gromadzcy urzędnicy pisują na maszynie. Małomiasteczkowe magistraty zapełniają się powoli (bardzo powoli) ekonomistami, prawnikami i nawet zdarzają się dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych ze średnim wykształceniem. To podniosło rangę szkoły wyższej jako środka zapewnienia sobie jeżeli nie dochodów, to przynajmniej stałej pracy — i nikt już nie ukrywa swego magisterium czy doktoratu dla utrzymania się na wyższym poziomie zarobkowym jak to nieraz dotąd bywało, gdy laborant był wyżej płatny od młodego lekarza, a tokarz od inżyniera.

Przybyło Polsce kilkanaście tysięcy fabryk, tłucze się we Wrocławiu taśmowo mózgi elektronowe, buduje ileś tam statków rocznie, produkuje się zegarki, tranzystory, telewizory, steelon, orlon i elanę, ale, o niekonsekwencjo polska, najwięcej zgłoszeń na wyższe uczelnie przypada na tak egzotyczne studia jak archeologia śródziemnomorska, orientalistyka, historia sztuki, plus kilka bardziej pożytecznych w polskich warunkach jak handel zagraniczny i nowo otwarte studium afrykanistyczne. Wyjaśnienie tej zagadki jest oczywiście niezmiernie proste: każdy z kandydatów ma przed oczami jeden cel — jego zdaniem to są studia najwłaściwsze, żeby móc jeździć za granicę z wygodnym i bezbolesnym paszportem służbowym. A wyniki: jeden archeolog jest speakerem w telewizji warszawskiej, a turkolog urzędnikiem w amerykańskiej ambasadzie — i to jest jeszcze dobrze, bo bywają absolwenci historii sztuki, którzy chyba do końca świata będą szlifować bruki zwłaszcza od czasu, kiedy budżet ministerstwa kultury przestał przewidywać „zbędne" etaty w muzeach i galeriach sztuki. A jednak pęd do wyjazdów zagranicznych jest tak wielki, że napływ na nierealistyczne w polskich warunkach fakultety trwa. Niewiele zdaje się znaczyć kolosalne zapotrzebowanie na matematyków, fizyków i chemików, skoro na pierwszym z wymienionych wydziałów bywały wolne miejsca. Cóż, skoro matematyk może pojechać najwyżej do Bułgarii czy Czechosłowacji, a fizyk jeśli będzie dobry, może być wysłany

* Nie pamiętam dokładnie.

do podmoskiewskiej Dubnej, by dać się okradać ze swoich odkryć i wynalazków.

Bujne życie studenckie w latach popaździernikowych, czasy „Stodoły", „STSu", krakowskiej „Piwnicy", — straciły na barwach, na żywiołości, na ostrości politycznej. Pojawili się organizatorzy z urzędu, a za nimi niezbędna biurokracja, cenzura i drętwa mowa. Kabaretowe premiery przestały być wydarzeniem i stały się jeszcze jednym miejscem „gdzie się bywa" — ale niezawsze wiadomo po co. Z dawnych amatorów wyrośli do dziś zawodowcy, a nowych nie ma, bo nie powinni być. Istnieją nadal kluby studenckie, „Hybrydy", „Largactil", „Jaszczury" i wiele innych, ale niewiele w nich zostało z dawnego życia i barwy. Przychodzi się tam potańczyć, pograć w bilard, w szachy czy brydża, pójść do baru na wino — to prawie wszystko. Nie lepiej się dzieje z prasą młodzieżową. Jeżeli nie gorzej. Z dawnego best-sellera „Dookoła Świata" zrobiła się po polsku mówiąc „chała", z „Nowej Wsi" — nie, bo nigdy nie była dobra. O prasie studenckiej lepiej nie mówić. „Płomyk" — jak za najlepszych czasów Wasilewskiej. Z dawnego „Po Prostu" nie zostało śladu, a redakcję porozstawiano po kątach od radia po „Kulisy". Nielepsze będą losy młodej literatury po wystąpieniach znanych krytyków literackich Gomułki i Kliszki. Obaj są bezwzględni w swych opiniach i nie ma chyba granic, przed którymi, by się zatrzymali skoro nie wahali się postawić przed sądem syna ministra Modzelewskiego, komunistycznego świętego, którego nazwiskiem nazwano ulice i uczelnię. Nie ma miejsca w Polsce dzisiejszej dla myślenia innego, niż tego sobie życzą władze. Czuwa nad tym niezawodny Gazrurka-Witaszewski, który ma chyba już teraz wolną rękę w rozwiązaniu zagadnienia niegrzecznych intelektualistów przy pomocy metalowego narzędzia bandytów z jego rodzimej Woli. Polska przestała być „najweselszym barakiem w obozie socjalizmu".

Oderwanie ogromnych mas młodzieży od ich wiejskich domów, stosunków, otoczenia, bliskości proboszcza, musiało wydaje się, z konieczności rzeczy wpłynąć na inne ukształtowanie się światopoglądu, oddalenie od kościoła. Tak może w pewnym stopniu się stało. Ale tylko w pewnym stopniu. Miejska w pierwszym pokoleniu młodzież tkwi głęboko w tradycjach polskiej wsi. Manifestuje się to nie tylko trzymaniem kur na balkonach, a świń albo węgla w wannach, ale także niezmiennym przywiązaniem do głębszych treści niż zamiłowania hodowlane. Wprawdzie w mieście ksiądz jest dalej i przestał być osobą pierwszą i najważniejszą, ale kościół jest artykułem pierwszej potrzeby, choćby stał na skrzyżowaniu ulic Marksa i Budowniczych. Kościoły są pełne nie tylko ludzi starych, ale i młodych. Exodus młodzieży wiejskiej na pewno w dużym stopniu przyczynił się do tego — a ulica przed kościołem nawet w Warszawie wygląda trochę jak w Piasecznie czy Sokołowie, będąc miejscem spotkań sąsiadów i podziwiania niedzielnych kreacji. Słyszałem nieraz na Zachodzie ludzi martwiących się jak będzie wyglądało wycho-

wanie religijne najmłodszego pokolenia w Polsce Ludowej. O to zadbała partia i rząd stwarzając takie warunki ekonomiczne, w których na ogół oboje rodzice muszą pracować na utrzymanie domu, a troskę o wychowanie dzieci zostawiają babciom-dewotkom. I bywa tak nierzadko, że nawet mało przejmujący się religią rodzice miewają dzieci wyjątkowo religijnie wychowane. Nawet ekonomia marksistowska jak z tego widać miewa swoje absolutnie nieoczekiwane osiągnięcia i sukcesy...

Dziwne może się wydawać, że w kraju tak surrealistycznym jak dzisiejsza Polska rośnie młodzież właściwie bardzo realistyczna (nawet studia archeologii śródziemnomorskiej mają przecież swoje bardzo realistyczne usprawiedliwienie). Zresztą może nam się tylko wydaje, że Polska jest surrealistyczna, bo przecież jeżeli krakowska Spółdzielnia Młoda Gwardia sprzedaje baranki wielkanocne, to chyba wie, że na tym zarobi. A nazwa? Polska też się przecież nazywa demokracja ludowa.

ŁAPÓWKI

Temat właściwie stary jak świat (oczywiście powojenny), bohater niejednego dowcipu, niejednej smutno-zabawnej historyjki i niejednego procesu — ale pewnie niewielu rodaków na emigracji zdaje sobie sprawę jak szeroko i jak głęboko ten nowy styl sięga. W zasadzie sprawa łapówek wypływa dopiero wtedy, kiedy o kimś w rozdzielniku zapomniano, i ten ktoś poczuł się dotknięty pominięciem.

Sprawa zaczyna się właściwie od tego, że w Polsce można wszystko, ale to absolutnie wszystko kupić — zależy tylko za ile. A to „ile" stoi w kuszącym związku z przeciętnym zarobkiem. To znaczy jeżeli na przykład pracownik stacji benzynowej zarabia 1000 zł miesięcznie, a jedna cytryna na czarnym rynku kosztuje — 20 zł, to albo taki facet nie kupuje cytryny, albo sprzedaje 60-oktanową benzynę po cenie 80-oktanowej i wtedy już może kupić cytrynę. Ekonomicznie prosta historia, i — co tu dużo gadać — zrozumiała. Pytano kiedyś Gomułkę na zebraniu przedwyborczym w jednej z warszawskich fabryk: dla kogo jest w „Delikatesach" francuski koniak po 400 zeteł. Odpowiedział wtedy, że on sam jeżeli pije, to polską wódkę, a koniaku nie kupuje. Ale koniak, whisky, gin stoją w sklepach i ktoś je przecież w końcu nabywa, chociaż cena wynosi więcej niż połowę głodowego, oficjalnego minimum egzystencji. Sama prywatna inicjatywa nie wystarczy, więc co pewien czas jakiś nowy proces skórzany, piekarniczy, przemytniczy czy inny, wyjaśnia kto wpłaca najwyższe podatki pośrednie do skarbu państwa.

Koniak jest tu oczywiście pretekstem, drobnym przykładem, a przemiotów kuszących przecież nie brak. Wystarczy się przejść po Chmielnej (przepraszam, Rutkowskiego), po Nowym Świecie i wzdłuż pawilonów prywatnego handlu, żeby zobaczyć ile i na

co można wydać w Warszawie pieniędzy: amerykańskie i francuskie kosmetyki, niemieckie, angielskie, amerykańskie elektryczne aparaty do golenia, ciuchy z całego świata, pióra Parkera i Watermana, tytoń angielski i holenderski (50-75 zł za paczkę), zapalniczki Ronsona (ponad 1000 zł), japońskie radia, płyty, instrumenty muzyczne, adaptery, lodówki, telewizory, maszyny do pisania — wszystko po cenach rynkowych zagranicznych... tyle, że przeliczonych po kursie PeKaO, tj. te głupie 72 zł za dolara. + tzw. marża sklepu. Nikt nie wie dokładnie ile jest w Polsce tranzystorowych aparatów, bo nie są rejestrowane, ale słychać je i na Helu i na Zawracie i na Marszałkowskiej.

Wszystkie te przedmioty ktoś więc musi kupować, a mały tranzystor japoński to przecięnie trzy „patyki".

Czy trzeba wspomnieć o tym, że w samej Warszawie istnieje kilkanaście punktów (oficjalnych) sprzedaży używanych (i to jeszcze jak!) samochodów, gdzie za niewiele podszykowanego grata prywatny kupiec żąda zależnie od marki, od 60 tysięcy (za Fiata 600) do 300 tysięcy za Mercedesa.

A rynek mieszkań i nieruchomości, na którym niebrzydkie pieniądze robią setki uczciwych i nie bardzo uczciwych pośredników? A coraz bardziej rosnący rynek sprzedaży nieruchomości w Wilnie, Lwowie — oczywiście tylko na papierze i po cenach stanowiących nie więcej niż 10% wartości? (Ostatnio nawet podobno ceny na tym rynku poszły w górę! Czyżby reakcja na spór rosyjsko-chiński?).

Gdy się ma pieniądze można w Polsce wszystko kupić — problem jest tylko , skąd wziąć pieniądze.

Systemów jest mnóstwo, a najprostszym jest oczywiście wykorzystanie zajmowanego stanowiska. Jeśli przedsiębiorstwo państwowe ma prawo zlecenia robót prywatnym wykonawcom, to kierownik inwestycji ma swoją „dolę" od prywaciarza, czasem nawet przekraczającą połowę dochodu wykonawcy. I wtedy żona kierownika kupuje wszystko, co się wyżej wymieniło, a pan kierownik miewa samochód. Trzeba dodać, że i prywatni wykonawcy nie krzywdują sobie, bo przecież pan kierownik inwestycji może wystawić lipne rachunki na zawyżone koszty wykonawstwa. Nie chcemy tu powiedzieć, że wszyscy kierownicy inwestycji zarabiają w ten sposób, ale jest ich na pewno bardzo dużo. Wiadomo, jak trudno jest dostać w Warszawie mieszkanie z przydziału, czyli „z kwaterunku" — ale to tylko tym, którzy są na tyle naiwni albo biedni, by załatwiać sprawę drogą uczciwą i normalną. Ale oprócz tej drogi ciernistej i bardzo długiej, są drogi krótsze. Niedarmo co parę miesięcy zmieniają się kierownicy miejskich kwaterunków, nie darmo utworzono kilkoosobowe komisje przydziału mieszkań. Wynik jest w zasadzie tylko jeden: koszt „załatwienia" mieszkania podskoczył parokrotnie: trzeba opłacić teraz całą komisję, a nie pojedynczego faceta jak przedtem... I znów nie znaczy to, że wszyscy w kwaterunku są tacy sami, ale wiemy o niektórych dzielnicowych kwaterunkach, gdzie bez forsy nie należy się w ogóle zbliżać.

Obostrzenia kwaterunkowe, obniżenie norm mieszkaniowych, a podniesienie cen elektryczności, ogrzewania i gazu, wpłynęły na niesłychany wzrost cen willi, nieraz trzy i czterokrotnie. Fakt, że domek jednorodzinny o powierzchni do 110 m² jest w zasadzie nietykalny dla władz miejskich, sprawiły, że ceny placów w rejonach nieumiastowionych (ładne słowo!) są nieraz wyższe niż koszt postawienia domku. Ale i na to są nabywcy.

Dwa systemy dorobienia się już wymieniliśmy, ale jest ich nieskończenie więcej. Pewien kierownik kiepskiej knajpy w znanej miejscowości wypoczynkowej, pracował tylko trzy lata, by już w tej samej miejscowości wybudować sobie „domek" za przeszło milion złotych, na oczach całego urzędu skarbowego, prokuratury i swoich dawnych (bo z pracy już zrezygnował) przełożonych. I tu dochodzimy do jeszcze jednego systemu zarabiania, tym razem na etacie urzędnika skarbowego. Pewien znany nam właściciel sklepu regularnie płaci 6 do 10 tysięcy złotych miesięcznie w jednym ze stołecznych urzędów skarbowych, tylko po to, by uniknąć domiarów. Urzędnicy się co pewien czas zmieniają (solidarność: niech każdy zarobi!) ale haracz zostaje bez zmian. Niemniej obie strony są z siebie zadowolone, i współpraca układa się hormonijnie. Czasem kupiec jest niedomyślny, albo — co gorsza — skąpy, wtedy są sposoby, by mu przypomnieć, od kogo zależy wysokość domiaru. I wtedy kupiec przywołany do porządku — pokornie i bardzo szybko płaci gdzie i ile trzeba.

Niedarmo się mówiło w Warszawie z okazji głośnego przed paru laty procesu mięsnego, że został on przesunięty na okres po zjeździe partii... bo inaczej nie byłoby na zjeździe quorum. Różnie się o tych partyjnych udziałowcach w mieszanej gospodarce polskiej mówi. Wymieniało się nazwiska osób wysoko postawionych w hierarchii partyjnej, nawet wyżej, niż się to potem potwierdziło. Przeszło trzydzieści tysięcy usuniętych z partii w roku ubiegłym, to przecież w większości ci, którzy w ten czy inny sposób byli zamieszani w afery gospodarcze.

Przed kilku laty przejechał tranzytem przez Warszawę do Izraela pewien autentyczny kubański Kozak, repatriowany do Polski jako Żyd (jego żona była kuzynką żony pewnego warszawskiego Żyda). Ten facet był na swoim Kubaniu kierownikiem „rajonnych" magazynów tekstylnych. Pewien znawca tamtejszych stosunków (przeszedł edukację na dwuletnim kursie w „pudle" w Astrachaniu, a więc ekspert), oświadczył, że jeśli taki Kozak po kilkunastu latach nienagannej pracy na tym samym stanowisku, wyjeżdża za granicę i tam zaraz kupuje sporą fabryczkę — to, według jego wiedzy przedmiotu, musiał przez cały ten czas punktualnie opłacać co najmniej 40 osób, w tym cały rejonowy aparat partyjny i władze administracyjne. Procesy ostatnich lat w Polsce wykazały, że nasi rodacy są jeszcze daleko w tyle za „pierwszym krajem socjalizmu" i przejście do komunizmu jest chyba jeszcze dalekie. Brak nam solidarności i akuratności we wnoszeniu odpowiednich opłat...

A jednak robi się wszystko co w ludzkiej mocy, by podnieść stopę życiową w kraju, rozwinąć prywatną motoryzację, i td.

Nie tak dawno wyszło na jaw w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej, że któryś z księgowych „dzieli się" z tłumaczami tajnych przekładów, których autorzy pracują na miejscu w redakcji i tylko przy pomocy magnetofonu. (Diabli wiedzą, dlaczego mają one być tajne, skoro są to książki wojskowych autorów zachodnich, dostępne poza tym w oryginale w niejednej państwowej księgarni...) Skandal był publiczną tajemnicą, ale o wylaniu księgowego jakoś się nie słyszało.

Bardziej bezpośrednie łapówki brało parę osób w samym Ministerstwie Spraw Zagranicznych za wysłanie za granicę na takie eksponowane stanowiska jak kierowca, albo niższy urzędnik ambasady. Pewien adwokat zainteresowany w podreperowaniu się na posadzie kancelisty spotkał się wprost z propozycją wpłacenia głupich czterdziestu patyków na fundusz rodzinny pewnego niewysokiego urzędnika Departamentu Kadr rzeczonego MSZ. W innym wypadku niesprecyzowana bliżej suma miała mieć błogosławione skutki w przypadku pewnego gentlemana, któremu marzyła się egzotyka pracy w Komisji Kontroli w Laosie. Propozycję odrzucił zanim doszło do wymienienia sumy — nawet nie ze wstrętu, ale z braku funduszów. Na powyższe tematy mógłby pewnie coś niecoś powiedzieć ambasador PRL w Izraelu, a były dyrektor Departamentu Kadr MSZ, towarzysz Puta. Przecież niemożliwe, żeby nie wiedział, co się w jego departamencie działo?

Jeżeli jesteśmy przy MSZ, to trzeba powiedzieć, że wcale nie lepiej, jeżeli nie gorzej działo się i dzieje na placówkach. Przez ładnych parę lat były wice minister kultury, Piotrowski był opłacany przez kierowniczkę punktu sprzedaży w polskim Ośrodku Kulturalnym, za wolną rękę w handlu. Pani Formankova, Polka z pochodzenia, a żona wysokiego urzędnika Ministerstwa Handlu Zagranicznego CSSR, a może Vnitrnej Bezpecnosti (a najpewniej obu naraz) była poza tym wiernym szpiclem tegoż radcy, a także samego ambasadora Mazura, który bez tego rodzaju pomocy po prostu nie wyobraża sobie życia. Wcale nielepiej rządził się kierownik podobnego ośrodka w Berlinie Wschodnim, gdzie też jest punkt sprzedaży i także jest czym pohandlować. Tacy ludzie są zawsze na tyle dobrze obstawieni, że im się krzywda nie stanie, natomiast ten, co aferę wykryje może się pożegnać z posadą — jak to miało miejsce w wypadku berlińskim.

Ale opuśćmy już *high-life* i wróćmy do ludu. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie ma lepszego businessu, niż być bufetową i to w knajpie najgorszego gatunku, czyli tzw. „mordowni". Tam gdzie za brudną szybą bufetu leży zakurzony ser i spleśniałe dzwonka śledzia w oliwie — wódka najpewniej leje się najszerszym strumieniem. I tutaj jest kilka punktów, ruchów i posunięć, które napędzają pieniądze do kieszeni. A więc po pierwsze: nalewanie, uważne!, ćwiartek z litrówek (w litrowej butelce jest zawsze pewien niewielki margines „na rozlew"), z

litrówek przyniesionych z domu (tańsza wódka, bo sklepowa, a pieczątkę „Gastronomiczna" przecież łatwo sobie zamówić), nie do pełna, no i oczywiście niższego gatunku, niż zamówiony. Taka operacja — rzecz nie do wiary, ale jednak prawdziwa — może w jednej knajpie przynieść dochód do kilku tysięcy złotych dziennie! Stanowiska bufetowych (podobnie jak szatniarzy, zwłaszcza w nocnych lokalach) są otrzymywane za odstępnym, które się wpłaca ustępującej, a czasem ponadto również kierownikowi, jeżeli nie ma on dyskretnej umowy bezpośredniej. Ponieważ spożycie alkoholu w Polsce prawie nie spada — trzeba się liczyć z tym, że liczba zamożnych niewiast w wieku pod- i trolleybusowym*) będzie nadal wzrastać.

Nie ma w zasadzie dziedziny życia, gdzie nie dotarłaby wiedza o zdobywania chleba smarowanego z obu stron. A jeśli ktoś wykazuje zupełny antytalent, albo — o zgrozo — nie ma takich możliwości, to pozostaje mu liczyć na cud, czyli, jak to kiedyś ładnie powiedział p. Antoni Słonimski: że raz wreszcie przed kioskiem z papierosami pojawi się ktoś, kto położy pięćsetkę, poprosi o zapałki i nie zażąda reszty...

Jeżeli nie ma możliwości, to zostają już tylko marzenia, bo te przynajmniej nic nie kosztują. A pieniądze dla handlowych geniuszów leżą po prostu na ulicy. Znana jest w całej Polsce historia gentlemana, który wykupił w sklepach w całym kraju spoczywające tam bezczynnie dziesiątki tysięcy butelek z popularnym a bardzo tanim żurem. Co z nimi zrobił? Proste. Żur wylał a butelki sprzedał z wysokim zarobkiem w punktach skupu „opakowań szklanych". Transakcja była tak legalna, że nawet prokurator nie mógł się dopatrzyć niczego bezprawnego.

A gdyby nawet bezprawie, to czy władze się nim nie posługują? To są publiczne tajemnice — i każdy wie, że ministerstwo skarbu ma własną sieć waluciarzy, skupujących wolne dolary po hotelach i barach dla rzeczonego ministerstwa w zamian za swobodę uprawiania handlu — a milicja ściga tylko „dzikich" i nie „licencjonowanych". Kiedy przed kilku laty trzeba było dokonać pilnej zapłaty za jakieś bliżej nieznane usługi bliżej nieznanej osobie — sama Bezpieka pozbierała ze znanych sobie miejsc handlarzy złotem i dewizami i... kupiła od nich potrzebne ilości towaru po bieżącym, rzetelnie obliczonym kursie!

Pewien znajomy hodowca drobiu, kiedy jego cenna eksportowa hodowla została zagrożona epidemią usłyszał z ust urzędnika odpowiedzialnego za tę gałąź gospodarki: „my terramycyny nie mamy, kup pan w PeKaO. Co? że nie ma pan dolarów? to kup je pan na Czackiego, nie wiesz pan gdzie? każdy milicjant pokaże".

George J. FLEMMING

*** Gdyby ktoś nie wiedział, to trolleybusy w Warszawie kursują na liniach oznaczonych numerami od 50 w górę.**

O religii bez namaszczenia

Co Sobór osiągnął?

Czy można już pisać o osiągnięciach II Soboru Watykańskiego? Przedstawienie dziejów współczesnych, okresu czasu, w którym się żyje, jest zawsze rzeczą skomplikowaną, budzącą wątpliwości; a jeszcze trudniejszym zadaniem jest opisywanie sprawy, w którą się było wmieszanym, w której się było współodpowiedzialnym. A czy Sobór już się rzeczywiście skończył? Czy my nie będziemy jeszcze długo żyli w okresie soborowym?

Prawdziwe historyczne znaczenie II Soboru Watykańskiego będzie można ocenić chyba dopiero po upływie kilkudziesięciu lat. Kto mógł przewidzieć ongiś, że niepozorny dla ówczesnych ludzi sobór Trydencki nada swe imię okresowi 400 lat? Na razie więc trzeba się ograniczyć do *prostego zestawienia, do sporządzenia jakby remanentu uchwał soborowych.* Ich oceny przez różnych obserwatorów będą bardzo rozbieżne. W tym artykule chodzi o zwykłe *résumé,* o próbę spojrzenia na wyniki Soboru w pierwszym rzędzie z punktu widzenia wewnętrzno-kościelnego, a następnie o ocenę skutków Soboru dla tych, co są poza Kościołem katolickim. Stawiamy sobie pytanie: co Sobór zdołał *osiągnąć?* Mimo wszelkiej usprawiedliwionej krytyki nie można twierdzić, że się dąży do upiększenia rzeczywistości w celach apologetycznych, jeżeli po zakończeniu obrad soboru przedstawia się najpierw jego pozytywne wyniki. Oczywiście, że głoszenie hasła: przygotowywanie soboru z pesymizmem, realizacja Soboru z realistycznym optymizmem — jest zbytnim upraszczaniem sprawy. Coś jednak słusznego jest w tym twierdzeniu.

Na to, czego nie dokonano na Soborze, nie trzeba bynajmniej przymykać oczu. Są pewne dekrety (np. dekret o środkach masowych społecznej komunikacji, deklaracja o chrześcijańskim wychowaniu), które nie dają żadnych nowych wskazań, pożytecznych dla przyszłości. Są też uchwały, w których obok twierdzeń cennych — są ustępy sformułowane dwuznacznie albo w duchu ciasnego konserwatyzmu. Być może, że nie ma ani jednego

dekretu, który by biskupów całkowicie zadowolił. Prawie we wszystkich uchwałach doktrynalnych — pomściła się tu nieobecność katolickiej egzegezy na soborze — wyczuwa się brak solidnej egzegetycznej i historycznej podbudowy. Nieraz najtrudniejsze zagadnienia (np. Pismo św. — tradycja, prymat — kolegialność i td.) są klajstrowane dyplomatycznymi kompromisami, zawartymi między większością, mającą po swej stronie poważną i żywotną teologię, i stosunkowo niewielką grupą kurialną, mającą swe wpływy i umiejącą je wykorzystywać w komisjach soborowych. Tych wszystkich spraw nie trzeba przemilczać. Biskupi i cały Kościół muszą w przyszłości pilnie czuwać, aby niektóre osiągnięcia soborowe nie zostały utracone na biurokratycznych rozdrożach. I teologia okresu posoborowego będzie miała na pewno pełne ręce pracy. Będzie musiała orzeczenia soborowe tłumaczyć, wyjaśnić, ciągle na nowo odchylenia prostować z absolutnie uczciwą i krytyczną teologiczną rzeczowością. Ale przede wszystkim chodzi już teraz o to, aby do tych niejasności w uchwałach soborowych, do kompromisów, do opuszczeń, jednostronnych orzeczeń, pewnych cofnięć się wstecz nie podchodzić z postawą wyłącznie krytyczną, nie traktować tych rzeczy tylko jako błędów przeszłości, ale raczej w duchu dążenia naprzód, oceniać te rzeczy jako *zadania przyszłości* zgodnie z oczekiwaniem Soboru. I dlatego 8 grudnia 1965 nie był rzeczywistym zakończeniem Soboru, ale raczej początkiem.

Pytamy więc: Jakie drzwi *stanęły otworem?* Gdzie zabłysły światła? Gdzie znajdujemy w soborowej rzece mimo piasku i żwiru, naniesionego tam w sposób nieunikniony przez 2000 lat historii Kościoła, złoto, które może się stać bogactwem dla teraźniejszości i przyszłości. Nasze zasadnicze pytanie: „co Sobór osiągnął" możemy rozbić na kilka bardziej szczegółowych zagadnień. Będziemy starali się zorientować, jakie są osiągnięcia soboru, jeśli chodzi o stosunek Kościoła: 1) do innych chrześcijan w ogólności; 2) do protestantów i prawosławnych w szczególności; 3) do religii niechrześcijańskich; 4) do nowoczesnego świata. W dalszym ciągu rozważymy 5) co Sobór osiągnął w dziedzinie wewnętrznej reformy Kościoła Katolickiego i wreszcie 6) jakie są bezpośrednie zadania na najbliższą przyszłość.

I. WIEK EKUMENIZMU

O stosunku Kościoła do innych chrześcijan w ogólności mówi w sposób rozstrzygający dekret o ekumeniźmie.

1. *Katolicka współwina,* współodpowiedzialność za rozbicie wśród chrześcijan została jak najformalniej uznana. Sobór i papież zwrócili się do innych chrześcijan z prośbą o przebaczenie. Jednocześnie uznano konieczność *ciągłej reformy Kościoła:* Ecclesia semper reformanda. Konieczne jest ustawiczne odnawianie własnego Kościoła w życiu i w nauce według zasad ewangelii.

2. Społeczności religijne innych chrześcijan zostały uznane za *Kościoły.* Dawniej traktowano tych chrześcijan indywidualnie, nazywając ich „heretykami", „schizmatykami". Obecnie widzi się w nich społeczności i to społeczności kościelne. We wszystkich tych Kościołach jest wspólne chrześcijańskie podłoże, być może ważniejsze niż to wszystko, co te Kościoły rozdziela.

3. Od całego Kościoła żąda się *ekumenicznej postawy:* wewnętrzne nawrócenie się samych katolików, modlitwa w duchu ekumenicznym, wzajemne poznanie się Kościołów i prowadzenie dialogu, usuwającego nieporozumienia, uznanie dobra u innych i naśladowanie ich dobrych czynów, uznanie wiary, miłości i chrztu innych chrześcijan, a wreszcie w duchu ekumenicznym studium teologii i historii Kościoła.

4. *Współpraca* z innymi chrześcijanami we wszelki sposób winna być popierana. Praktyczna współpraca jest całkowicie możliwa w dziedzinie społecznej. Ale także pożądana jest wspólna modlitwa (Jan XXIII był pierwszym papieżem modlącym się wspólnie z innymi chrześcijanami) jak również pewne wspólne nabożeństwa z czytaniem Pisma św. (tego typu nabożeństwo odbyło się przy zamknięciu Soboru z udziałem Pawła VI i niekatolickich obserwatorów), a wreszcie rozmowy teologów, które się już zaczęły odbywać. Obecność niekatolickich obserwatorów na Soborze wydaje się dziś rzeczą zupełnie oczywistą, jak też udział katolickich obserwatorów na różnych zjazdach, konferencjach Światowej Rady Kościołów.

Gdy się dziś widzi te owoce ruchu ekumenicznego, można sobie zadać pytanie: jakby wyglądały dzieje Kościoła w ostatnich 400 latach, gdyby już na soborze w Trydencie zapadły *te epokowe* decyzje. Ale ważniejsza jest teraźniejszość: z II Soborem Watykańskim rozpoczął się nieodwołalnie wiek ekumenizmu dla Kościoła katolickiego. Dla dalszego rozwoju ekumenizmu winno być ważne i dla protestantów to, co Dekret mówi o będących w łączności z Rzymem Kościołach Wschodnich, które dawniej uważano za przybudówki Kościoła katolickiego. Kościoły wschodnie są równouprawnione z Kościołem Zachodnim. Mają prawo i obowiązek pielęgnować swą odrębność liturgiczną, swe odmienne prawodawstwo(patriarchowie mają prawo mianować biskupów), swe odrębne formy pobożności i swą teologię. Różnorodność nie szkodzi jedności Kościoła, ale raczej ją wzmacnia.

W sprawie stosunków z Kościołem prawosławnym Dekret o ekumeniźmie postanowił: nie trzeba chrzcić powtórnie prawosławnych, chcących zostać katolikami, ani też udzielać jeszcze raz sakramentu kapłaństwa duchownym prawosławnym wstępującym do Kościoła katolickiego. Prawosławni mogą, jeśli sobie tego życzą, przyjmować sakramenta święte w kościołach katolickich jak również katolicy w kościołach prawosławnych, jeśli nie mają do dyspozycji kapłana katolickiego. Małżeństwa mieszane między katolikami i prawosławnymi są ważne, choćby by-

ły zawarte w niekatolickiej świątyni. Dozwolone jest używanie wspólnego kościoła przez katolików i prawosławnych.

Czy może być wyraźniejszy znak, że rozpoczął się nowy okres w dziejach chrześcijaństwa niż owo równoczesne uroczyste odwołanie klątw w Rzymie i w Konstantynopolu, klątw z roku 1054, kiedy to rozeszły się drogi Kościoła Wschodniego i Kościoła Zachodniego. Ten odważny, historyczny czyn pokazał lepiej niż wszystko inne, że Paweł VI gorąco pragnie pojednania się chrześcijan..

II. ŻYCZENIA REFORMATORÓW

Jak się ustosunkował Sobór do chrześcijan ewangelickich? Powziął także w tej sprawie szereg epokowych decyzji. Przyjął szereg protestanckich postulatów. Jako przykłady można wymienić:

1. *Głęboka cześć dla Pisma św.:* a) *w nabożeństwach:* Mają być one przeniknięte duchem biblijnym. Trzeba wprowadzać śpiew psalmów w języku ojczystym wiernych. Wyjaśnianie Pisma św. ma być głównym tematem kazań *(homilii)*. Zostanie wprowadzony nowy cykl perykop ewangelicznych na niedziele i święta, rozłożony na kilka lat (dotychczas był cykl jednoroczny); b) w *całym życiu* Kościoła: dotychczas najwyższą powagą cieszyło się łacińskie tłumaczenie Pisma św. zwane Wulgatą, obecnie zaleca się nowe tłumaczenia Biblii z najstarszych tekstów i używanie tych tłumaczeń wspólnie z niekatolikami (katolicy angielscy od ubiegłego roku używają pięknego, nowoczesnego tłumaczenia Pisma św., dokonanego przez protestantów, w Niemczech zamierzają katolicy postąpić podobnie). Zamiast dawniejszych zakazów (aż do XIX w.) czytania Biblii przez świeckich, dziś się gorąco zachęca do czytania Pisma św. tak świeckich jak i duchownych, podkreśla się znaczenie Biblii przy katechizacji i pogłębianiu pobożności; c) w *teologii:* Urząd nauczycielski nie jest ponad słowem Bożym, ale ma temu słowu Bożemu, zawartemu w Piśmie św. służyć. *Nie* jest powszechną nauką Kościoła, że Objawienie Boże zawiera się *częściowo* w Piśmie św. a częściowo w Tradycji. Studia biblijne mają być we wszelki sposób popierane, studium Pisma św. ma być duszą teologii. Wbrew konserwatywnym krytykom (spór o Papieski Instytut Biblijny) uznaje się prawo do prawdziwego historyczno-krytycznego wyjaśniania Pisma św. (literackie rodzaje, historia form i tp.). Stwierdza się, że nieomylność Pisma św. nie rozciąga się na dziedzinę wiadomości przyrodniczych, historycznych, a tylko na sprawy, odnoszące się do zbawienia ludzi.

2.*Prawdziwie ludowa służba Boża:* Dowodem spełnienia innych reformatorskich żądań jest: a) w przeciwieństwie do dawniejszej liturgii, w której rolę czynną spełniali głównie duchowni, obecnie wszyscy wierni, uczestniczący przez chrzest św. w kapłaństwie Chrystusowym, mają brać czynny udział w odprawianiu nabożeństwa, w śpiewie, w modlitwach, w spożywaniu Ciała Pańskiego. Wspólna służba Boża ma pierwszeństwo przed Mszami św., odprawianymi prywatnie (pozwala się na koncelebracje, czyli Msze św. odprawiana wspólnie przez kilku kapłanów); b) ogranicza się używanie łaciny, dając dużo miejsca we Mszy św. językom narodowym; c) dążenie do przystosowania liturgii do charakteru, do potrzeb duchowych *poszczególnych narodów*. Biskupi mają obecnie władzę wprowadzania do liturgii różnych zmian, a nie tylko papież jak dotychczas; d) oczyszczanie liturgii z różnych zachwaszczeń, naleciałości, do przywrócenia jej prostoty, ułatwiającej *skupienie się na rzeczach istotnych*. Rewizja wszystkich rytów, ceremonii, aby Msza św. jak najlepiej upodobniła się do Ostatniej Wieczerzy Jezusa; e) reforma liturgii *sakramentów* (zwłaszcza chrztu św.), zmiany w kalendarzu roku kościelnego (redukowanie przez łączenie uroczystości świętych Pańskich), reforma brewiarza (krótsze modlitwy kapłańskie, pozwolenie na odmawianie ich w języku ojczystym); f) w ten sposób usuwa się przez pozytywne załatwienie wiele spraw, które budziły namiętne spory jakby chodziło o jakieś ważne prawdy wiary: np. język narodowy we Mszy św., spożywanie Komunii św. pod dwiema postaciami na co obecnie łatwo się pozwala.

3. *Znaczenie laikatu:* Bezpośredni dostęp świeckich do Pisma św., uaktywnienie ich roli w czasie nabożeństw już w dużym stopniu czyni zadość trzeciemu postulatowi reformatorów. Ale do tego dochodzą jeszcze liczne sformułowania teologiczne o wielkim znaczeniu świeckich w Kościele *(implicite* zawiera się w tych oświadczeniach krytyka klerykalizmu). Najważniejsze wypowiedzi na temat znaczenia laikatu zawierają się nie w dekrecie o roli świeckich, ale w konstytucji o Kościele: Kościół jest ludem Bożym, uczestniczącym w królewskim, kapłańskim i prorockim urzędzie Chrystusa Pana. Charyzmaty ducha, powołanie do świętości nie są dane jednostkom, ale całości ludu Bożego. Praktycznym wnioskiem, jaki płynie z tych orzeczeń jest to, że każdy biskup powinien mieć przy swoim boku radę duszpasterską, złożoną nie tylko z duchownych, ale i ze świeckich. Dekret o kapłaństwie poleca zwiększyć rolę i zadania świeckich w parafii.

4. *Unarodowienie Kościoła:* Przeciw dotychczasowej centralistycznej strukturze Kościoła Sobór z naciskiem uwypukla znaczenie diecezji i rolę Kościołów partykularnych (Kościołów w poszczególnych krajach). Praktycznej decentralizacji struktury kościelnej służyć mają narodowe lub kontynentalne *Konferencje Biskupów*. Jeżeli w pewnych krajach jeszcze nie istnieją, powinny być jak najwcześniej utworzone. Te Konferencje Biskupów mają obowiązek odbywać regularnie swe obrady. W liturgii wprowadzono już poważne zmiany, świadczące, że Kościół chce się

dostosować do potrzeb duchowych poszczególnych ludów i krajów.

I w innych dziedzinach (seminaria duchowne, misje) nastąpią zmiany w tym samym duchu decentralizacji. Decyzja episkopatu francuskiego przywracająca znów akcję księży-robotników dowodzi, że krajowe Konferencje Biskupów zamierzają korzystać z tej władzy, jaką ich Sobór obdarzył.

5. *Reforma ludowej pobożności:* Odpowiedzi krajowych Konferencji Biskupów potwierdziły opinie, że średniowiecznym pojęciom o istocie odpustów położyło kres wystąpienie Lutra. W sprawie odpustów i w sprawie *postów* powinny być wydane nowe przepisy. Na Soborze zwrócono też uwagę na przerosty w *kulcie Maryjnym.* Odrzucono projekt osobnego schematu o roli Matki Bożej w ekonomii zbawienia. Temat ten został omówiony w schemacie o Kościele. Nie ogłoszono też żadnego nowego dogmatu Maryjnego mimo życzeń pewnych biskupów. Sobór chciał podkreślić, że teologia Kościoła, nauka Kościoła pozostaje Chrystocentryczna.

Chociaż zdajemy sobie sprawę, że w orzeczeniach, decyzjach soborowych, interesujących Kościoły protestanckie są jeszcze pewne sformułowania tymczasowe, niepewne, wątpliwe, to jednak wolno sobie zadać pytanie: co by uczynił Luter, gdyby urodził się w dzisiejszym Kościele katolickim? Jeżeli niektórzy odpowiadają żartobliwie, że zostałby soborowym ekspertem, soborowym doradcą, to jednak jest coś trafnego w tej odpowiedzi. Wiele usprawiedliwionych życzeń Lutra zostało na Soborze spełnionych. Nasuwa się i dalsze pytanie. Czy nie kolej teraz na protestanckie Kościoły by wyjść nam naprzeciw z większym samokrytycyzmem i przeprowadzić skuteczną reformację Reformacji w myśl zasady: Ecclesia semper reformanda?

III. RELIGIE NIECHRZEŚCIJAŃSKIE

Jaki jest dorobek Kościoła na Soborze, jeżeli chodzi o sprecyzowanie stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich? A zwłaszcza do *Żydów?* W stosunku do nikogo nie ma chrześcijaństwo (a zaprawdę nie tylko katolickie) takiego obowiązku naprawienia wyrządzonej krzywdy jak wobec Żydów. Niesłychane zbrodnie narodowo-socjalistycznego antysemityzmu, popełniane na Żydach nie byłyby możliwe bez ukrytego a tak często i otwartego antysemityzmu „chrześcijańskiego", istniejącego dłużej niż półtora tysiąca lat, antysemityzmu, który ujawniał się nawet w czasie obrad soborowych.

Sobór postanowił — a i w tej sprawie Jan XXIII był inspiratorem — oprzeć stosunek Kościoła do Żydów na nowej podstawie. Kościół uznaje swą nierozerwalną łączność z Izraelem, powołuje się na patriarchów Izraela, na jego Pismo św. Z Izraela wyszedł Jezus i pierwsze gminy chrześcijańskie. Chociaż większość Żydów nie uznała Jezusa za Mesjasza, nie stali się oni narodem wyklętym, w dalszym ciągu pozostają narodem wybranym. Odpowiedzialność za śmierć Jezusa nie spada ani na wszystkich Żydów ówczesnych, ani tym bardziej na Żydów dziś żyjących. Kazania, katechezy, studia, spotkania między chrześcijanami i Żydami winny pomagać do wzajemnego poznawania się i poszanowania. Sobór piętnuje wszelkie przejawy antysemityzmu, nienawiści, prześladowania. Odrzuca wszelką dyskryminację z powodów rasowych, klasowych, religijnych.

Dwa, trzy słowa, które nie zostały włączone do tekstu, nie mają wielkiego znaczenia dla przyszłości. Kościół katolicki wypowiedział się przeciw antysemityzmowi i za współpracą z Żydami. Po prawie 2000 lat istnienia Kościoła rozpoczął się nowy okres współżycia między chrześcijanami i Żydami. Dla lepszej oceny tej historycznej zmiany warto porównać oświadczenia II Soboru Watykańskiego np. z antysemickimi zarządzeniami najwspanialszego soboru średniowiecza przed 750 laty (IV Synod Laterański 1215).

II Sobór Watykański postanowił także położyć kres różnym zadrażnieniom w krajach misyjnych przez jasne określenie stosunku Kościoła do *religii niechrześcijańskich.* Dekret w tej sprawie stwierdza, że wszystkie ludy z ich różnymi religiami stanowią wspólnotę, społeczność. W różny sposób te religie starają się odpowiedzieć na najistotniejsze zagadnienia ludzkiego życia. Chociaż Kościół wyznaje, że Chrystus i Jego ewangelia jest źródłem prawdy, nie gardzi jednak z tego powodu tym, co w innych religiach jest prawdziwe i święte. W rozmowach, we współpracy powinni chrześcijanie poznawać duchowe, moralne i kulturalne wartości innych religii, cenić je i popierać.

Z wielkim szacunkiem odnosi się Kościół do *hinduizmu, buddyzmu,* a zwłaszcza do *islamizmu,* który wraz z nami modli się do Jedynego Boga i czci Jezusa jako proroka. Wiekowa wrogość między chrześcijanami i mahometanami musi ustąpić miejsca zrozumieniu się wzajemnym i wspólnej walce o sprawiedliwość, pokój i wolność.

Deklaracja soborowa kończy się wyznaniem wiary w braterstwo wszystkich ludzi, dzieci jednego Ojca. Jest bardzo charakterystyczne i wymownie świadczące o pozytywnym stosunku do nowoczesnego świata, że trzy hasła (tak często obrzydzane) francuskiej rewolucji w tekstach soborowych odgrywają dużą rolę: wolność, równość i braterstwo.

IV. ŚWIAT

Zupełnie inaczej niż I Sobór Watykański odnosi się ostatni Sobór do świata, który uznaje za „pełnoletni". II Sobór Watykański zrywa ostatecznie z dawnym, zrodzonym w średniowieczu a panującym w Kościele aż do XX wieku, światopoglądem.

1. Gruntownie został omówiony stosunek Kościoła do świata w konstytucji: „Kościół w dzisiejszym świecie". Nastawienie Kościoła do świata jest pozytywne, chociaż oczywiście nie bezkrytyczne. Kościół solidaryzuje się z całą ludzkością i chce współpracować ze wszystkimi ludźmi. Dostrzega znaki czasu i w świetle ewangelii je ocenia, pytań nie odrzuca, stara się na nie odpowiadać, nad polemiki przenosi dialog, woli pociągać przekonywaniem, aniżeli zdobywać przymusem. Z tytułu swej misji zdecydowanie staje w obronie ludzkiej godności, wolności i praw człowieka, popiera wszelką akcję, dążącą do poprawy i rozwoju społecznych instytucji, do spotęgowania zdrowego dynamizmu wszelkiej ludzkiej twórczości.

2. W dalszym ciągu wspomniana konstytucja konkretyzuje pozytywną postawę Kościoła wobec świata w następujących punktach:

a) W wyrozumiałej i samokrytycznej postawie wobec różnych form ateizmu (dla uniknięcia politycznych nieporozumień komunizm nie został wymieniony).

b) W podkreśleniu znaczenia wzajemnej miłości i osobistej odpowiedzialności w pożyciu małżeńskim (mimo nieszczęśliwych, soborowi w ostatniej chwili narzuconych, retuszów tekstu nagląco potrzebne pozytywne papieskie rozstrzygnięcie w sprawie kontroli urodzin nie jest wykluczone).

c) Uznanie świadomej swej odpowiedzialności swobody w umysłowej i kulturalnej twórczości, autonomii nauki i tętniącego życiem studium teologii.

d) W ostrym odrzuceniu wojny, zwłaszcza atomowej (przeciw ustępom, mówiącym o niebezpieczeństwie posiadania broni atomowych stanęła w opozycji tylko mała grupa biskupów północnoamerykańskich) i we współpracy przy organizowaniu pokojowej wspólnoty narodów (gesty pojednawcze polskich i niemieckich biskupów przy zakończeniu Soboru były tego nastawienia Kościoła wspaniałym przykładem).

3. A wreszcie i deklaracja o *wolności religijnej* — mimo w ostatniej redakcji poczynionych poprawek, osłabiających tekst — należy do wielkich osiągnięć Soboru. Deklaracja głosi z mocą:

a) *Każdy człowiek* ma prawo do religijnej wolności: godność ludzkiej osobowości domaga się, aby każdy człowiek właśnie w sprawach religijnych czy to prywatnie czy publicznie, czy jako jednostka czy w społeczności mógł działać zgodnie ze swoim sumieniem, wolny od wszelkiego przymusu.

b) *Każda społeczność religijna* ma prawo do swobodnego publicznego praktykowania swej religii według swoich przepisów: wolna ma być w urządzaniu swoich nabożeństw, w wyborze, kształceniu i nominacji swoich pasterzy, w komunikowaniu się ze swoimi władzami kościelnymi i innymi społecznościami religijnymi w całym świecie, w urządzaniu budynków kultu, w posiadaniu dóbr materialnych, w dawaniu publicznego świadectwa swojej wierze słowem żywym i pisanym (z wyjątkiem, gdy się tu używa środków nieczystych, nieuczciwych), w kształtowaniu życia społecznego.

c) Społeczeństwo, państwo, Kościół powinny wolności religijnej bronić i ją wspierać: Jeżeli gdzieś w wyniku historycznego procesu pewna społeczność religijna cieszy się specjalnym prawnym uprzywilejowaniem, tam musi jednocześnie *wszystkim obywatelom* i wszystkim innym wspólnotom religijnym być zagwarantowana wolność religijna. Jeśli ogranicza się wolność praktykowania religii ze względu na prawa innych obywateli lub dla dobra społecznego, to nie może to prowadzić do tego, by państwo samowolnie, despotycznie lub stronniczo zaczęło prześladować jakąś określoną wspólnotę religijną. Naczelną zasadą w ludzkim społeczeństwie winno być: tyle wolności, ile tylko jest możliwe, ograniczeń zaś tylko tyle, ile wymaga konieczność.

Trzeba się liczyć z tym, że Deklaracja o wolności religijnej będzie miała wpływ na położenie protestantów w krajach katolickich (a może także spowoduje usunięcie z konstytucji niektórych krajów np. w Szwajcarii artykułów antykatolickich).

W każdym razie wystarczy porównać orzeczenia II Soboru Watykańskiego (określające stosunek Kościoła do współczesnego świata) z potępieniami Syllabusa sprzed I Soboru Watykańskiego, by stwierdzić jak bardzo zmienił się stosunek Kościoła do dorobku nowoczesnego świata. Te zmiany nastawienia można — jak to często czynią teologowie — wyjaśnić przy pomocy pojęcia „organicznego rozwoju". Ale z faktu tych zmian w poglądach Kościoła można też ukuć argument apologetyczny. Dlaczego Kościół, który według powszechnej katolickiej opinii może się mylić, nie mógłby też pokazać, że jest zdolny do chrześcijańskiego nawrócenia i naprawy błędu? Dla współczesnego świata Kościół w takiej postawie jest na pewno bardziej pociągający, aniżeli z kościelnym: „Partia ma (i miała) zawsze rację".

V. REFORMA WEWNĘTRZNA KOŚCIOŁA

Co Kościół uczynił na Soborze dla własnej reformy? W odpowiedzi można by powtórzyć wszystko, co dotychczas było powiedziane.

Ale nie będziemy tu jeszcze raz mówić o liturgicznym, biblijnym, ekumenicznym odrodzeniu Kościoła, bo to jest spełnieniem (przynajmniej częściowym) postulatów, wysuwanych już od dawna przez różnych reformatorów. Tu chcemy wskazać na pewne nowe linie w teologicznym określeniu Kościoła i na zarysy nowej struktury kościelnej.

1. *Nowe określenie Kościoła.*

Klerykalistyczne, prawnicze i triumfalne pojmowanie Kościo-

ła w okresie średniowiecza i w czasach kontrreformacji nie znajduje się już w konstytucji o Kościele, ogłoszonej przez ostatni Sobór. Konstytucja nie przedstawia już Kościoła jako nadprzyrodzone, hierarchicznie zorganizowane państwo: papież jako absolutny monarcha na czele, dalej arystokracja biskupów i kapłanów, a wreszcie wierni jako bierni obywatele tego nadprzyrodzonego państwa. Konstytucja soborowa nie podkreśla już hierarchicznej struktury Kościoła. Na Kościół patrzy się teraz raczej od wewnątrz: widzi się w nim „tajemnicę" (której nie można już pomylić z politycznymi organizacjami), zapowiedzianą pod różnymi obrazami w Piśmie św. Kościół pojmować należy przede wszystkim jako lud Boży, jako lud pielgrzymujący, lud grzeszny, który ciągle potrzebuje reformy, odnowienia. Cały Kościół istnieje w każdym partykularnym Kościele. Ci, co w Kościele mają jakąś władzę, jakiś urząd, nie stoją ponad ludem, ale są jego członkami, a z racji swego urzędu mają służyć ludowi Bożemu, który jako całość ma uczestnictwo w Chrystusowym kapłaństwie i jako całość jest wyposażony darami Ducha Świętego.

2. *Papież i biskupi.*

Papież nie jest absolutnym monarchą. Nie naruszając jego prymatu, Konstytucja o Kościele mówi, że również biskupi razem z papieżem ponoszą kolegialnie odpowiedzialność za cały Kościół. To się dzieje nie tylko w czasie soboru, ale stale. Uzewnętrznieniem i organem tej kolegialności ma być w przyszłości stała *Rada Biskupia* (synod biskupi) przy papieżu, który ją na czwartej sesji soborowej powołał do istnienia. Zbierze się ona po raz pierwszy w 1967 roku. Członków tej Rady wybierać będą krajowe Konferencje Biskupów. Ilość delegatów reprezentujących poszczególne kraje będzie proporcjonalna do liczby katolików w danym kraju.

Krajowe Konferencje Biskupów są istotnym elementem decentralizacji struktury Kościoła. Mają one odbywać regularnie swoje obrady. Decyzje Konferencji Biskupów w pewnych sprawach obowiązują każdego biskupa w danym kraju. Te Konferencje mają wyznaczać granice diecezji, aby nie były ani za duże, ani za małe i aby miały swe stolice w dogodnych miejscowościach. Biskupi mają w swoich diecezjach władzę zwyczajną i bezpośrednią. Mogą udzielać w poszczególnych wypadkach dyspensy od ogólnego prawa kościelnego, o ile to prawo wyraźnie im tego nie zabrania.

3. *Kuria rzymska.* Powinna być zreformowana stosownie do zmienionych warunków czasu i do życzeń różnych narodów. Reforma winna dotyczyć kompetencji i sposobu urzędowania Kurii. Kongregacje rzymskie mają służyć biskupom, a nie uważać się za ich władze. Przede wszystkim ta Kuria winna ulec umiędzynarodowieniu (powoływać do niej biskupów diecezjalnych i

ludzi świeckich). Kompetencje nuncjuszy i delegatów w stosunku do biskupów miejscowych powinny być ściśle określone i ograniczone. Paweł VI przed drugą sesją soborową w przemówieniu do pracowników Kurii wyraził swój zamiar jej reformy, co potwierdził raz jeszcze przed zakończeniem Soboru. Reforma rzymskich władz inkwizycyjnych w Św. Officium już zapoczątkowała tę reformę, zapowiedzianą przez papieża. Św. Officium nosi obecnie nazwę „Kongregacji dla spraw wiary" i nie ma już ona rangi „najwyższej kongregacji". W swoim działaniu musi się trzymać ogólnych norm prawa kanonicznego (dotychczas procedura Św. Officium była tajemnicą). Obecnie nie można na nikogo wydać wyroku bez dania oskarżonemu okazji do obrony i bez wysłuchania zdania biskupa, któremu oskarżony podlega. Zreformowana kongregacja ma popierać studia, utrzymywać ścisły kontakt z Komisją Biblijną, zatrudniać fachowców, organizować naukowe zjazdy. Z uznaniem trzeba podkreślić, że władze dawnego Św. Officium, ostro krytykowane na Soborze przez kard. Fringsa, już w wielu rzeczach zmieniły swe postępowanie. Od chwili rozpoczęcia Soboru żadnej książki nie umieszczono na indeksie i w przyszłości — jak zapewniają kompetentne czynniki — też się tego czynić nie będzie. W niektórych wypadkach, przy ocenie których Św. Officium się pomyliło, wyroki zostały odwołane.

4. *Kapłani i ich kształcenie:*

a) Zadaniem szczególnego kapłaństwa w ramach powszechnego kapłaństwa ludu Bożego jest głoszenie słowa Bożego, szafarstwo sakramentów i kierowanie parafią. Kapłan nie ma być oddzielony od ludzi, ale żyć w świecie i być po bratersku z ludźmi związany, swym życiem dawać świadectwo ewangelii. Między biskupem i kapłanem powinien istnieć przyjacielski stosunek, winni sobie wzajemnie udzielać rad i ściśle współpracować. W każdej diecezji powinien istnieć senat kapłański reprezentujący księży diecezji. Ten senat powinien wspierać biskupa skutecznie przy kierowaniu diecezją. Kapłaństwo i praca fizyczna dadzą się ze sobą pogodzić. Tak samo nie są gorszymi kapłani duchowni Wschodnich Kościołów, pozostający w łączności z Rzymem, którzy na zasadzie starej tradycji i dziś są żonaci. Do urzędu diakonatu, który na nowo zostaje przywrócony i w Kościele łacińskim będzie można powoływać ojców rodzin.

b) W sprawie *kształcenia kleru* Sobór świadomie wstrzymał się o od dawania szczegółowych wskazówek. Poszczególne Konferencje Biskupów mają opracować plan studiów, metody wychowawcze dla seminariów duchownych w swoich krajach. Te plany powinny być w pewnych odstępach czasu rewidowane i zatwierdzane przez papieża. W ten sposób wychowanie kleru będzie stale dostosowane do warunków czasu i miejsca. Dla pogłębienia życia wewnętrznego kapłanów ważniejsza jest ewangelia ani-

żeli jakieś tradycyjne formy pobożności. Trzeba ogromnie polecać studium Pisma św., które jest duszą całej teologii. I dogmatyka, i historia dogmatów i historia teologii winny być związane z Biblią. Metody nauczania powinny ulec rewizji, nie poruszać więcej przestarzałych zagadnień. Łączność ze światem powinna być w różny sposób utrzymywana: przez znajomość współczesnej filozofii, postępów nauk przyrodniczych, przez choćby skromną wiedzę o zdobyczach, wynalazkach współczesności, o charakterystycznych prądach społecznych, kulturalnych, przez pielęgnowanie form grzeczności danego okresu czasu i danego miejsca, przez przygotowanie się na rozmowy z współczesnymi ludźmi w ich rozmaitych sytuacjach życiowych, przez znajomość chrześcijańskich Kościołów i religii niechrześcijańskich w kraju, w którym młody kapłan będzie pracował, a wreszcie przez praktyczne duszpasterskie szkolenie. Regulamin seminariów duchownych powinien być dostosowany do wieku studentów i zapewniać pewną swobodę, która pomaga wyrabiać w wychowankach rozumną samodzielność.

c) Poszczególne *wspólnoty zakonne* (ich generalne kapituły) mają same dokonać swego odnowienia i daje im się możność pewnego eksperymentowania. Powrót do swoich źródeł (pierwszeństwo ma ewangelia nie reguła zakonna), przystosowanie się do zmienionych warunków czasu — to są kryteria, według których wszystkie konstytucje, reguły, zwyczaje zakonne mają być zrewidowane, przestarzałe przepisy odrzucone, ale bez mnożenia nowych. Instytuty i klasztory, od których nie można już oczekiwać owocnej działalności, nie mogą przyjmować nowicjuszy i powinny, o ile to tylko możliwe, połączyć się z wspólnotami zakonnymi, okazującymi swą żywotność.

5. *Misje:*

Posłannictwo misyjne Kościoła Sobór uzasadnił teologicznie. Nie odmawia jednak możności zbawienia niechrzczonym. Jeżeli młode Kościoły w krajach misyjnych mogą zatrzymać zwyczaje, naukę, sztukę miejscowych ludów, to powinny to uczynić. Studia teologiczne powinny przemyśleć ten problem w świetle biblijnego Objawienia. Nowe gminy chrześcijańskie mają prawo i obowiązek pozostać na swych narodowych podłożach i dawać świadectwo wszystko ogarniającej miłości. Dialog i współpraca, ale nie mieszanie się Kościoła do spraw państwowych. Dla uniknięcia zgorszenia, jakie daje rozbite chrześcijaństwo szczególnie w krajach misyjnych, powinni misjonarze zdobyć się na ofiarny wysiłek i o ile to tylko możliwe, ze sobą współpracować. Rzymskie władze misyjne mają szukać środków i sposobów do skoordynowania pracy misyjnej w porozumieniu z innymi Kościołami chrześcijańskimi. Rada Biskupia przy papieżu winna zwrócić na akcję misyjną specjalną uwagę. Najwyższe władze całej działalności misyjnej Kościoła będą powoływać w

określonych odstępach czasu na obrady przedstawicieli Kościołów misyjnych i kierowników papieskich organizacji misyjnych (a więc już nie sama rzymska kongregacja do spraw misyjnych).

Realizacja soborowego programu dla wewnętrznej odnowy Kościoła będzie kosztowała w następnych latach wiele pracy, wiele wysiłków. Ale przy tym nie wolno zapominać i o tym, co wprawdzie nie zostało w dekretach sformułowane, ale dla następnych dziesiątek lat będzie miało być może jeszcze większe znaczenie niż rzeczy sformułowane.

1. Kościół katolicki ożywia nowy duch, nie dający się skrępować tym, co już zostało sformułowane.
2. Nowa wolność myślenia i dyskutowania okazała się bardzo owocna.
3. Nowy bardziej historyczno-egzystencjalny stosunek do prawdy.
4. Ujawniła się konkretnie ułamkowość i historyczna kontyngencja wszystkich doktrynalnych dokumentów.
5. Na zdefiniowaną przez I Sobór Watykański „nieomylność" II Sobór Watykański świadomie się nie powoływał.
6. Neoscholastyczna szkoła wykazała swą niezdolność do rozwiązywania nowych problemów.
7. Wzrósł autorytet teologii żywej i teologów.
8. Nowy ideał władzy kościelnej (zamiast rządów jednego człowieka odpowiedzialność zbiorowa).
9. Kościół porzucił specyficzne średniowieczne poglądy na temat społeczności, państwa, polityki, scholastyki.
10. Usprawiedliwione postulaty Kościoła Wschodniego i Reformacji zostały przez Kościół katolicki uznane.

VI. ZADANIA NA NAJBLIŻSZĄ PRZYSZŁOŚĆ

Kościół katolicki na swej nowej drodze musi się liczyć z nowymi trudnościami, niebezpieczeństwami. Nowego skostnienia już nie w „katolicyzm" potrydencki, ale powatykański można uniknąć przez czujne wsłuchiwanie się w głos ewangelii i w głosy czasu. Kryzys nie zaszkodzi prawdziwemu, na wewnętrznych wartościach opartemu autorytetowi. Niezadowolenia, nieporozumienia wśród wiernych o nastawieniu tradycjonalnym da się uniknąć przez rzeczowe wyjaśnienia przed wprowadzeniem w życie uchwał soborowych, przez podkreślenie strony pozytywnej ewentualnych negatywnych zarządzeń. Wyjaśnianie dwuznacznie sformułowanych tekstów soborowych będzie owocnym zadaniem teologii. Poważny kryzys może spowodować — jak to się odczuwało na Soborze — tylko napięcie między dążącym do reformy Kościołem i niechętną reformom Kurią rzymską. Jeśli w Rzymie z biegiem czasu nie wzmocnią się wpływy nielicznej na razie

grupy sprzyjającej reformie (np. przez nową obsadę wysokich urzędów kurialnych) i jeśli w Rzymie — jak to już można trochę zauważyć — będzie się usiłowało przywrócić stan przedsoborowy, to może to doprowadzić do wielkiego kryzysu zaufania. Tylko reforma Kurii w osobach i strukturze pozwoli uniknąć tego kryzysu. I tutaj odnowienie umysłu i nawrócenie serc jest rozstrzygające.

Zadania na przyszłość są olbrzymie. Przede wszystkim te, które narzuca sam Sobór:

1. Wprowadzenie w życie dekretów soborowych w całym Kościele.
2. Reforma prawa kościelnego zgodnie z teologicznymi zasadami (specjalna komisja już została utworzona).
3. Ogólne odnowienie teologii na solidnej, biblijnej, historycznej i ekumenicznej podstawie.

Ponadto zadaniami na przyszłość są problemy, nie rozwiązane przez Sobór:

1. Kontrola urodzin według osobistego poczucia odpowiedzialności.
2. Uregulowanie sprawy małżeństw mieszanych(ważność, wychowanie dzieci).
3. Celibat księży w Kościele łacińskim.
4. Reforma Kurii rzymskiej, personalna i strukturalna.
5. Formalne zniesienie indeksu i cenzury prewencyjnej.
6. Reforma praktyk pokutnych: spowiedź, odpusty, posty (piątek).
7. Reforma strojów i tytułów prałackich.
8. Skuteczny wpływ zainteresowanego terytorium na nominacje biskupów.
9. Przeniesienie prawa wyboru papieża z kollegium kardynalskiego na reprezentującą Kościół Radę Biskupią.

Jeśli teraz po zakończeniu Soboru myślę o propozycjach, jakie kiedyś wysunąłem (w 1960 r. w książce „Konzil und Wiedervereinigung") i które wówczas mogły się wydawać bardzo skrajnymi, to mogę dziś powiedzieć: Sobór wprawdzie nie wszystko uczynił, co — jak się już dziś orientujemy — mógł uczynić, ale uczynił wiele więcej, aniżeli oczekiwaliśmy przed kilku laty. Wówczas pisałem: „Sobór będzie albo spełnieniem wielkiej nadziei, albo wielkim rozczarowaniem. Spełnienie małej nadziei byłoby — wobec poważnej sytuacji w świecie i potrzeb chrześcijaństwa — wielkim rozczarowaniem". Dziś mogę powiedzieć: Sobór mimo niemałych rozczarowań przyniósł spełnienie wielkiej nadziei.

Prof. Hans KÜNG

(Przełożył z niemieckiego ks. Wacław TOKAREK)

Najnowsza historia Polski

Polska droga do podległości

Wydając swoją książkę „O rząd i granice"[1], p. *Stanisław Zabiełło* zdawał sobie zapewne sprawę, że w stosunku do pokolenia, które czynnie przeżyło okres II-giej wojny światowej, podejmuje niewdzięczne zadanie. Ludzie tego pokolenia mają w oczach i w pamięci obrazy owych przeżyć, a we własnym ciele często ich skutki. Oni to toczyli walkę z dwoma naraz napastnikami, byli ofiarami, lub świadkami terroru Gestapo, NKWD i Bezpieki, masowych deportacji, mordów i tortur w więzieniach, kacetach i łagrach, Katynia i metodycznego niszczenia stolicy. Przekonać tych ludzi, że jeden z napastników miał najlepsze zamiary, chciał bowiem naród polski „wyzwolić spod rodzimej reakcji" i niemieckiej okupacji, — to zadanie nie powiedzie się autorowi książki. I gdyby rzecz szła tylko o to, nie warto by było, być może, z nim dyskutować i odsłaniać już typowo sowieckiej jego metody w operowaniu faktami.

Ale p. Zabiełło i jego wydawcy co innego muszą mieć na oku. Im już nie chodzi o pokolenie, które zeszło lub schodzi ze sceny, wypełnione uczuciami zawodu, rozgoryczenia lub rezygnacji. Proces ten wielu z nich dobrotliwie ułatwiono, gdy okazali się bezradni wobec nowej rzeczywistości, zapobiegając zarazem fermentom nie groźnym wprawdzie ale zaraźliwym. Stowarzyszeniu „Pax" przypada zasługa spełniania tej charytatywno-politycznej misji w imieniu grupy rządzącej i w jej interesie. Ten problem jest już załatwiony, a w każdym razie niczym nie grozi.

Troski o jutro

Istnieje natomiast problem inny — nierównie większego znaczenia. Z każdym rokiem podrastają i wchodzą w życie nowe po-

1. Stanisław Zabiełło: *O rząd i granice.* Walka dyplomatyczna o sprawę polską w II-giej wojnie światowej. — Instytut Wydawniczy „Pax", 1964.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

wojenne roczniki młodzieży. Trzeba wyselekcjonować następców grupy rządzącej, trudno bowiem będzie importować ich z „metropolii" wzorem lat 1944-1945. Przed grupą rządzącą stoją pilne zadania: najpierw zabezpieczenie siebie od wszelkich niespodzianek, następnie utrzymanie władzy w swoich rękach, a wierności wobec protektora. Narzucony z zewnątrz ustrój i system rządzenia zmuszony jest szukać uzasadnienia w społeczeństwie, które nie było autorem spadłej na kraj nawałnicy. Trzeba otworzyć klapy bezpieczeństwa, dające temu żywotnemu i trudnemu do okiełznania narodowi możność wyżycia się intelektualnego i emocjonalnego.

Istnieje sfera aktywności ludzkiej, która nie szkodzi systemowi. Przeciwnie, może stworzyć przesłanki do emocjonalnej solidarności masy narodu z systemem. Stąd obfitość i rozgłos obchodów, patriotycznej elokwencji i innych manifestacji narodowej euforii na temat przeszłości odpowiednio spreparowanej. Stąd rewizjonizm historyczny, sławienie Polski Piastowskiej i spychanie w dół Jagiellońskiej. Stąd teza, że walki o niepodległość były walką z caratem, lecz nie z Rosją, stąd poszukiwanie związków tych walk z wolnościowymi ruchami rosyjskimi, z rewolucją bolszewicką włącznie. Stąd potępienie polityki polskiej w okresie odrodzenia się państwa polskiego w latach 1918-1821 i późniejszego dwudziestolecia. Co innego Rosja carska, feudalna, autokratyczna, policyjna, zaborcza, — a co innego jej obraz dzisiejszy: wolnościowy, socjalistyczny, wyzbyty z tendencji imperialistycznych, agresywnych.

Sztanca

Według tej recepty podawana jest i interpretowana historia II Rzeczpospolitej od roku 1918 do 1945.

„Widząc ostatnio masy młodych ludzi z Kraju, mogłem się przekonać, że ludzie ci dosłownie nic nie wiedzą o roli Sowietów w latach 1939-40" — pisał redaktor „Kultury" do prof. Sukiennickiego w maju 1964 roku. To samo wrażenie można było mieć w Londynie, stykając się czasami z młodymi ludźmi z Polski, którzy już nawet okresu bierutowo-radkiewiczowskiego w Polsce nie mieli w pamięci, byli bowiem zbyt młodzi, aby ich mogły dotknąć lub zastanowić ówczesne stosunki. A ze szkół wynieśli — jeżeli nie mieli korekty w rodzinie — ponury obraz przedwojennej Polski.

Według tej historycznej sztancy, Polską rządziła reakcyjna, butna, na poły zmilitaryzowana burżuazja, obca pogrążonym w biedzie masom ludowym, ciemiężąca oderwane od Rosji narody białoruski i ukraiński, agresywna wobec Rosji Sowieckiej. Uchyliła się ta Polska od współdziałania z Rosją przeciwko napaści niemieckiej i pod jej uderzeniem przestała istnieć jako państwo. Układ z Niemcami był dla Rosji Sowieckiej konieczny dla zabezpieczenia się od nich, a zarazem powrócił jej ziemie, które Polska

wydarła w traktacie ryskim, korzystając z chwilowej jej słabości. Po napaści niemieckiej w 1941 roku Związek Sowiecki próbował dojść do porozumienia z polskim rządem na emigracji dla wspólnej walki z Niemcami, lecz próby te zawiodły. Rząd polski w Londynie prowadził politykę antysowiecką. Tymczasem w okupowanej Polsce narastały siły społeczne, które w Sowietach widziały prawdziwego silnego przyjaciela, mogącego wyzwolić kraj od napastnika, a zarazem wzór nowego socjalistycznego ustroju. Konkurując w Kraju z rządem londyńskim i ogarniając swoimi wpływami masy narodu, siły te, w oparciu o zwycięskie Sowiety, stały się prawdziwym wyrazem dążeń tych mas i założycielem „Polski Ludowej".

Tę bajeczkę o narodzinach „Polski Ludowej" trzeba było wprowadzić do zasobu „wiedzy o Polsce", udzielanej w szkołach i literaturze nowym pokoleniom. Temu celowi też służy książka p. Zabiełły, o której tu mowa. Teza jej główna snuje się na kanwie tej bajeczki przez całe 300 stron. Potwierdzenie tego celu znajdujemy w końcu książki. „Szkieletem niniejszej książki — pisze p. Zabiełło — była jej poprzedniczka pt. *Z najnowszych dziejów polskich* (PZWG., 1961), stanowiąca *kompendium dla nauczycieli, opracowane pod redakcją Zakładu Historii Partii przy Komitecie Centralnym PZPR*. To *imprimatur* jest bardzo wymowne. Książkę tę można uważać za kompendium ale dla zaawansowanych.

Ornamenty

Instancje wydawnicze partii, które wydanie jej aprobowały, postarały się ją zaasekurować przed niepopularnością firmy wydawniczej. Wyszła tedy pod strawniejszą dla ogółu firmą „Instytutu Wydawniczego PAX". Przyznać trzeba, że i autor przyłożył się bardzo do tego, aby język, styl i formy rozumowania swej pracy uczynić możliwie odległymi od przeciętnej „propagitki", aby sentymentów z minionego okresu nie urazić, patriotyzmu i woli walki rządowi i armii nie odmówić, społeczeństwa w czambuł zarzutami zdrady interesów narodowych, egoizmu klasowego i tp. nie obciążyć. Autor stawia sobie zadanie ograniczone. Chciałby przekonać niekomunistyczny ogół narodu, że rządy na emigracji były pogrążone w kompleksie błędów zasadniczych, odziedziczonych w znacznej części od swoich poprzedników, i wskutek tego przegrały rywalizację z „polskimi kołami demokratycznymi, rozumiejącymi konieczność przyjaznych stosunków z sąsiadem wschodnim".

P. Zabiełło był urzędnikiem polskiej służby zagranicznej w okresie dwudziestolecia. Zajmował w niej poważne stanowiska, m.in. delegata rządu we Francji w czasie okupacji niemieckiej. Przedtem był w ambasadzie polskiej w Moskwie i kierował referatem sowieckim w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie można więc go posądzać o zupełną nieznajomość historii Rosji,

partii komunistycznej i jej metod w polityce międzynarodowej. Po zakończeniu działań wojennych i po zwolnieniu z niemieckiego kacetu, przebywając na emigracji, doszedł widocznie do przekonania, że, kontynuując po Jałcie politykę rządów polskich na uchodźtwie, błądzili i jego zwierzchnicy i on sam. Rozstał się więc z rządem Arciszewskiego w Londynie i wrócił do „Polski Ludowej", nękanej właśnie najbardziej przez wyzwolicieli — Bierutów, Bermanów, Radkiewiczów i innych. Przyjąwszy nowe przykazania rządzących wówczas Polską za swój drogowskaz, rozpoczął pracę w tym duchu w wydawnictwach „Pax'u". Zajmował się, zdaje się wyłącznie, stosunkami międzynarodowymi i polityką zagraniczną II-giej Rzeczpospolitej i „Polski Ludowej", stając się z biegiem czasu jednym z głównych interpretatorów i promotorów nowego kursu.

Bajeczka o „władzy ludowej"

Autor przezornie odgradza się od ekstremistów i gorliwców, odmawiających rządom na uchodźctwie tytułów legalnej władzy państwowej. Przyjmuje fakt uznawania go przez prawie wszystkie państwa i przez Ligę Narodów za niezbity dowód jego międzynarodowej legalności. Ale zaraz potem nadaje powstałemu 22 lipca 1944 z woli okupantów sowieckich „Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego" charakter faktycznego „rządu tymczasowego". Wystąpiły więc odtąd dwa rządy o diametralnie różnych koncepcjach ustrojowych i politycznych — w Londynie i na terenie okupacji sowieckiej w Polsce. Musiało to doprowadzić do konfliktu ich ze sobą Autor konkluduje:

> „Ze starcia koncepcji rządu emigracyjnego i jego zwolenników z koncepcją polskiego obozu demokratycznego zwycięsko wyszła władza ludowa".

To jedno zdanie kończące rozdział I kryje w sobie główną tezę książki. Na 300 stronach autor opowiada o przebiegu tego starcia. Ale w tym zdaniu, jak się to okaże, nie ma ani słowa prawdy.

Nie poprzestańmy jednak na tym jednym zdaniu. Całość poglądów autora, przedstawionych na tle historii stosunków polsko-sowieckich i polsko-alianckich, w okresie 1939-1945, można streścić w kilku następujących zdaniach.

Rosja Sowiecka nie dążyła do podbicia lub opanowania i sowietyzacji Polski etnograficznej. Związek Sowiecki, po załatwieniu sprawy ziem białoruskich i ukraińskich, pragnął tylko mieć w Polsce przyjaznego sąsiada, związanego z nim sojuszem wojskowym. Rząd polski, usunąwszy ze swego grona elementy antysowieckie, mógł był zawrzeć porozumienie na tych warunkach z rządem sowieckim. Uniknąłby w ten sposób wstrząsów rewolucyjnych i walk wewnętrznych. Ale rząd Sikorskiego „dał się ponieść na zdradliwe bezdroża beckowskiej koncepcji Międzymorza" i odrzucał wszelkie porozumienie ze Związkiem Sowieckim. Tej polityce przeciwstawiły się koła „demokratyczne" i „postępowe" w Polsce i na uchodźtwie. Popierane przez rząd sowiecki, zorganizowały się i tu i tam i, zyskując sobie coraz większą popularność, wyłoniły, „na żądanie społeczeństwa polskiego", po nieudanych próbach porozumienia z rządem londyńskim, „Tymczasowy Rząd R.P." na terenie zajętym przez wojska sowieckie (31. XII. 1944). Rząd sowiecki natychmiast go uznał (wbrew prośbom Roosevelta), a po kilkumiesięcznym sporze i po Jałcie uznały go również rządy zachodnich aliantów. O zwycięstwie „rządu ludowego" przesądziło mocniejsze oparcie społeczne obozu „postępowego" w Polsce i pełne poparcie udzielane mu przez rząd sowiecki. Przegrana rządu londyńskiego była skutkiem jego reakcyjności, „antyradzieckości" i złej oceny stosunku sił w świecie w końcu wojny, oraz nastrojów szerokich warstw narodu w kraju.

Jak widać z tego streszczenia, rozumowanie p. Zabiełły nie wiele odbiega od urzędowej sztancy.

Koncepcje rządu na emigracji i „polskiego obozu demokratycznego" (autor stale, wzorem żargonu sowieckiego, nazywa „demokracją" państwo totalitarne i monopartyjne, a „siłami demokratycznymi" — zwolenników i „poputczików" tego systemu) nigdy i nigdzie nie miały okazji do wolnej konkurencji politycznej, a więc i do starcia. Aż do czerwca 1941, czyli w okresie ścisłej współpracy Związku Sowieckiego z hitlerowską Rzeszą, „polska skrajna lewica" — pisze p. Zabiełło — stawiała się do dyspozycji radzieckiej" i, oczywiście, rozbiór Polski aprobowała. P. Zabiełło usiłuje dowieść, że byli to wyraziciele nowej i słusznej — jego zdaniem — orientacji, szukającej pomocy dla Polski u jednego z tych rozbiorców, podług wzoru Targowicy. Ci nowi polscy komuniści (starych wytracił Stalin w roku 1937/38) mieli w latach 1944-45 tak znacznie rozszerzyć swoje wpływy w społeczeństwie polskim, że w sporze „o rząd i granice" przeważyli szalę w decyzjach zwycięskich aliantów na rzecz swojej koncepcji, czyli „Polski Ludowej". Cóż za ponura anegdota!

Ze znanego już dzisiaj dokładnie przebiegu sporu trzech państw zwycięskich o przyszłość Polski, wynika niezbicie, że o granicach i o ustroju zadecydował Stalin. Alianci anglo-sascy, będąc w ciągłym strachu o odrębny pokój Moskwy z Niemcami, nie mieli odwagi mu się przeciwstawić, a jego gry często nie rozumieli.

Od połowy 1944 roku armie sowieckie okupowały wschodnią część Polski a w lutym 1945 zawładnęły już całością. Z miejsca wprowadzały wszędzie ustrój i władzę sowiecką, a ujawniające się wobec tych wojsk — na polecenie Londynu — czynniki polskie, cywilne i wojskowe, sadzały do więzień i wysyłały do łagrów. Żadnych „polskich sił demokratycznych", godnych wspomnienia, na miejscu nie było, prócz osadzanych przez władze okupacyjne. Działały one za pomocą grupki komunistów i ich „poputczików" rozmaitego pochodzenia i bardzo lichego kalibru.

Ci polscy kolaboranci byli zjednoczeni w jednym ale wystarczającym punkcie: posłuszeństwie płynącym z Moskwy dyrektywom.

Churchill spotkał się z członkami „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego" (PKWN) po raz pierwszy w Moskwie 13. X. 1944. W swoich pamiętnikach notuje wrażenia z tego spotkania:

> „Wkrótce stało się widoczne, że ci lubelscy Polacy są tylko marionetkami rosyjskimi. Nauczyli się odrobić swoje role tak gorliwie, że nawet ich mistrzowie wyraźnie czuli w tym przesadę... Eden powziął z tego spotkania najgorszą opinię o tych trzech Polakach...".

W sprawozdaniu do króla Churchill pisał o tym spotkaniu:

> „Nasza paczka londyńska (Mikołajczyk i jego towarzysze, Tadeusz Romer i Stanisław Grabski), jak Waszej Królewskiej Mości wiadomo, jest przyzwoita, choć słaba. Ale delegaci lubelscy nie mają zapewne żadnych złudzeń co do naszej o nich opinii. Wydali mi się najczystszej wody marionetkami *(tools)* i wyrecytowali swoje „kwestie" z doskonale wytrenowaną ścisłością".

Eufemizm p. Zabiełły „władza ludowa" ukrywa w rzeczywistości władzę sowiecką, z której ramienia w roku 1944/45 objęli rządy w Polsce raczej fikcyjnie — Polacy, ale w służbie sowieckiej.

Tematy wstydliwe

Opowiadając szczegółowo o powstaniu i polityce rządu gen. Sikorskiego we Francji i Anglii, p. Zabiełło pomija fakty o zasadniczym znaczeniu, gdy mu są niewygodne. Tak, np. czytelnik, pragnący dowiedzieć się o przyczynach, które zaprowadziły rząd polski we wrześniu 1939 do Rumunii, nie dowie się tego z książki p. Zabiełły. Przeczyta natomiast nie bez zdziwienia, że wojska sowieckie, podług raportu posła włoskiego w Bukareszcie, miały rzekomo przez 24 godziny wstrzymywać się od zajęcia Kut, aby umożliwić władzom rządowym polskim przedostanie się na stronę rumuńską!

Nie dowie się też czytelnik tej książki o traktatach rozbiorczych sowiecko-niemieckich z sierpnia i września 1939 roku; o odmowie Mołotowa praw dyplomatycznych personelowi ambasady polskiej w Moskwie; o podstępnym pochwyceniu i sprzątnięciu gen. konsula polskiego w Moskwie Matusińskiego; o masowych mordach, aresztach i deportacjach ludności miejscowej wszelkich narodowości na najechanych ziemiach wschodnich Polski; o losie wielu tysięcy oficerów i żołnierzy zaginionych w głębi Rosji, z których tylko mała część odnalazła się w grobach pomordowanych w Katyniu; o polowaniach na członków A.K. przy

pomocy A.L. na zajętych przez wojska sowieckie terenach w 1944 i 1945; o „wyborach" do zgromadzeń konstytucyjnych w Białymstoku i Lwowie w 1939 roku i „uchwałach" o przyłączeniu do republik sowieckich; o wymuszeniu na państwach bałtyckich garnizonów sowieckich i złamaniu w następnym roku zawartych umów, o okupacji tych państw i wcieleniu do Związku Sowieckiego za pomocą analogicznej procedury, jaką zastosowano w poprzednim roku względem ziem wschodnich Rzeczpospolitej, i td. i td.

Gehenna polska pod okupacją sowiecką, władzą NKWD i administracją PKWN, a następnie „Tymczasowego Rządu PRL." w latach 1944-45 składa się z niezliczonej ilości wstrząsających grozą i tragizmem faktów. Szczególnie tragicznym był los żołnierzy Armii Krajowej. Po kilku latach najcięższej kondycji żołnierskiej, w przeddzień zwycięstwa nad wrogiem, zaczęli być szczuci i tępieni przez tych, których p. Zabiełło określa mianem „obozu postępowego i demokratycznego". Czas — ten niezawodny lekarz wszystkich ran — zasklepia je zwolna w pamięci uczestników, a cóż dopiero potomnych. Może to i lepiej. Ale dla oceny ówczesnych wydarzeń — politycznej i moralnej — znajomość tych faktów jest niezbędna. Inaczej nie będzie zrozumiałe takie a nie inne postępowanie współczesnych Polaków, — tych co na obczyźnie uważali się za zastępców ich interesów i praw wobec świata[2].

Polowanie z wabikiem

Nie dość że autor pomija milczeniem napaść sowiecką na walczącą z Niemcami Polskę i rozbiór jej w roku 1939. Nie ma przy tym żadnych skrupułów przy potakującym sformułowaniu stanowiska rządu sowieckiego wobec Polski:

> „Uważał on (Związek Sowiecki) II Rzeczpospolitą za historycznie przebrzmiałą, ale bynajmniej nie zastrzegał się przeciwko odrodzeniu po wojnie Polski w granicach etnicznych i z rządem demokratycznym pragnącym przyjaźnie współpracować ze wschodnim sąsiadem".

Jakiż to olimpijski spokój i pogoda biją z tego zdania!

P. Zabiełło zarzuca rządowi polskiemu we Francji, że miał głuche uszy na dochodzące do niego wiadomości o prowadzonych

2. Wielce ubolewania godne jest, że bardzo obfity materiał z tych tragicznych lat, znajdujący się w posiadaniu byłego premiera Stanisława Mikołajczyka, nie został dotąd — po 20 latach — opublikowany. Idzie to na rękę tym tylko, którzy chcieliby ze stosunków polsko-sowieckich w owych latach uczynić sielankę. Korzystał z tych materiałów Edward J. Rożek, gdy w roku 1957 pisał swoją bardzo cenną pracę pt. „Allied Wartime Diplomacy. A Pattern of Poland". — New York, John Wiley and Sons, London, Chapman and Hall. Niestety, praca ta nie jest nawet przetłumaczona na język polski.

przez „koła rządowe ZSSR" na przełomie lat 1939-40 rozmowach z działaczami polskimi dla pozyskania „grona patriotów polskich do wspólnej walki z najeźdźcą hitlerowskim". Czyżby przebywający wówczas we Francji autor mógł był uwierzyć w dobrą wolę sowieckiego najeźdźcy? Czy mógł uznać owych „działaczy polskich" za przedstawicieli jakiegokolwiek ułamka opinii polskiej?

Rząd sowiecki nie uznawał wówczas samego faktu istnienia państwa polskiego. („Wystarczyło krótkie uderzenie w Polskę od strony najprzód armii niemieckiej a potem armii czerwonej, aby nic nie zostało z tego poczwarnego bękarta traktatu wersalskiego" — mówił Mołotow 31. X. 1939 na sesji Rady Najwyższej ZSSR). Urzędników, żołnierzy i ludność na zajętym terenie Polski władze sowieckie wsadzały do więzień i łagrów lub deportowały. Za czynności urzędowe przedstawicieli polskich władz stawiano przed sądem i skazywano jak za przestępstwa. Wytoczono proces ks. Eustachemu Sapieże za... zawarcie traktatu ryskiego w 1921 roku ze Związkiem Sowieckim, a licznym urzędnikom administracji polskiej za wykonywanie ustaw państwowych i zarządzeń swoich zwierzchników.

W roku 1941 wskutek ataku hitlerowskiego odwrócił się nagle front sowiecki przeciwko Niemcom. Wynikła z tego konieczność uregulowania stosunku z Moskwą, jako przymusowym członkiem koalicji antyhitlerowskiej. Decydując się na pertraktacje i zawieranie układów z tym wiarołomnym partnerem, rząd polski dowiódł wielkiego zasobu dobrej woli, — w niezmiernie trudnej, zresztą, sytuacji dyplomatycznej. Już nazajutrz po ataku hitlerowskim na ZSSR, w dniu 23 czerwca 1941, gen. Sikorski przemawiając przez radio do Polski, zaoferował Sowietom porozumienie na podstawie status quo ante i przywrócenie stosunków dyplomatycznych.

P. Zabiełło sugeruje *implicite*, że należało rządowi polskiemu szukać porozumienia z Moskwą już na przełomie lat 1939-40, to znaczy bezpośrednio po uderzeniu z tyłu w walczące z hitlerowskim najazdem wojska polskie. Zdaje sobie zapewne sprawę, że byłoby to sprzeczne z uczuciową postawą całego narodu polskiego, może z wyjątkiem grupki komunistów. Moskwa wówczas sama przekreśliła wszelkie podstawy, aby można było żywić zaufanie do jej zobowiązań. Nie dałoby to zresztą w zamian nic, gdyż rząd sowiecki cenił sobie wówczas na pewno wyżej porozumienie z Hitlerem, niż oddanie się pod jego opiekę rządu polskiego, znajdującego się w gościnie na ziemi francuskiej. Pewne koncesje, które gen. Sikorski był skłonny wówczas zrobić co do nienaruszalności granic wschodnich, lecz następnie pod naciskiem ministra Zaleskiego wycofał, były koncesjami dla rządu angielskiego, których znaczenia gen. Sikorski nie dość rozumiał.

P. Zabiełło z całą powagą dowodzi, że już przed atakiem niemieckim na ZSSR poszukiwała Moskwa „działaczy polskich skłonnych do współpracy z Sowietami w jakimś ewent. Komitecie Narodowym na gruncie walki o wyzwolenie Polski spod okupacji i przywrócenie suwerenności państwa polskiego". Sondaże te miały sięgać — jak twierdzi p. Zabiełło — nie tylko do osób z polskiego ruchu rewolucyjnego (grupa „Nowych Widnokręgów" z Wandą Wasilewską na czele) ale i do przedstawicieli konserwatywnych sfer społecznych (ks. Janusz Radziwiłł, generałowie Anders i Langner). P. Zabiełło podaje niektóre punkty tego fikcyjnego programu sowieckiego, czerpiąc je z enuncjacji kierowniczych czynników Związku Sowieckiego, których jednak nie lokuje ani w czasie ani w miejscu.

A więc miały te czynniki wyrażać życzenie, aby Polska była „demokratyczna", aby były w niej „przywrócone swobody obywatelskie". W stosunku do osób siedzących wówczas w więzieniu, takie sugestie (jeżeli w ogóle miały miejsce) były pospolitym szantażem. Zarazem zapewniały jakoby owe „czynniki kierownicze", że „nie mają zamiaru ingerować w stosunki wewnętrzne Polski", w szczególności dalekie były od żądania komunistycznego ustroju. „Niezłomny był Stalin tylko w sprawie granic" — pisze p. Zabiełło. Roniąc łezkę nad losem społeczeństwa polskiego na ziemiach wschodnich, sądzi, że z załatwieniem tego problemu nie można było zwlekać wobec przejawiającego się potężnie na zewnątrz patriotyzmu radzieckiego, dla którego zrealizowanie odwiecznych aspiracji narodowych, zahamowanych przez traktat ryski, było problemem również emocjonalnym".

Nie krępuje się p. Zabiełło pisać podobnych nonsensów historycznych. Aneksja ziem wschodnich Polski, zasiedlonych przez ludność białoruską, litewską, polską i ukraińską, była w rzeczywistości zrealizowaniem „radzieckich" aspiracji nie narodowych lecz *imperialistycznych* — jak to zgodnie kwalifikują wszystkie odłamy emigracji tych narodów.

Katyń i zerwanie

Umowa Sikorski-Majskij z 30 lipca 1941 roku była interpretowana przez strony od początku rozbieżnie. Gen. Sikorski chciał w niej widzieć uchylenie aneksji ziem wschodnich przez Sowiety w roku 1939, czemu strona sowiecka z miejsca przeczyła. W zakresie zwalniania jeńców i deportowanych, oraz organizowania pomocy umowę zaczęły wkrótce sabotować władze sowieckie. Personel delegatur polskich pracował w warunkach wielkiej wrogości i podejrzliwości lokalnych władz — co uznaje nawet p. Zabiełło[3].

Przekonawszy się, że armii gen. Andersa nie zdoła włączyć w swoje plany względem Polski, Stalin postanowił pozbyć się jej i zgodził się na ewakuację na Bliski Wschód („Wojsko polskie w Związku Sowieckim stawało się coraz bardziej obcym i destrukcyjnie działającym ciałem" — pisze p. Zabiełło). Nastąpiła zmiana na stanowisku ambasadora polskiego, zaostrzyły się sto-

3. Liczne przykłady z archiwum Mikołajczyka cytuje Rożek w rozdziale 4-ym swojej książki.

sunki na tle działalności delegatur polskich, sporu w sprawie obywatelstwa, egzekucji Altera i Ehrlicha i tp. Znać było, że z Kremla wyszły rozkazy hamowania całej akcji wynikającej z lipcowej umowy. Stalin przeniósł ostatecznie swoją polskę stawkę na inne *tableau*, które już od dawna przygotował. (Związek Patriotów Polskich powstał w przeddzień przyjazdu gen. Sikorskiego do Moskwy w początku grudnia 1941).

Odkrycie grobów katyńskich było strasznym wstrząsem dla ogółu polskiego. Rząd zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża niemal odruchowo o zbadanie sprawy. Miał wszelkie racje moralne za sobą, ale mógł przypuszczać, że prośba jego przyjęta przez MCK nie zostanie.

Stalin skorzystał z tego kroku rządu polskiego jako pretekstu do zerwania stosunków dyplomatycznych i anulowania traktatu z 30 lipca 1941. Otwierał sobie w ten sposób szeroko wrota do stworzenia organów „obozu demokratycznego", jako podstawy do następnego etapu — wyłonienia konkurującego z londyńskim marionetkowego rządu. Z chwilą kiedy zarysowały się widoki na zwycięstwo nad Niemcami, zaświtała szansa przeniesienia komunizmu i władzy Moskwy na bagnetach sowieckich poprzez Polskę w głąb Europy. Z opublikowanych w ciągu ubiegłych 25 lat dokumentów, opracowań historycznych i relacji pamiętnikarskich[4] wiadomo dobrze jak wielką wagę przywiązywał Stalin do opanowania przez Komintern Niemiec. Polska jest wielkim przedpolem prowadzącym do centrum Europy. Musiało to przedpole być w całkowitej władzy Moskwy.

Analogiczne plany sowieckie w latach 1919-21 skończyły się niepowodzeniem wskutek klęski najazdu na Polskę u wrót Warszawy i nad Niemnem. Ale nigdy zaniechane nie zostały. Odłożono je tylko do stosownej chwili. Wojna 1941 roku, po przewyciężeniu uderzenia niemieckiego, otwarła nowe perspektywy i polityka Stalina wobec Polski była coraz silniej warunkowana planem ogólnej ekspansji rosyjskiego komunizmu na zachód.

Po zerwaniu stosunków, przed „Związkiem Patriotów Polskich", jako polską egzekutywą planów Stalina, zabłysły zielone światła. P. Zabiełło z całą powagą mianuje go „organizacją postępowej części wychodźtwa polskiego w Związku Radzieckim". Składała się ta organizacja z nowego rzutu komunistów polskich (poprzedni był już z ręki Stalina w innym lepszym świecie) i „poputczików" z Wandą Wasilewską na czele. Na zjeździe 9 i 10 czerwca 1943 ZPP uchwalił deklarację, w której wołał m.in. o „ustrój parlamentarno-demokratyczny", oraz o „Polskę wolności obywatelskich, politycznych i religijnych". Gdy w półtora roku potem wojska sowieckie osadziły w Polsce tych ludzi jako grupę rządzącą, pokazali oni jak rozumieją i stosują te swoje hasła.

Powstanie ZPP było początkiem długiego łańcucha manewrów Stalina, zmierzających do zamydlenia oczu Churchill'owi i Roosevelt'owi i ukrycia pod rozmaitymi wywieszkami rzeczywistych zamiarów wobec Polski i Europy. Wielostopniowy manewr był przeprowadzony bardzo zręcznie, nie spotykając po stronie polskiej trzeba to z przykrością stwierdzić — kontrpartnera tej samej klasy. Nie doprowadziłby jednak do tego rezultatu, który dopiero w roku 1945 ukazał się jasno oczom całego świata, gdyby był Stalin nie potrafił zafascynować i wprowadzić w błąd swoją chytrą grą prezydenta Stanów Zjednoczonych. Roosevelt naiwnie uwierzył w gotowość sowieckiego dyktatora do współrządzenia z Ameryką światem na zasadach jego, Roosevelt'a, pseudo-idealistycznego katechizmu.

4. M.in. Krywickiego *Byłem agentem Stalina*. — Instytut Literacki, Paryż, 1964.

Gwaranci i alianci

Mocarstwom anglosaskim inkryminuje autor, że usiłowały narzucić Polsce rząd o orientacji prozachodniej". Jak gdyby trzeba było *narzucać* to narodowi, który od tysiąca lat na zachód był zorientowany! Jakże cierpliwy musi być papier w PRL.

Od konferencji w Teheranie w końcu 1944, poprzez Jałtę i misję Hopkinsa w Moskwie w końcu maja 1945 co innego obciąża dzisiaj i jutro państwa anglosaskie. Kamieniem ciążącym na ich politycznym sumieniu i — co dla nich ważniejsze — na ich politycznym *interesie*, jest wydanie Sowietom całej wschodniej Europy — *bez żadnej po temu konieczności*, bez żadnej potrzeby.

Churchill rozumiał Rosję i metody sowieckie lepiej niż Roosevelt i w swoich stosunkach ze Stalinem posługiwał się tymi samymi „realnymi" argumentami i środkami. Ale miał ich w swojej dyspozycji znacznie mniej od swego kontrpartnera. Jego koncepcja ofensywy alianckiej od Bałkanów na północ wzdłuż linii Belgrad-Warszawa[5] w razie zgody Amerykanów, mogła była ubiec wojska sowieckie na ziemiach polskich i umocnić na nich prawdziwie polską władzę[6]. Z dwóch polskich celów-odzyskania wolności i integralności terytorialnej państwa — ten pierwszy cel zdecydowany był Churchill bronić do upadłego. Granica wschodnia według traktatu ryskiego była osiągnięta przez samych tylko Polaków pod wodzą Piłsudskiego *wbrew mocarstwom anglosaskim*, dla których jedynie słuszną granicą wschodnią Polski była zawsze od roku 1919 linia Curzona. Już dla tego samego skwapliwe przyjęcie przez Becka tzw. gwarancji brytyjskiej w marcu 1939 roku — bez realnych warunków — było krokiem bardzo lekkomyślnym.

5. Vide H. W. Baldwin: *Great Mistakes of the War*. — Alvin Redman, London, 1950. John A. Lukacs: *The Great Powers and Eastern Europe*. — American Book Co., New York, 1953. C. Wilmot: *The Struggle for Europe*, London, 1952.

6. Wprawdzie Churchill w swoich pamiętnikach twierdzi, że nigdy nie opierał się planowi „Overlord" (lądowanie w Normandii), ale, jak słusznie zaznacza Lukacs, operacja bałkańska mogła być prowadzona równolegle, lub zamiast lądowania w Południowej Francji.

Churchill był szczerszy od Roosevelt'a i, jako polityk, bardziej konsekwentny, gdy 22. II. 1944 oświadczył w Izbie Gmin:

„Chciałbym przypomnieć Izbie, że nigdy nie gwarantowaliśmy w imieniu rządu J.K.Mości żadnej określonej granicy Polski... Stanowisko W. Brytanii w roku 1919 wyraziło się w tzw. linii Curzona. Zawsze byłem zdania, że kwestie terytorialne powinny być odroczone do końca wojny...".

Można było, oczywiście, z pełnym uzasadnieniem oburzać się na chęć rozporządzania się terytorium sojusznika, lub na obietnice „rekompensaty" gdzie indziej. Ale, oceniając tę sprawę z *perspektywy historycznej*, trudno stawiać Churchill'a pod pręgierz za te jego słowa, które nic innego nie wyrażały, jak *niezmienny* od 1919 roku i rządowi polskiemu dobrze znany pogląd brytyjski na kwestię wschodnich granic Polski. „Panie premierze, linia Curzona nie została wynaleziona przez Rosjan lub Polaków, lecz przez Lloyd George'a, Clemenceau i Curzona" — mówił szyderczo Mikołajczykowi Stalin w długiej rozmowie 3 sierpnia 1944 roku. — Kiedy ci panowie stworzyli tę linię w Wersalu, Rosjan tam nie było".

Churchill mówił otwarcie Polakom w oczy a Roosevelt zwodził, obiecując pomoc, której dać nie zamierzał. Churchill, widząc już jasno zagrożenie wysp brytyjskich w razie opanowania przez Sowiety rozbitych Niemiec, zdecydowany był bronić również niepodległości Polski, jako pierwszej pozycji obronnej. Miał konkretną i realną koncepcję osiągnięcia swego programu. Nie tylko miał, ale o nią energicznie i uporczywie walczył. Proponował przez silne i szybkie uderzenie na słabą południową flankę sił niemieckich, poparte niezawodnie przez ogólne powstanie w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech, uprzedzić wkroczenie wojsk sowieckich na terytoria tych państw. Roosevelt, Marshall i Eisenhower, równie uporczywie sprzeciwiając się temu planowi, wydali Europę Wschodnią w ręce sowieckie a Polsce przeznaczyli z góry miejsce w sowieckiej „sferze wpływów i interesów".

Podczas kilkudniowej konferencji Edena z Rooseveltem, któremu sekretarzował Hopkins (Cordell Hull nie był nawet zaproszony) mowa była m.in. o Polsce i jej tarciach z Sowietami. „Zostało uzgodnione — pisze historyk amerykański prof. Gaddis Smith — że Polacy londyńscy są mącicielami pokoju, których skargi i bezzasadne żądania narażają stosunki z Rosją. Roosevelt powiedział, że rozwiązanie sprawy Polski musi być podyktowane". W Teheranie w jesieni 1943 r. — pisze tenże autor — Roosevelt mało mówił o kwestii polskiej w obecności Churchill'a, ale w cztery oczy powiedział Stalinowi, że potrzebuje 6 czy 7 milionów głosów Amerykan polskiego pochodzenia. Dlatego nie może uczestniczyć w dyskusji i decyzjach na temat Polski aż do chwili wyborów, choć podziela opinie Stalina co do Polski".

Ale Churchill miał język twardy, często brutalny i niepohamowany. Patosu i liryki, którymi go nieraz z polskiej strony częstowano, w polityce nie znosił. Znał natomiast — jak trafnie zauważa Baldwin — zasadę rosyjską, że *posiadanie stanowi 9/10 prawa własności*. Roosevelt był czarujący, zdobywał sobie ludzi szlachetnością gestu, uśmiechem i hojnością obietnic, których nie dotrzymywał. W oczach polskich wyrósł na salwatora a Churchill spadł do poziomu sprzedawczyka. Niesłusznie.

Zabiegi rządu polskiego u Roosevelt'a o pomoc w czasie kiedy był on już zdecydowany na powojenną współpracę ze Stalinem, były skazane na niepowodzenie. Rządy polskie w Londynie wykazały tu brak przenikliwości w ocenie sytuacji i pomysłowości w działaniu. Co prawda, niełatwo było wówczas przypuścić, że zlepek talentu i naiwności, purytanizmu i cynizmu, stanowi treść duchową człowieka uznanego po śmierci w roku 1945 za „ojca zwycięstwa" (obok Stalina). Obiecując Mikołajczykowi w początku czerwca 1944 pomoc w jego opieraniu się żądaniom sowieckim, Roosevelt powiedzieł na zakończenie: *But of one thing I am certain. Stalin is not an imperialist* („Co do jednej rzeczy jestem pewien: Stalin nie jest imperialistą").

Model satelizacji

Najbardzie szczodrym w obietnicach i demokratycznym w rozmowach z przedstawicielami państw zachodnich był Stalin. Jeszcze 9. VIII. 1944 przekonywał Mikołajczyka, że Związek Sowiecki zrezygnował z imperialistycznej polityki rządów carskich w stosunku do Polski i pragnie, „aby oba narody (sic!) pozostawały w przyjaźni, krocząc każdy swoją drogą bez ingerowania w wewnętrzne sprawy drugiego". Jeszcze 18. X. tego roku na pytanie Mikołajczyka czy sądzi, że Polska powinna mieć ustrój komunistyczny, Stalin odpowiadał: „Oczywiście, że nie. Ustrój Polski powinien być demokratyczny. Własność i inicjatywa prywatna powinny pozostać, naturalnie z kontrolą państwa nad kapitalizmem. W Polsce nie ma warunków na system komunistyczny". W końcu maja 1945 zjawił się u Stalina wysłaniec Trumana Hopkins. Stalin zapewniał go, że całe to gadanie o sowietyzacji Polski jest nonsensem. „Związek Sowiecki nie ma zamiaru ingerować w wewnętrzne sprawy Polski, która będzie miała system parlamentarny jak Czechosłowacja, Belgia lub Holandia".

Przykłady te można mnożyć dowoli. Nie potwierdzają one tezy, p. Zabiełły, że trzeba było szukać porozumienia z rządem sowieckim i zaufać mu od początku.

Traktaty z innymi państwami uważane były przez bolszewików za obowiązujące tak długo jak długo odpowiadały ich interesom lub czasowej koniunkturze. Z chwilą kiedy te motywy odpadały, zobowiązania niedogodne lub krępujące przestawały po prostu dla strony sowieckiej istnieć.

Traktat ryski był zawarty w chwili kiedy Sowiety dalej walczyć chwilowo nie mogły. Ale Lenin i „wierchuszka" sowiecka nie wyrzekli się swoich planów, okazanych aż nadto wyraźnie w

latach 1919-20. Jakie to były plany i dlaczego bolszewicy musieli od nich czasowo odstąpić — tego p. Zabiełło nie napisze w swoich artykułach i książkach, z „kompendium" dla użytku KC. PZPR włącznie.

Fakty i dokumenty, świadczące o rzeczywistych zamiarach partii i rządów sowieckich względem Polski, zebrał i ogłosił w latach 1963-64 dr. Wiktor Sukiennicki[7]. Czytelnikom książek p. Zabiełły zaleca się — w imię zasady *audiatur et altera pars* — zapoznanie się z tymi pracami. Znakomitym źródłem dla poznania historii polsko-sowieckich stosunków, szczególnie w czasie wojny 1939-45 i satelizacji Polski jest wspomniana już wyżej książka E. Rożka.

Klasycznym przykładem metody Lenina i Stalina (pod tym względem byli oni zgodni) mogą służyć w latach 1920-23 państwa kaukaskie — Armenia, Azerbejdżan i Gruzja, a w latach 1939-40 — państwa bałtyckie[8]. Kolejne etapy tej metody są bardzo proste.

Najpierw cierpliwe wyczekiwanie na dogodną koniunkturę międzynarodową (np. Gruzja została okupowana zbrojnie dopiero po oświadczeniu Lloyd George'a wobec Krassina, że W. Brytania uważa cały Kaukaz za sferę wpływów sowieckich i nie zamierza tam interweniować); jednocześnie, za pomocą traktatów i dyplomacji, wytworzenie w danym kraju poczucia spokoju i bezpieczeństwa (np. państwa bałtyckie, Rumunia i Polska w latach 1921-39);

następnie, w razie powstania dogodnej koniunktury, wywołanie sporów i konfliktów równolegle z wywieraniem nacisku dyplomatycznego (np. spory o wykonanie umowy z 30. VII. 1941);

równolegle z tym organizowanie w danym kraju komórek złożonych z komunistów i agentów, a w ZSSR „reprezentacji kół demokratycznych i postępowych" — wedle nomenklatury p. Zabiełły (np. Krajowa Rada Narodowa w Polsce i Związek Patriotów Polskich w ZSSR);

następny etap: anulowanie zobowiązań dotychczasowych wobec danego kraju wskutek „wrogich działań w stosunku do ZSSR", ewentualnie wskutek zmiany sytuacji międzynarodowej (np. nota Mołotowa doręczona Grzybowskiemu 17. IX. 1939 i słowa tegoż Mołotowa do premiera litewskiego Kreve-Mickieviciusa 30. VI. 1940);

w razie oporu danego kraju, wywołanie zamieszek, proklamowanie konkurencyjnego rządu, posłusznego rozkazom z Moskwy (np. proklamowanie przez „Krajową Radę Narodową" 22 lipca 1944 „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego");

7. *Biała księga. Fakty i dokumenty z okresów dwóch wojen światowych.* Zebrał, częściowo przełożył i w przypisy zaopatrzył Wiktor Sukiennicki. — Instytut Literacki, Seria „Dokumenty", Paryż, 1964.

Tenże: *Przyczyny wojny polsko-sowieckiej 1919-1921*, w „Bellonie", zeszyty I i II oraz III i IV z roku 1963 (dalszy ciąg w druku).

8. R. Pipes: *The Formation of the Soviet Union.* — Cambridge, Mass. 1964. Albert N. Tarulis: *Soviet Policy Toward the Baltic States.* — University of Notre Dame Press, 1959.

„Na prośbę" konkurencyjnego rządu (lub bez), wkroczenie wojsk sowieckich i przekształcenie lub zamiana rządu legalnego (np. losy traktatu sowiecko-czechosłowackiego z 12. XII. 1943, oraz interwencja sowiecka na Węgrzech w październiku 1956);

Tzw. wybory do „ciała reprezentacyjnego" i inkorporacja lub satelizacja kraju na mocy uchwał tej pseudo-reprezentacji (np. „wybory" do Zgromadzeń Narodowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi we Lwowie i Białymstoku w październiku 1939, oraz wybory do Sejmu w Polsce w styczniu 1947).

W taktyce Stalina względem Polski można znaleźć wszystkie te zasadnicze składniki metody sowieckiej. Było i sporo innych, koniecznych z powodu znacznie trudniejszego *casus*'u polskiego. Trzeba było pokonać nie tylko rząd polski w Londynie, ale jednocześnie przekonać sojuszników anglosaskich o słuszności i szczerości intencji Moskwy.

Zwodząc ciężko chorych partnerów — prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego głównego doradcę Hopkinsa — perspektywą zgodnej współpracy powojennej i strasząc widmem odrębnego pokoju z Niemcami, Stalin wygrał grę na całej linii. Ale, obliczając szanse na zimno, nie przeciągnął struny, i nie zakończył procesu „zlewania się strumieni słowiańskich w rosyjskim morzu".

Eksperyment Mikołajczyka

Nawet źle znającym Rosję polskim politykom londyńskim zamiary Moskwy stawały się w miarę biegu wydarzeń coraz bardziej jasne. Pola do *istotnego* porozumienia czy kompromisu nie było żadnego — prócz kapitulacji. A kapitulacja — to było *dobrowolne* odegranie roli, którą w 1944 roku odegrali Bierut, Osóbka-Morawski, Radkiewicz i inni.

Odwrócić kierunek biegu rzeczy można było tylko jednym sposobem — wzięciem w ręce obiektu sporu, czyli *owładnięciem Polską przez Polaków* przed zajęciem jej przez Sowiety. Gdy ta możliwość wskutek oporu Ameryki odpadła, pozostała droga kapitulacji, droga Benesza, która wiadomo czym się skończyła. Możemy — my wolni Polacy — być rządowi, mimo jego wielkich błędów wdzięczni, że na tę drogę nie wkroczył.

P. Zabiełło kończy swoją książkę na porozumieniu trzech aliantów, osiągniętym po wizycie Hopkinsa w Moskwie, w czerwcu 1945 i powołaniu „Rządu Jedności Narodowej" z udziałem Mikołajczyka i Stańczyka z Londynu i kilku działaczy niekomunistów z Polski. Zamykając książkę, można odnieść wrażenie, że odtąd, a zwłaszcza po zatwierdzeniu tego co się stało i po nawiązaniu z nowym rządem stosunków dyplomatycznych przez państwa alianckie, rzeczy potoczyły się w Polsce gładziutko i ku ogólnemu zadowoleniu. P. Zabiełło sądzi zapewne, że okres następny — likwidacji opozycji — nie należy do historii „walki dyplomatycznej o sprawę polską w II-giej wojnie światowej". Niesłusznie, gdyż Mikołajczyk działał pod wpływem dyplomatycznych namów i nacisków rządów anglosaskich, wciąż łudzących

się, że tym sposobem zapobiegną całkowitej sowietyzacji Polski, czego rzeczywiście chcieli uniknąć. Dopiero ucieczka Mikołajczyka i likwidacja opozycji za pomocą terroru rozpoczyna wewnętrzne dzieje „Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej" bez żadnej interwencji aliantów zachodnich, jako wyłącznego satelity Związku Sowieckiego.

Jako szef rządu polskiego, Mikołajczyk bronił praw i interesów polskich energicznie i uporczywie. Pod wpływem nacisków, argumentów i komplementów Churchill'a i Edena, nie widząc znikąd żadnej alternatywy, pogodził się z utratą ziem wschodnich w zamian za nabytki na zachodzie. Był to warunek Stalina na wejście jego do „Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej" na stanowisko wicepremiera i ministra rolnictwa.

Mikołajczyk dał się przekonać, że udział jego w rządzie tworzonym przez trzech głównych aliantów, może zapobiec sowietyzacji Polski. Mógł liczyć na całkowite poparcie go nie tylko przez masy ludowe, ale przez całe społeczeństwo. Miał prawo oczekiwać, że ci co go namawiali nie wystawią go całkiem na sztych. Z ust Churchill'a padały w Izbie Gmin słowa haniebne świadomie użytym fałszem, lecz utrwalone w jego własnych pamiętnikach. 27 lutego, po powrocie z Jałty, Churchill mówił w Izbie Gmin:

> „Mam przekonanie, że ich (Stalina i przywódców sowieckich) słowo jest równoznaczne z zobowiązaniem *(their word is their bond)*. Nie znam rządu, któryby stał przy swoich zobowiązaniach bardziej mocno, nawet wbrew sobie samemu *(in its own despite)* niż rosyjski rząd sowiecki".

Gdy stało się wiadome, że Mikołajczyk jedzie do Moskwy i Warszawy, premier Arciszewski odwiedził go 12. VI. 1945. Nie kwestionował jego dobrej woli i, żegnając się, ucałował go w oba policzki ze słowami: „W waszych rękach leży teraz przyszłość Polski".

Mikołajczyk witany był w Polsce entuzjastycznie. Widząc w nim zwiastuna wolnej ojczyzny, stanęło za nim całe społeczeństwo. W ciągu dwóch lat walczył energicznie i odważnie o wolne wybory i „silną, wolną, niepodległą i demokratyczną Polskę" przyrzeczoną uchwałami w Jałcie. Spotkał się z bezwzględnie wrogim stosunkiem politycznych urzędów, obsadzonych już przez komunistów, i z bezceremonialnym sabotażem tych zasad. Oliwy do ognia kampanii przeciwko Mikołajczykowi doleli wówczas sekretarz stanu Byrnes i Churchill swymi proniemieckimi mowami, pierwszy 16. IX. 1946 w Stuttgarcie, drugi w Fulton w Stanach Zjednoczonych 3. III. Terror zastosowany względem Stronnictwa Ludowego i masy tych, którzy go popierali, jak również członków rozwiązanej Armii Krajowej nie ustępował w swej nikczemności terrorowi w okresie okupacji hitlerowskiej.

Po dwóch latach walki Mikołajczyk zmuszony był uchodzić

z Polski przy pomocy Amerykan. Była to jedyna pomoc, którą od swoich protektorów w ciągu tych dwóch lat uzyskał.

Eksperyment Mikołajczyka był aktem *formalnie* nielojalnym wobec naczelnych władz polskich w Londynie. Ale *politycznie* wydawać się mógł potrzebny. W polityce międzynarodowej trzeba czasami grać na cztery ręce. Nie angażując rządu, miał okazać naocznie światu, że nie można ufać zobowiązaniom i dobrej wierze Moskwy, że w działaniach z nią rozstrzyga tylko stosunek sił i ich dynamika. Ale dla narodu polskiego eksperyment był zbyt kosztowny. Strat i cierpień, które ściągnął na wszystkie warstwy narodu, przede wszystkim na chłopów, wyrównać nie mógł. W rezultacie był to błąd politycznej kalkulacji, zrobiony przez Mikołajczyka *w dobrej wierze.*

Książka zaciemniająca widzenie

Związek Sowiecki nie osiągnął jeszcze w Europie wszystkich swoich celów. Ani aspiracje Rosji carskiej ani dążenia sowieckich jej następców nie kończyły się i nie kończą na Niemnie, Bugu i Sanie. Niezależnie od ekspansji komunizmu na Niemcy i Europę, cel władców moskiewskich pozostaje niezmieniony — złączenie ze Związkiem Sowieckim narodów wschodniej Europy w jak najbardziej trwałej i ścisłej formie. W ostatnim etapie byłoby to wejście ich w federacyjny system w wydaniu sowieckim.

Koniunktura po temu dziś nie istnieje. Sytuację ogromnie komplikują ambicje chińskie i różniczkowanie się komunizmu na „nacjonał-komunizmy". Ale któż może przewidzieć jakie perspektywy otworzy przed Moskwą impas wietnamski, rewolucja techniczno-naukowa i chroniczny brak politycznej spójni u narodów zachodniej i środkowej Europy?

Czy lata najbliższe powiodą do rozluźnienia sowieckiego uchwytu i uwolnienia się z niego Polski i jej sąsiadów, czy też odwrotnie — do zacieśnienia pętli i dalszej ich sowietyzacji? Nikt nie może w tej chwili rozstrzygnąć tego dylematu w sposób przekonywujący. Ludzie trzymają się przeważnie tego poglądu, który bardziej odpowiada ich życzeniom.

Zwolennicy różnych teorii, usiłujących przewidzieć bieg rzeczy metodą matematyczną, jak komputery, powinniby mieć oczy otwarte również na procesy psychiczne po obu stronach linii podziału, rodzące nieraz zjawiska pozornie irracjonalne. Badanie historii i trafna ocena zjawisk bieżących mogą być razem lepszą latarką, rozświetlającą drogi prowadzące do wolności, niż mózgi „komputerskie".

Książki tego rodzaju co p. Zabiełły, chronione przez cenzurę od polemiki i konkurencji, są środkiem na uśpienie czujności Polaków przed niewiadomym jutrem. Zamiast rozświetlać, zaciemniają horyzont ich politycznego rozpoznania.

Luty 1966.

K. Z.

Trybuna W. A. Z.

Dwa okresy powojenne

Między 11 listopada 1918 r., datą zakończenia Pierwszej Wojny Światowej, a 1-ym września 1939 r., datą wybuchu Drugiej Wojny, upłynęło 20 lat, 9 miesięcy i 20 dni. Dodajmy 20 lat, 9 miesięcy i 20 dni do daty 8-go maja 1945 roku, kiedy to zakończyły się działania wojenne w Europie, a otrzymamy datę 1 marca 1966 roku. Oba okresy powojenne trwają więc już równie długo. Można je porównać. Oczywiście, nie wiemy, jak się ten drugi powojenny okres zakończy. Czy Trzecią Wojną? Póki obecny okres względnego pokoju trwa, póty porównania muszą być dość dowolne. Ale jednak mogą być pouczające.

Ograniczmy się do Europy.

Na terenie Europy, dokładniej Europy Zachodniej, drugi okres powojenny był nieporównanie lepszy, szczęśliwszy, owocniejszy od pierwszego. Gdybyśmy mieli te porównania rozszerzyć na cały glob ziemski, tę sumaryczną konkluzję trzeba by było poważnie ograniczyć. Podczas gdy Europa w czasie Międzywojnia cofała się w wyścigu światowym, reszta świata przeżywała okres stosunkowego rozkwitu. Rozkwit ten był geograficznie różnorodny: Stany, mimo kryzysu lat trzydziestych, wysunęły się na pierwsze miejsce na świecie, stworzyły kolosalne bogactwa, masową konsumpcję, podniosły niebywale stopę życiową mas, stanęły na czele postępu technicznego, stworzyły nowe formy cywilizacyjne. „Białe" dominiony angielskie zrobiły może jeszcze większy postępy: z kolonialnych Pipidówek, z mrocznych miejsc zesłań stały się krajami cywilizowanymi, o stopie życiowej wyższej niż w Europie. Skądinąd państwa europejskie nic albo prawie nic nie zrobiły dla swych włości afrykańskich i azjatyckich w tymże okresie, w ten sposób przygotowując koniec swych imperiów kolonialnych przy pierwszym wstrząsie.

Drugi okres powojenny przybiera poza Europą postać inną, niż pierwszy, ale różni się także od przebiegu wypadków w Europie. Dawny podział: Europa, kraje pozaeuropejskie — stracił na ostrości, na czoło wybija się inny podział, który w latach dwudziestych i trzydziestych zaledwie kiełkował: podział na kraje wysoko-uprzemysłowione i resztę. Stany, Kanada, Japonia, poniekąd także Australia i Południowa Afryka — to kraje nowoczesnej techniki, miejskie, przemysłowe, oparte na masowej konsumpcji. Reszta — uzyskała niepodległość polityczną, ale ta, bez podbudowy gospodarczej, jest iluzoryczna: ludność krajów afrykańskich, z wyjątkiem klasy oficersko-urzędniczej, żyje dzisiaj nie lepiej, a może gorzej, niż w czasach kolonialnych.

Szybkość zmian

W samej Europie tempo zmian zdumiewa każdego obserwatora: poza Europą jest ono tak zawrotne, że z góry trzeba podkreślić, iż wszelkie uogólnienia, dzisiaj trafne, mogą się okazać za kilka już lat zupełnie błędne. Zilustruję tę tezę przykładami. Różnica „krzywych" w Europie i „poza morzami", jak mówią Anglicy, wygląda może najbardziej jaskrawo i najbardziej uniwersalnie przy porównywaniu cyfr urodzeń i przyrostu naturalnego. Od 1945 roku Europa Zachodnia ma wyższą stopę urodzeń, niż w okresie międzywojennym, ale nigdzie nie przebrano miary: nawet w krajach rządzonych przez komunistów wrodzony Europejczykom umiar sprawił, że po pewnym okresie nadmiernej płodności liczba urodzeń wszędzie zaczęła się zbliżać do normy. W przeciwieństwie do umiarkowania Europejczyków w najważniejszej dla przyszłości ludzkości dziedzinie, Azjaci, Afrykanie, Arabowie, Południowi Amerykanie, nawet Amerykanie *tout court* zaczęli się oddawać prawdziwym orgiom, prawdziwemu rozpasaniu płodzenia: a w dodatku spadek śmiertelności niemowląt i spadek śmiertelności w ogóle, większa higiena, postępy medycyny doprowadziły do demograficznej eksplozji bez precedensu w dziejach. Nikt nie wie, o ile wzrasta rocznie ludność Chin, ale wszystko wskazuje, że wzrost ten musi być zawrotny. W Indiach już od kilkunastu lat wzrost ludności dochodził do siedmiu milionów dusz rocznie, teraz ma przekraczać 10 milionów! Czyli co pięć lat ludność przeludnionych, głodujących, beznadziejnie ubogich i nieprodukcyjnych Indyj zwiększa się o równowartość całej ludności bogatej, niedoludnionej Francji. W wielu krajach arabskich i południowo-amerykańskich przyrost ludności ma dochodzić do 3% rocznie, gdzieniegdzie nawet do niewiarygodnej proporcji 4% rocznie! A zbiory tych nieszczęsnych krajów wzrastają w najlepszym razie o 1% rocznie, czyli co roku przypada na każdego mieszkańca jeszcze mniej żyta, prosa czy ryżu niż w roku poprzednim. Jedynym jak dotąd wyjątkiem na tle tego ponurego obrazu była Japonia: metodami niezbyt moralnymi, bo spędzaniem płodu, Japończycy zmniejszyli swój przyrost roczny z dwóch

milionów do jednego miliona: jest zawsze za wysoki, bo w Japonii nie ma miejsca na jakikolwiek przyrost, ludność powinna przez dziesięciolecia spadać, nie wzrastać, ale jednak bez tych wysiłków w kierunku zmniejszenia płodności Japonia nigdy by nie osiągnęła wyników, którymi może się dzisiaj szczycić.

Wszelako ten obraz straszliwy może się gwałtownie zmienić. Cztery lata temu urodziło się w Stanach 4.200.000 noworodków, czyli stopa urodzeń wynosiła okoł 25 pro mille, grubo za wiele. Niemniej od czterech lat widzimy spadek, który wynosi około 100 tysięcy dusz rocznie. Za rok ubiegły cyfra urodzeń w Stanach wynosi już tylko 3.800.000. Ponieważ co roku, na skutek liczebności dawniejszych roczników, liczba osób zawierających związki małżeńskie jest coraz większa, spadek rozrodczości jest większy, niżby wynikało z samych suchych cyfr. Gdyby tego spadku nie było to by dzieci rodziło się dzisiaj w Stanach nie cztery miliony dwieście, ale cztery i pół miliona. A tymczasem rodzi się ich już tylko trzy miliony osiemset. *Lucrum cessans* wynosi więc już dzisiaj 700.000. Dlaczego? Bo dążenie do umiaru, tak typowe dla ludzi cywilizowanych, daje się we znaki. A jaką drogą? Wszyscy demografowie i ginekolodzy zgodnie stwierdzają, że skrobanek nie przybywa, natomiast „pigułka" kontracepcyjna zaczyna swoje robić. Rozpowszechnienie leków było i będzie zawsze dużo szybsze, niż bomb i atomówek, jest też dużo tańsze, i Zachód, zamiast tej „proliferacji" przeszkadzać, powinien ją jak najbardziej popierać. Być może już za parę lat będziemy świadkami zbawiennego działania „pigułki" w Indiach i na innych przeludnionych obszarach „Tiers Monde'u". Będzie to rewolucja milion razy bardziej doniosła od wszystkich bitew i walk w Wietnamie. I ta głupia pigułka może nagle zupełnie zmienić stosunki Świata A (wielka dynamika gospodarcza, słaba dynamika ludnościowa) ze Światem B (dynamiki odwrotne).

Drugi przykład możliwości nagłych i zupełnie niespodziewanych zmian. W świecie zachodnim, pomimo całej ekspansji, olbrzymiej i błogosławionej poprawy, jeden problem wyglądał stale *insoluble, intraitable* — problem nadwyżek rolniczych. Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, nawet Francja uginały się pod brzemieniem nadwyżek pszenicy, mleka, masła, a Kuba cukru, Brazylia kawy etc. Tymczasem wystarczyło, by Sowiety i Mao uznali, iż muszą jednak nieco lepiej odżywić swych poddanych, by te pozorne nadwyżki stopniały — nie do zera, ale do zbyt szczupłych rozmiarów. Wobec zakupów Rosji i Chin, wobec głodu w Indiach (zwiększony nieurodzaj na skutek kaprysów monsunu) Stany stoją wobec perspektywy, że ich zapasy pszenicy stopnieją poniżej 17 milionów ton, czyli poniżej żelaznej rezerwy, którą eksperci uważają za konieczną na wypadek nieurodzaju w samej Ameryce Północnej (Stany plus Kanada). Znowuż więc może stoimy wobec rewolucji, która ewentualnie gwałtownie zmieni relacje między krajami agrarnymi a przemysłowymi. A ileż takich rewolucyj już byliśmy świadkami, tylko wiecznie zaprzątnięci (dzięki bałamutnej prasie) głupawymi rozgrywkami tradycyjnej dyplomacji, błahymi sporami granicznymi i prestiżowymi, bajeczkami o tzw. wielkich ludziach i ich geniuszu, nie dostrzegamy głębokich nurtów historii. Któż np. z Polaków zdaje sobie sprawę, jak głębokie przesunięcia w światowej *balance of power* wywołał zmierzch węgla, czy pochód nafty, czy wyparcie Bóg wie ilu surowców przez rozwój chemii i jej ersatzów (np. zastąpienie bawełny przez sztuczne włókna, jutro może stali przez aluminium, skóry przez plastyki etc.?).

Tak samo polityczna ewolucja kontynentów poza-europejskich jest szybsza i gwałtowniejsza, niż na naszym cyplu Eurazji. Dyktatorzy i wojsko niemal wszędzie wyparli (jak w Europie między Rosją a Niemcami przed wojną) rządy parlamentarne, granice ustabilizowane w Europie Zachodniej, przesuwają się w Afryce o tysiące km. omal z dnia na dzień: to federacje się tworzą (Egipt i Syria), to się rozlatują (jak wyżej, plus Nigeria, plus Wielka Rodezja, plus Commonwealth, plus Communauté, etc. etc.). To wszystko jest bardzo płynne. Rozejrzyjmy się tylko po naszym starym podwórku europejskim.

Nadzieje i ponure horoskopy

Koniec Pierwszej Wojny zastał mnie w Kijowie, do którego, po wyjściu Niemców, wdarły się — po parotygodniowym intermezzo wojsk Petlury — hordy bolszewickie. Nie był to wymarzony punkt obserwacyjny dla badania ówczesnych nastrojów w Europie. Wszelako, na podstawie lektury, późniejszych wojaży, mogę twierdzić, że koniec Pierwszej Wojny został powitany w Zachodniej Europie wybuchem optymizmu i nadziei, jakiego chyba nie było od roku 1848, od Wiosny Ludów. Wierzono, że „Wielka Wojna" była ostatnią. Że teraz nastąpi era wiecznego pokoju. Że zwycięska Ententa zachowa na wieki swą spoistość, a Liga Narodów wprowadzi rządy braterstwa na świecie. Wierzono, że Demokracja na wieki utrwaliła swe panowanie. Wierzono, że nowowyzwolone ludy Europy Środkowej przeżyją okres wspaniałego rozkwitu, dadzą wzory wszelkich cnót republikańskich. Oczywiście wierzono w uniwersalny dobrobyt. Może najbardziej charakterystycznym przykładem tego uniwersalnego optymizmu, tak typowego dla roku 1919, była wysokość odszkodowań niemieckich: ustalono ją na 132 miliardy złotych marek! I wierzono, święcie wierzono, że Niemcy mogą tę sumę zapłacić, że się to odbędzie bez żadnych zaburzeń w systemie gospodarczym świata. I gdy Keynes napisał w swej sławnej książce „The economic consequences of the peace", że spłata tej olbrzymiej sumy przez Niemcy jest zupełną fantazją, uznano go za „agenta niemieckiego". Ten sam naiwny optymizm kazał Francuzom, ale i innym, wierzyć, że Rosja może spłacić 21 miliardów franków złotych, pożyczonych przez rządy carskie, i drugie tyle zainwestowane bezpośrednio w przemyśle rosyjskim przez wierzycieli francuskich. Ba, zachodni dusigrosze, zachodni rentierzy wierzyli nawet w

spłatę pożyczek przez zrujnowaną Turcję, i MSZety, te świątynie „mądrości" i „racji stanu", toczyły ze sobą zaciekłe walki o miejsca administratorów w zarządzie „de la Dette Ottomane". Ba, Amerykanie, z reguły o tyle bardziej realistyczni od Europejczyków, też ulegli ówczesnym optymistycznym mirażom, i wyobrazili sobie, że Europejczycy, czyli głównie Anglicy i Francuzi, mogą spłacić swe *War Debts*, i ściągali te długi, aż Wielki Kryzys unaocznił wszystkim, że powrotu do „dobrych starych czasów" sprzed 1914 roku już nigdy nie będzie.

Tak samo okazało się, że ani demokracji, ani parlamentaryzmu, ani tradycji odpowiedzialnej dyplomacji nie można stworzyć w ciągu 24 godzin, i zachowanie się odrodzonych państw „sukcesyjnych" rychło doprowadziło do takichże rozczarowań, co ewolucja krajów „Tiers Monde'u" po roku 1945. Rozlecenie się Monarchii Habsburskiej, powitane jako jutrzenka oświecenia i swobody przez masonerie całego świata, okazało się bezprzykładną katastrofą, stworzyło w Europie Środkowej vacuum, którego do r. 1938 nic nie zapełniło; potem zapełnił to vacuum na krótko hitleryzm, a na długo Sowiety. Francja i Anglia okazały się niezdolne w latach 1919-20 do obalenia bolszewizmu, czyli przywrócenia choćby pozornej jedności Europy, takiej, jaka istniała w 1914 roku; okazały się niezdolne do trwałego wyrównania swych drobnych różnic z Włochami, co przecie było dziecinną zabawką, a cóż dopiero do znalezienia trwałego *équilibre* z Niemcami, bez czego nie może być zdolnej do życia Zachodniej Europy.

Więc nadzieje polityczne zawiodły, bo demokracja i parlamentaryzm okazały się w końcu słabsze, niż przed 1914 r. Nadzieje dyplomatyczne zawiodły, bo Liga Narodów nie zastąpiła koncertu Mocarstw, Ententa się rozleciała, Trzej Wielcy Zachodniej Europy się nie dogadali, Środkowa Europa się zbałkanizowała. Czy się choć ziściły nadzieje ekonomiczne? Ale gdzie tam! W roku 1914 istniała pewna jedność gospodarcza Europy, węgiel był *Vogelfrei*, emigracja do Ameryki zabierała nadwyżki ludności, kapitał płynął aż zbyt łatwo z centrów zachodnich aż za Ural, i do Bagdadu, cła były niskie, kontyngentów przywozu nie znano, wzrost bogactwa był szybszy, niż po wojnie (co prawda PODZIAŁ dochodów był przed 1914 r. dużo bardziej skandaliczny!).

Słowem nigdy nadzieje nie były gorzej uplasowane, niż w 1918 roku, nigdy zawód nie był większy jak w ciągu dwudziestolecia między obu wojnami.

A w 1945 roku

V-Day w Europie zastał mnie na szczęście nie w Kijowie, ale w Londynie. 8-go maja 1945 przeszedłem się piechotą z Hyde Park Corner na Piccadilly Circus: w sercu Londynu zauważyłem tego dnia tylko JEDEN samochód cywilny — wszystkie pozostałe, to były jeepy wojskowe lub wozy oficjalne. Nawet w Londynie panował głód, setki tysięcy domów było rozwalonych, ludzie

byli ponurzy, wściekli, przygnębieni. Nikt niczego sobie nie obiecywał. Anglicy przegonili Churchilla, Francuzi de Gaulle'a, Włosi monarchię, pokazując w ten sposób co myśleli o wartości „zwycięstwa". Nikt sobie nie zadał trudu zwołania konferencji pokojowej — tak nie wierzono, by mogła dać jakiekolwiek rezultaty. Nikt nie operował pojęciem odszkodowań wojennych (z wyjątkiem oczywiście Stalina i Rosjan): wszyscy na Zachodzie byli pewni, że nikt ich spłacić nie może. Tak samo Amerykanie od razu zrezygnowali ze wszystkich swych wierzytelności wojennych: wiedzieli również, że od bankrutów nie można się spodziewać płacenia długów. Pozostawienie Europy Środkowej zaborczości Sowietów było też aktem niewiary w przyszłość, niewiary w Europę, w siły Zachodu. Cały Zachód był kapitulancki, bo w nic nie wierzył. Jeżeli ktoś coś uratował, to tylko Ameryka — Zachodnia Europa była gotowa się sama poddać: w każdym razie niewiele do tego brakowało. Fellowtravellerzy — to byli może nietyle zdrajcy, co ludzie którzy wpadli w najgłębszy pesymizm, którzy widzieli już tylko powrót do *Dark Ages*, tych „ciemnych wieków", którym to terminem Anglosasi określają wczesne średniowiecze, od V-go do IX-go wieku, po załamaniu się cesarstwa rzymskiego, a przed powstaniem Imperium Karola Wielkiego.

Przejawem tego generalnego zwątpienia w przyszłość był raport specjalnej komisji, powołanej zaraz po wojnie przez neutralną Szwajcarię dla ocenienia perspektyw przemysłu turystycznego w Konfederacji. Komisja ta składała się z ludzi apolitycznych, z najwybitniejszych specjalistów turystyki — hotelarzy, restauratorów, kierowników biur podróży, dyrektorów kolejek linowych i zębatych, wyciągów narciarskich, lekarzy, pedagogów, wysokich urzędników. Komisja ta złożyła w początkach 1946 roku raport, aprobowany JEDNOMYŚLNIE:

„Wobec zupełnej ruiny całej naszej klienteli zagranicznej, bez której przemysł hotelarski i turystyczny Szwajcarii nie może istnieć, stało w tym raporcie, należy przyjąć, że przynajmniej przez trzy dziesięciolecia przemysł turystyczny stracił u nas rację bytu. Trzeba go więc ZLIKWIDOWAĆ. Trzeba znaleźć nowe zastosowania dla hoteli, które pozostaną puste, dla urządzeń sportowych, które nie znajdą nigdy klientów. Personel hotelowy, restauracyjny, a także instruktorów narciarskich, przewodników górskich etc. trzeba natychmiast przeszkolić dla nowych zawodów, które by im dały jakieś szanse zarobku. Emigracja za morza będzie dla wielu jedynym ratunkiem. Każda immigracja musi być w tych warunkach drakońsko zakazana. Nasza stopa życiowa musi spaść poważnie. Wobec braku dobrych dłużników trzeba zakazać eksportu kapitałów. Ponieważ światu będzie przez stulecia groził głód, należy forsować wszelkimi siłami rolnictwo, uprawiać każdy płachetek gruntu..."

Takie to perspektywy snuli ludzie poważni, fachowi, obiektywni, dobrej woli. Tymczasem już w 1950 roku Szwajcaria miała więcej turystów, niż w najlepszym roku między wojnami (1929). Zamiast emigrować Szwajcarzy musieli sprowadzić 750 tysięcy

pracowników obcych, a brak rąk do pracy jest wciąż katastrofalny. Zamiast się obniżyć, stopa życiowa jest dzisiaj blisko trzy razy wyższa niż przed wojną. *Nolens*, nie *volens*, Szwajcaria musi rok rocznie pożyczać przeszło miliard fr. szw. zagranicy, bo dusi się od nadmiaru kapitałów: banki szwajcarskie każą sobie płacić za wkłady, bo nie wiedzą co z nimi robić. Plus minus w całej Zachodniej Europie sytuacja wygląda podobnie. Nigdy horoskopy nie były czarniejsze, niż w roku 1945. Nigdy rzeczywistość nie zadała czarnowidzom tak zdumiewającej repliki.

Gdzie tkwi sekret?

Gdzie tkwi sekret tego kontrastu między pierwszym a drugim okresem powojennym? W polityce, czy w ekonomii? W dyplomacji czy w psychologii ludów? W doktrynach i systemach ekonomicznych, czy po prostu w postępie technicznym?

W każdym razie wyeliminujmy z góry i raz na zawsze dwa idiotyzmy, dwa nonsensy, dwa kretyństwa, które raz po raz powracają pod pióra nie tylko publicystów, ale nawet historyków. Ten kontrast nie wynika w żadnym, ale to w najmniejszym stopniu od pojawiania się tak zwanych wielkich ludzi. Pal diabli jakich, w jakich krajach, czy między wojnami, czy po ostatniej wojnie, czy na krótko, czy na długo, jak się zakończyły ich rządy. Kult wielkich ludzi jest na poziomie kultu czarowników: jest tylko dowodem infantylizmu, dymisji intelektu i wykształcenia. Kult wielkiego człowieka jest po prostu votum nieufności dla jego kraju, jego narodu. Wielki człowiek, genialny statysta, to miraż. To optyczne złudzenie. Ledwo go nie ma, a okazuje się, że był beznadziejnie przereklamowany. Trudno o lepszego, bardziej serio, poważniejszego „wielkiego człowieka", niż Adenauer. I gdy odszedł, świat się nie zawalił, Niemcy się nie zawaliły. Kennedy był wyjątkowo obiecujący, dynamiczny. Okazało się, że bez niego Stany miewają się równie dobrze. Churchill, jako powojenny premier, był tuzinkowy, Eden zawiódł kompletnie, a Macmillan okazał się po prostu katastrofą. Chruszczow był dla Rosji lepszy od Stalina. Bez Erharda Niemcy pozostaną największym dynamo przemysłowym Europy, bez de Gaulle'a Francja będzie miała nadal niezrównane atuty talentów, klimatu, gleby, sytuacji geograficznej etc., a z Papieżem, grubo mniej wybitnym od trzech ostatnich, Kościół też da sobie rady.

Druga szkodliwa iluzja: konieczność tak zwanych silnych rządów, i tak zwanej jedności. Jeżeli nie ma rywalizacyj partyjnych, to następują rywalizacje osobiste. Różnice zdań, spory, kłótnie — to wszystko leży w naturze ludzkiej, a więc w naturze rzeczy. Prawda i Postęp nigdy nie są jednokierunkowe, są zawsze pewną przekątną, pewną syntezą: nawet Kościół staje dzisiaj na stanowisku pewnego relatywizmu, gdy chodzi o zbawienie, dogmaty, moralność — jakżeż można poglądy świeckie erygować w dogmaty, proklamować np. „doktryny" w dziedzinie tak płynnej, jak polityka zagraniczna, uważać jeden naród za *ex definitione* gorszy, bardziej grzeszny od innych (zaczynając od własnego!), albo, wbrew całej historii, twierdzić, że jakaś granica pozostanie odtąd po wsze czasy niezmienna. I dlaczego ta a nie inna? Brytania była przez tysiąc lat podzielona na Anglię, Szkocję i Walię, a teraz jest zjednoczona. Irlandia przez tysiąc pięćset lat była zjednoczona, a teraz jest podzielona, choć jest wyspą, a więc idealną całością geograficzną. Wyspy normandzkie stanowią geograficznie część Francji, a należą do Anglii. Ren jest naturalną granicą, a Palatynat i Nadrenia należą do Niemiec, nie do Francji. Kraje alpejskie stanowią oczywistą jedność: góral z Dauphiné ma dokładnie ten sam styl życia i interesy, co góral z Oberbayern czy z Berner Oberland, a nic wspólnego z rybakiem bretońskim, a jednak Alpy nigdy się w jedno państwo nie połączyły.

Odłożywszy nonsensy i legendy na bok, pozostaje pytanie: co sprawiło, że po pierwszej wojnie wszystko szło źle i coraz gorzej, a po wojnie wszystko, w Europie Zachodniej idzie dobrze i coraz lepiej. Czy jest JEDEN powód, JEDNO wytłumaczenie, czy też jest ich kilka. I jakie?

Spadek po Austro-Węgrzech

Pierwszy okres powojenny zakończył się jeszcze gorszą od pierwszej wojną: drugi się dotąd nie skończył, więc porównywać nie można. Pierwsza Europa Powojenna była dużo większa od drugiej, druga jest dużo silniej okrojona na Wschodzie, straciła jedną czwartą swego terytorium sprzed 1939 r., straciła blisko sto milionów obywateli. Czy to okrojenie stanowi rdzeń różnicy między obu okresami? Niestety, a jest to dla nas okoliczność nad wyraz tragiczna, Europa A może żyć, i nawet rozwijać się, bez Europy B. Już po 1918 roku okazało się, ku zdziwieniu wielu, jak łatwo, jak lekko Europa zniosła odpadnięcie Rosji. Teraz okazało się, że Europa może żyć i rozwijać się także bez omal całej monarchii austro-węgierskiej, choć ta stanowiła przez osiem wieków jeden z filarów gmachu europejskiego. Ale już rozczłonkowanie tego imperium, tak lekkomyślnie popełnione w St. Germain i w Trianon, ogromnie zdeprecjonowało te terytoria: mozaika państw nie mogła zastąpić wielkiej jednostki. Przykre to dla naszej miłości własnej, ale upadek monarchii habsburskiej był dla Europy Środkowej, dla Europy w ogóle większą jeszcze katastrofą, niż rozbiory Polski. A jednak dzisiaj, gdy z tego państwa, które było co do obszaru drugim po Rosji w Europie, większym od Francji, większym od Niemiec Wilhelmińskich, została tylko mała Austria i skrawek ex-austriackich Włoch, Europa jednak żyje i nadal się rozwija. Ani w 1914, ani w 1939 r. nikt by tego nie przypuszczał.

Inna sprawa, że ta sytuacja trwać nie może. Rosja do Europy nie należy cywilizacyjnie, a cywilizacja jest ważniejsza i trwal-

sza od etnografii, i ona powinna dyktować granice, a nie odwrotnie. Europa będzie się zawsze kończyć na wschodnich granicach Polski, czy te będą nad Dnieprem, na linii ryskiej czy nad Bugiem. W okresach słabości Europa zawsze kupowała czas i wytchnienie, cofając się poza granice naturalne. Ileż lat Arabowie siedzieli w Hiszpanii? Ile lat szlachetne Węgry cierpiały pod jarzmem tureckim? Lecz każde osłabienie poza-europejskich zaborców zostało wyzyskane przez Europę, by ich wyrzucić, i to zwykle z nawiązką. Jestem przekonany, że wyrzucenie Rosji z Niemiec Wschodnich, z Czech, ze Słowacji i Węgier, zapewne także z Rumunii i Bałkanów nastąpi przed końcem bieżącego stulecia, i to bez wojny. Co do Polski, to oczywiście sprawa jest dużo trudniejsza, bo, po Ukrainie, Polska jest tym terytorium, które Rosja najbardziej pragnie opanować i, na dalszą metę, zrusyfikować. A Europa jest bardzo do dzisiejszych „satelitów" zniechęcona. Zarzuca im nierealną politykę zagraniczną, nie liczącą się z realnym układem sił i z nakazem kompromisu, czyli z dwoma kanonami europejskiej racji stanu. Trzeba sobie wybić z głowy, byśmy mogli dyplomacją, propagandą czy nawet zwycięską wojną przekonać Zachód, iż jego bezpieczeństwo zależy od układu granic w naszym regionie. Nikt w to nie uwierzy. I Zachód nie ma żadnego zamiaru, cokolwiek by mówił, niczego gwarantować, ani bronić w tym naszym regionie, cóż dopiero swe mozolne, koronkowe poszukiwania równowagi między koncertem zachodnio-europejskich mocarstw czy raczej pół-mocarstw podporządkować ewolucjom Warszawy czy Pragi, kontredansom przyszłych Becków, Beneszów. Titulesco. Już dzisiaj widzimy aż zbyt jaskrawo, że się z nadętą purchawką Tito, z jego ambicjami, z jego pretensjami, nikt na Zachodzie Europy nie liczy. Zabawne, ale Stany liczą się z nim nieco więcej, bo nie mając we krwi subtelnej europejskiej *balance of power* Amerykanie łatwiej się nadają nabierać na momenty ideologiczne. Ale Paryż i Londyn dużo bardziej się liczą ze skromną Austrią, niż z dętą Jugosławią. A czy głos Polski, choćby ze Szczecinem, będzie kiedyś w Europie znaczył więcej, niż głos Spaaków i Lunsów? Bardzo w to wątpię.

Zagrożenie

Dzisiejsza Europa jest wielokrotnie bardziej zagrożona przez Rosję, niż była przed ostatnią wojną. Gdy się czyta świetne powieści i dużo gorsze artykuły Józefa Mackiewicza można by myśleć, że od 1917 roku istnieje dla świata, cóż dopiero dla Europy jedno tylko niebezpieczeństwo: bolszewizm. Oczywiście jako Wilnianin, z punktu widzenia wileńskiego, litewskiego, ma J. Mackiewicz rację: dla Litwy, dla Wilna był zawsze tylko jeden wróg, jedna zagłada, i tym wrogiem była tylko Moskwa, nie żaden Zakon Krzyżacki ani jego bękarty. Ale wobec Europy jakże słaba była ta Rosja lat 1918-39! Wszak słabiutka Polska potrafiła ją samopas pobić. Wszak Rosja pogodziła się z istnieniem nawet

państw bałtyckich, tych pigmejów, a więc już przez to samo Rosji, wpatrzonej w *prastor* i w *Wille zur Macht*, antypatycznych. Wszak ilekroć jakieś państwo rozwalało partie komunistyczne, Rosja brała ogon pod siebie: nie tylko przed Hitlerem, którego się bała, ale i przed Polską, przed Rumunią, przed Turcją, przed Grecją, przed Węgrami. Przez cały ten okres Rosja nie robi nic, by podważyć hegemonie kolonialne. Rosja inkasuje Monachium. Rosja ani razu nie śmie przed wojną używać wobec krajów europejskich tych bezczelnych tonów, którymi teraz nas stale częstuje: Niemcy, zamienimy wasz kraj w perzynę! Włosi, kamień na kamieniu u was nie zostanie! Grecy, nie zawahamy się wam zburzyć Akropolu. Norwedzy... i td.

Dlaczego jednak Europa dzisiaj nie dygocze przed Rosją, dlaczego bardziej się bano bolszewizmu przed wojną niż dzisiaj, dlaczego lekceważenie zagrożenia sowieckiego przybiera, we Francji np., aż tak lekkomyślne, groteskowe formy? Widzę jedno tylko wytłumaczenie: NATO, to znaczy obecność amerykańskich sił zbrojnych w sercu Europy. To jest jedyna ale olbrzymia różnica w sytuacji wojskowej i strategicznej Europy w czasie pierwszego i drugiego okresu powojennego. Bez amerykańskich dywizyj w Niemczech, bez szóstej floty amerykańskiej koło Neapolu, bez samolotów i rakiet *Strategic Air Command*, w Europie panowałaby panika. Panika przed Rosją, połączona z najbardziej kapitulacyjnymi nastrojami. Gdyby nie było Amerykanów trzeba by wszędzie faszyzmów i dyktatur wojskowych, by powstrzymać zachodnie narody przed rzucaniem się do stóp Moskali z błaganiem o litość. Ale byłaby i półpanika przed Niemcami. Zachodnia Europa wie doskonale, że dzisiaj najsilniejszym mocarstwem europejskim są Niemcy. Że ich siły są większe, niż Francji i Anglii razem wziętych. I stary anty-hegemoniczny instynkt europejski, stara, wrodzona tęsknota do *balance of power*, już grałaby we wszystkich stolicach, gdyby znowuż nie wyrównujący wpływ obecności Stanów Zjednoczonych. Póki Stany siedzą ze swymi kolosalnymi kapitałami w Europie, póty o żadnej ekonomicznej dominacji Europy przez NRF nie może być mowy. Póki głowice atomowe USA znajdują się na terenie NRF, póki istnieje integrowane, to znaczy amerykańskie dowództwo NATO, póty Niemcy nie mogą zagrażać militarnie absolutnie nikomu, ani Rosji, ani Polsce, ani tym bardziej Francji czy Anglii. Wszystko to by mogło się zmienić, gdyby Amerykanie zabrali się z Europy. Bo nadzieje, czy wiara, że po „hegemonii" amerykańskiej powstałoby vacuum dla już nie to hegemonii ale choćby *leadership*'u francuskiego czy angielskiego, należy zaliczyć do najbardziej osłupiających przykładów auto-sugestii i auto-iluzji w dziejach globu.

Siła „demokracji"

Dlaczego w okresie międzywojennym reżymy parlamentarne padały jak domki z kart, pochód faszyzmów wydawał się nie-

powstrzymany, a teraz, w okresie po II-giej Wojnie, reżymy parlamentarne trzymają się na ogół lepiej? Prawda, są Franco, Salazar, królik grecki, jest Turcja na peryferiach, ale to są wszystko państwa marginesowe: istotą mocarstwa jest to, że ono promienieje, że jego polityka wewnętrzna staje się *eo ipso* polityką międzynarodową. Jeżeli reżym gaullistowski jest namiętnie zwalczany, a Salazarem nikt się właściwie nie przejmuje, co dopiero reżym Nassera, to w pierwszym rzędzie dlatego, że Francja ma zgoła inną pozycję międzynarodową, niż Portugalia i Egipt. Gdyby gaullizm był powszechnie akceptowany, byłoby to dowodem, że z Francją nikt się nie liczy, nikt nie przypisuje jej znaczenia na szachownicy światowej.

Współpracownicy „Kultury" lubią wielkie syntezy czy kontrasty „socjalizmu" i „kapitalizmu". Osobiście uważam dzisiaj „socjalizm" za szyld bez treści, za nowe wydanie szyldu partii *des radicaux-socialistes*, o których historyk partii komunistycznej, Jacques Fauvet, słusznie pisze, że nie byli ani radykałami, ani socjalistami. Guy Mollet, Wilson, Nenni, Brandt, socjaliści skandynawscy są politykami burżuazyjnymi, którzy z socjalizmem nie mają nic wspólnego. Nie zdziwiłbym się, gdyby ewolucja partii komunistycznych na Zachodzie poszła w tym samym kierunku. Ekonomicznej doktryny „socjalizm" dzisiaj żadnej nie ma: któż wierzy dzisiaj w zbawczość „planowania" czy tym bardziej „nacjonalizacji". Co najwyżej można twierdzić, że z reguły „socjaliści" — to partia inflacji w przeciwieństwie do bardziej deflacyjnych partyj prawicowych: a i to w Anglii byłoby to nieprawdą. Co najwyżej można twierdzić, że klasyczni konserwatyści, jak Johnson i Erhard, obniżają podatek dochodowy, a „socjaliści" mają raczej skłonność do zwiększania wydatków i subwencyj, specjalnie na deficytowe przedsiębiorstwa państwowe. „Socjaliści" mogą spełnić pożyteczną rolę w gospodarce w dwóch sektorach: redukując brutalnie wydatki wojskowe (tu stale kapitulują przed sztabami, Wilson w Anglii, Tage Erlanger w Szwecji), i tak samo bez litości ścinając subwencje agrarne, które są w całej Europie bezsensownie wyśrubowane. Ale partie „socjalistyczne", które są partiami czystej demagogii, nawet na to nie mają odwagi, kapitulują przed chłopami tak samo jak przed sztabami. Co dziwnego, że prestiż socjalistów stoi w całej Zachodniej Europie szalenie nisko.

Natomiast niebezpieczeństwo faszyzmu i nacjonalizmu jest w Europie nadal niedoceniane. Najmniej widzę danych na odrodzenie faszyzmu w Niemczech, bo ostatecznie doświadczenia ery hitlerowskiej są zbyt *récents* i rachunek był za słony. Ale w Anglii i we Francji ruchy neo-faszystowskie mogą przybrać na sile. W Anglii rasizm był zawsze, moim zdaniem, dużo silniejszy, niż na kontynencie; dzisiaj doprowadza on do prawdziwej segregacji „kolorowych" w nowych gettach, a jak daleko zajdzie — to może być jeszcze grubą niespodzianką. Póki istnieją resztki *Empire*, Anglicy będą się jeszcze trochę żenować, ale gdy tych resztek nie stanie, mogą pokazać zęby, że aż ho! We Francji gaullizm

jest może genialny, ale nie daje żadnej pożywki młodzieży, zupełnie tak samo, jak sanacja u nas okazała się niezdolną do prokreacji, i ta bezpańska młodzież staje się skłonna do wszelkich ekscesów. Odkąd Le Penn rozszedł się z Tixier'em, który, jak wszyscy ludzie jego generacji, odkrył uroki kompromisu i *combinazzione*, uderza mnie wzrost aktywności, ba odrodzenie „Action Française" i innych grup ekstremistycznych; uderzają mnie ich ulotki z gwałtownymi atakami na wielki kapitał z jaskrawymi akcentami antysemityckimi, uderza mnie przede wszystkim *chahu-bohu*, którą właśnie ta młodzież urządziła na wiecu Lecanuet'a 7-go lutego w Mutualité.

Ale na razie parlamentaryzm się jeszcze w Europie trzyma. Nadal okazuje się — obok wolności prasy — główną więzią naszego kontynentu, motorem całkowania się kontynentu. Jeżeli do tradycyjnych rywalizacji prestiżowych, do archaicznych rywalizacyj handlowych dodać jeszcze eksplozywność namiętności faszystowsko-nacjonalistycznych, to Europa tego nie przeżyje.

A teraz o ekonomii.

W Międzywojniu mieliśmy odwrót od form parlamentarnych: teraz ten odwrót jest nierównie słabszy — to pierwsza różnica. W czasie Międzywojnia wzrost produkcji i dochodu społecznego był niższy, niż kiedykolwiek w całym XIX-tym wieku: wynosił przeciętnie półtora procent rocznie, podczas gdy po wojnie ta przeciętna przekracza w wielu krajach, specjalnie Szóstki, 5 czy nawet 6% rocznie. Ludność bogaci się co najmniej dwukrotnie, często czterokrotnie szybciej, niż przed wojną. Żaden „Wielki Kryzys" nie zachwiał na lata tego procesu, jak się to stało w roku 1929. Skąd ta różnica? Dlaczego?

Życie gospodarcze jest labiryntem. Miliony mrówek składają się na „zjawiska gospodarcze". Ale właśnie zadaniem ekonomisty jest się w tym labiryncie rozeznać, mówić: „to były powody istotne, a te są błahe, pozorne!"

Więc postęp techniczny. Zapewne jest dzisiaj decydujący, bez niego nigdy nie doszlibyśmy do obecnej *prosperity*. Bez niego produkcyjność, ten motor dzisiejszej gospodarki, dzisiejszego postępu, nigdy by nie wzrosła tak jak to miało miejsce od 1945 r. Trzeba sobie powiedzieć, że póki trzeba było wioślarzy dla poruszania galer hiszpańskich, włoskich czy francuskich na Morzu Śródziemnym w okresach akalmii, gdy nie było wiatrów, póty dola galerników była potworna, i żaden reformator nic na to nie mógł poradzić. Siła mięśni jest najdroższym motorem, a siła konia, po rikszy, jest najdroższym środkiem komunikacji na świecie. Polska furmanki musi być Polską biedy, nędzy i słabości, choćby rządził nią sam Bolesław Chrobry, i choćby sam Lubecki ponownie zasiadł w gabinecie na placu Bankowym.

Ale postęp techniczny był bardzo duży także w okresie międzywojennym. Był na pewno większy, niż w latach 1900-1914, kie-

dy to jednak stopa życiowa i ilość kapitałów wzrastała grubo szybciej. W ciągu tych 20 lat Ameryka zmotoryzowała się całkowicie, w Europie tylko Anglia i Francja, a i to słabo. W tymże okresie już Hitler zbudował pierwszą w Europie sieć autostrad: Anglia i Francja, choć bardziej jej potrzebowały, nie zbudowały ani jednego kilometra. W Międzywojniu Szwajcaria zelektryfikowała na 100% swą sieć kolejową, a Anglia zelektryfikowała tylko kilka linii podmiejskich na południe od Londynu, a i to najgorszym systemem, tak zwanej trzeciej szyny. Diesel już istniał, a przecież to Diesel zrewolucjonizował motory, dużo bardziej niż swego czasu lokomobila parowa. Międzywojnie poznało już żelbeton, który zrewolucjonizował budownictwo. Więc dlaczego ten zastój, dlaczego Międzywojnie nie wyzyskało nowych wynalazków i udoskonaleń dla zwiększenia produkcji, usprawnienia przemysłu? Tak samo, traktor już wówczas istniał. Tak samo prawie wszystkie maszyny rolne. Znowuż dlaczego ówczesne postępy w produkcji z hektara pozostawały tak szalenie w tyle za rekordami naszej powojennej epoki?

Więc dystrybucja czyli masowa konsumpcja. Znowuż wszystkie elementy postępu w tej dziedzinie już istniały między wojnami. W Ameryce już królował Woolworth, w Anglii Selfridge. Mimo tego, Europa, jako całość, nie zdołała wykorzystać tych nowych możliwości, handel się całkowicie załamał pod wpływem kryzysu, spożycie, stopa życiowa spadły bardzo poważnie.

Więc nadmierna rozrodczość, zahamowanie postępów higieny? Też nie. Między 1919 a 1939 rokiem rozrodczość spadła do cyfr znacznie niższych od obecnych, a jednak było bezrobocie. Zdrowotność zrobiła ogromne postępy w 20-leciu między wojnami. Śmiertelność noworodków spadła o połowę i więcej, i to nawet w Polsce. Życie ludzkie się przedłużyło. Kobiety zaczęły pracować, także w biurach, także w klasie średniej. A jednak te wszystkie atuty nie przerodziły się przed wojną w stałą, zwyżkową koniunkturę.

Więc może zamarcie ruchu kapitałów, rozklekotanie systemu monetarnego? A, tu już jesteśmy bliżsi prawdy: można by zawołać „gorąco, gorąco", gdybyśmy się bawili w cenzurowanego. Istotnie, przez pierwszych pięć lat po pierwszej wojnie Europa zupełnie nie rozumiała mechanizmu inflacji, jak potem deflacji. Istotnie, formacja kapitałów pieniężnych poważnie zmalała w okresie międzywojennym, zwłaszcza we Francji, a kapitały angielskie skierowały się niemal wyłącznie do Dominionów i kolonij, z całkowitym pominięciem Kontynentu. Anglia, tak jak dzisiaj Stany i Szwajcaria, była w latach 1918-39 wielką skarbonką dla płochliwych kapitałów Kontynentu, więc via Angia — kapitały francuskie (te przede wszystkim), belgijskie, niemieckie, holenderskie, szwajcarskie, włoskie, nawet austriackie szły nawadniać Kanadę, Australię, Malaje, Rodezję, Płd. Afrykę, Szanghaj, Hong Kong, a na modernizację przemysłu i rolnictwa w Europie Środkowej nie zostawało nic. Pisałem o tym już wiele razy, ale nie można tego dość często powtarzać: nie zdajemy sobie zupełnie

sprawy, jak bardzo interesy Europy, specjalnie Środkowej, i *Commonwealth*'u są przeciwstawne, są sprzeczne. Jak drogo zapłaciliśmy za faworyzowanie tego *Commonwealth*'u w latach międzywojennych!

Ale jednak i w tej dziedzinie punktem ciężkości jest stosunek do Ameryki. Po pierwszej wojnie Ameryka nie zrezygnowała ze swych wierzytelności z tytułu pożyczek wojennych, i to stanowiło największy kamień u szyi Europy. Ameryka nie zrobiła wówczas planu Marshalla, stąd odbudowa gospodarki europejskiej trwała dłużej, kosztowała więcej w formie podatku inflacyjnego, i start tej Europy po tej pierwszej wojnie był gorszy. Potem w latach 1924-29 napływ kapitału amerykańskiego był ogromny, i to on spowodował *prosperity* tych lat. Niestety, formy w których przypływał — wysoko-oprocentowane, krótkoterminowe kredyty — były niebezpieczne: okazało się to w pełni, gdy Amerykanie zaczęli je wycofywać na początku wielkiego kryzysu: to właśnie ucieczka kapitałów amerykańskich z Europy pogłębiła kryzys, wywołała bankructwa i bezrobocie.

Ale jednak największym dramatem Europy międzywojennej był rozkład handlu międzynarodowego. Konserwatywni politycy i bankierzy tego okresu, z Poincaré i Montagu Normanem na czele, jako tako ustabilizowali waluty, i zrównoważyli budżety. Niestety, zapomnieli o trzecim filarze: o wolnym handlu. Mury celne i co gorsza mury kontyngentów pozostały nietknięte, a gdy wybuchły kryzysy dewizowe i finansowe lat trzydziestych, te mury wszędzie zaczęto podwyższać, aż handel między-europejski spadł o połowę. I tego Europa nie wytrzymała. Mury celne są mniej widoczne od muru berlińskiego, ale są tak samo strzałem w samo serce Europy, zamachem na jej życie. Europa — to handel. Rosja, Chiny, Ameryka mogą sobie pozwolić na autarkię: są tak wielkie... Ale państwa europejskie potrzebują handlu zagranicznego, tak jak ludzie potrzebują powietrza. Definicja państwa europejskiego powinna brzmieć: to jest państwo, które bez handlu zagranicznego nie może żyć, musi się udusić.

Konkluzje

Dlaczego Europa zniszczyła handel zagraniczny, *la poule aux œufs d'or?* W dziedzinie monetarnej, kredytu zrobiono szereg błędów doktrynalnych, z powodu błędnych teoryj deflacjonistycznych. Ale w dziedzinie handlu zagranicznego nigdy żadna „teoria" autarkii nie powstała, bo powstać nie mogła: nic nie może autarkii uzasadnić. Autarkia powstała jako nieświadomy refleks nacjonalizmu, zresztą najgłupszego, bo autarkia jest tak szkodliwa, że w końcu to ona raczej zabije nacjonalizm, niż odwrotnie.

Okres międzywojenny różni się ekonomicznie od obecnego, po Drugiej Wojnie, dopływem kapitału amerykańskiego i ogromnym wzrostem handlu międzyeuropejskiego. Ekwiwalentem (lepszym wyrażeniem będzie francuskie *contrepart)* dopływu kapita-

łu amerykańskiego jest obecność wojsk amerykańskich w Europie, jako gwaranta niepodległości Europy wobec Rosji, czyli NATO i Wspólnota Atlantycka; *contrepart* wzmożonego handlu międzyeuropejskiego jest Szóstka, jest Bruksela, jest ruch europejski, są próby stworzenia Zjednoczonej Europy.

Z wykształcenia, z sposobienia, z formacji należę do tych, co są skłonni przyznawać wszędzie i zawsze prym czynnikom ekonomicznym, politykę neglegować. Po latach namysłu dochodzę do wniosku, że w ocenie ostatniego okresu powojennego powiedzenie: Europa jest dzisiaj bogatsza niż w latach 1918-39, bo dopływ kapitału amerykańskiego jest większy, bo handel zagraniczny stale wzrasta — byłoby braniem SYMPTOMU za przyczynę. Bo przyczyną jest budowanie Europy i zbliżenie ze Stanami. Bez zespolenia polityki i celów Ameryki i Europy, bez budowy Zjednoczonej Europy żaden dopływ kapitałów amerykańskich by trwać nie mógł, żaden handel europejski by się nie rozwijał: nacjonalizm przerodziłby się lada dzień w faszyzm, a faszyzm by zadusił i dopływ kapitału, i wzrost handlu, tak jak to zrobił w latach trzydziestych.

Lekceważę głęboko cały marksizm, cały socjalizm. Póki istnieją przedsiębiorstwa prywatne, póty przedsiębiorcy muszą być dysponentami politycznymi. Alternatywą nie jest socjalizm, lecz etatyzm, a ten etatyzm rządów urzędniczych automatycznie się wiąże z nacjonalizmem. Rosja jest dzisiaj państwem super-nacjonalistycznym, tak samo Chiny, tak samo każdy inny autonomiczny ośrodek „bloku socjalistycznego" (a więc titoizm). We Francji wspólna nienawiść ex-fellow-travellerów i ex-Action Française" (pomimo chwilowej draki o „Algérie Française") do Lecanueta i idei Europy jest dostatecznie wymowna. A za nienawiścią do Europy kryje się też wspólna nienawiść do Ameryki. Co można idei Europejskiej, aliansowi ze Stanami przeciwstawić? 123 absolutne „suwerenności narodowe"? Które będą współżyć na naszej małej planecie, bez wojen, zachowując pełną swobodę, *les mains libres?* Kto może wierzyć w te fantazje?

Na szczęście, dzisiaj w Europie każdy zamach na dobrobyt, czy to w imię nacjonalizmu, czy tzw. „socjalizmu", wywołuje silne reakcje. W krajach „socjalistycznych" poddani żądają choćby chleba, i „silne" rządy Kossygina i Mao muszą kupować zboże amerykańskie, zamiast, jak za Stalina, spokojnie kazać swym niewolnikom umierać z głodu. We Francji próba rozsadzenia Szóstki skończyła się reiteradą, zgrabnie zamaskowaną, ale wyraźną. Nagonka na kapitał amerykański, największy dzisiaj na świecie motor ekonomicznego postępu i dobrobytu mas, wszędzie przeraża samych menerów tej prestiżowej zabawy. Słowem nie wierzę, by się neo-nacjonalistom europejskim, czerwonym czy czarnym, angielskim, francuskim czy komunistycznym, udało urwać dopływ kapitału amerykańskiego, udało zatrzymać wzrost obrotów handlu międzyeuropejskiego, czyli, używając terminologii politycznej, podważyć stosunki i związki z USA, oraz storpedować kiełkującą, Zjednoczoną Europę.

Trzeba Europę na Zachód od Żelaznej Kurtyny możliwie najprędzej zjednoczyć, a jednocześnie cementować jej związki ze Stanami. Gdy te dwa warunki będą na prawdę spełnione, Żelazna Kurtyna pęknie, satelici powrócą do Europy, na razie jako jej „sfera wpływów", dopiero później, jako pełnoprawni członkowie. Być może, Zjednoczona Europa stworzy sobie równocześnie drugą, tak samo naturalną i nieodzowną sferę wpływów, mianowicie w Afryce Północnej. Wszystko co do tych celów zmierza jest celowe i mądre. Wszystko co jest z tym sprzeczne jest szkodliwe i niemądre.

My, Polacy, musimy sobie jasno zdać sprawę z kilku aksjomatów. Niepodległość Polski, a nawet egzystencja Polski i polskiego narodu jest, *à la longue*, przy obecnej nędzy polskiej, utopią. Polska może żyć, jako państwo o kulturze europejskiej, tylko przy zdobyciu stopy życiowej co najmniej na poziomie Austrii. Jest to niemożliwe bez wciągnięcia Polski w wir i krąg obrotów handlowych między-europejskich, bez zwiększenia obrotów (na głowę mieszkańca) handlu zagranicznego Polski, oczywiście z pominięciem obrotów rozrachunkowych, *clearing*'owych, które dobrobytu nie stwarzają, przynajmniej do poziomu krajów takich, jak Austria czy Dania. To może nastąpić tylko po wyrwaniu się z Komekonu i z sowieckiego vel socjalistycznego bloku gospodarczego. Powtóre, Polska, jeszcze bardziej niż cała reszta Europy, nie może się poważnie uprzemysłowić, bez olbrzymiego dopływu kapitału zagranicznego, który to dopływ musiałby wynieść co najmniej 5 miliardów dolarów w ciągu 10 lat (musiałby być uzupełniony rozumną polityką gospodarczą, zagraniczną, oraz właściwym wysiłkiem edukacyjnym, przede wszystkim technicznym i zawodowym). Otóż trzeba sobie zdać wreszcie sprawę, że Rosja tych kapitałów nie ma i przez lata mieć nie będzie, sama musi żebrać o dopływ kapitałów. W dzisiejszej sytuacji, kapitałów Polsce mogą dostarczyć tylko dwa kraje: w pierwszym rzędzie Stany, w znacznie skromniejszym stopniu Niemcy.

W. A. ZBYSZEWSKI

Kronika kulturalna

O indukcji w izolacji

Niniejsze opracowanie nie jest recenzją z „Ryb na Piasku" czy „Opisania z pamięci"*). Jeśli ktoś koniecznie pragnie dlań etykietki, może je nazwać esejem częściowo socjologicznym, częściowo poetyckim, a w całości emigracyjnym.

Mniej więcej dziesięć lat temu zawiązała się w Londynie grupa około piętnastu młodych ludzi — przeważnie studentów — o ambicjach pisarskich, która z czasem stworzyła miesięcznik „Kontynenty" i została powszechnie nazwana od imienia tego miesięcznika. Wymienione powyżej książki zawierają częściowo różne, a częściowo pokrywające się, zbiory poezji tej grupy. Stosując miary społeczeństw normalnych, ani pojawienie się grupy ani jej obecne antologie nie były wydarzeniami literackimi. Każdy z kilkudziesięciu uniwersytetów brytyjskich i każda z kilkudziesięciu prywatnych szkół średnich *(public schools)* wydaje pismo, czy przynajmniej rocznik, w którym młodzież może wyżywać się literacko. W sumie ewentualny kolekcjoner mógłby każdego roku zebrać plon zarówno jakościowo jak zwłaszcza ilościowo znacznie przewyższający dorobek omawianej grupy. Nikt oczywiście tego nie robi i literatura angielska całkiem nieźle daje sobie bez tego radę. Analogicznie, wkład grupy Kontynentów do literatury polskiej również należy uznać za marginesowy.

Natomiast samo powstanie grupy jest ewenementem społecznym, godnym uwagi socjologa. Kluczowe znaczenie ma tu fakt, że w Londynie znalazła się grupa ludzi, zdecydowanych na pisanie po polsku, a więc w języku nierynkowym, niechodliwym.

* B. Taborski, *Moralne prawo*, „Merkuriusz Polski" nr 1, 1957.
A. Czerniawskiego, B. Świderski, Londyn 1965.
Opisanie z pamięci, Antologia poetycka grupy „Kontynentów", opracował A. Lam, PIW, Warszawa 1965.

Brzmi to jak jakieś spóźnione przywiązanie do idei w naszym bezideowym wieku. Poprzednie zdanie wymaga komentarza. Teza o bezideowości naszego wieku jest nieprawdziwa. Wiek nasz niewątpliwie stoi pod znakiem ideologii, i to potężnej, wszystko przenikającej. Ideą, powszechnym celem współczesnego pokolenia, jest udział w „wyścigu szczurów" i zajęcie w nim możliwie najlepszego miejsca. Wypada więc zastanowić się, dlaczego owi młodzi wyrwali się z ogólnego prądu, dlaczego nie stali się sprzedawcami pralek elektrycznych, gitarzystami, producentami pornograficznych pocztówek i pośrednikami w obrocie nieruchomościami.

Nie wystarczy na to odpowiedzieć: „Ależ oni intelektualiści, marzyły im się wawrzyny poetów, pisarzy...". Bo gdyby tylko o to chodziło, to mogliby, przynajmniej niektórzy, pokusić się o pójście w ślady Szekspira i Conrada. Fakt, że nie próbowali zdobywać rynku angielskiego, świadczy dobitnie o innym fakcie, mianowicie że byli wyobcowani ze środowiska angielskiego, co z kolei rzutuje na rolę rodziców i środowiska emigracyjnego.

Łatwo sobie odtworzyć rolę rodziców w tym procesie. To właśnie im, bardziej niż samym młodym, należy się tytuł niezłomnych, nie ulegających atmosferze wyścigu szczurów. Na ogół wśród emigracji starzy potencjalnie wynaradawiają się szybciej niż dzieci. Prawdziwe wynarodowienie jest oczywiście niemożliwe ze względów technicznych, ale jest trwała tęsknota do wynarodowienia, do ucieczki od smutnej i twardej doli emigranta-wyrzutka, od społecznych nizin, od borykania się z obcym językiem. Przeważnie rodzice są motorem ucieczki dzieci od polskości. W tych warunkach dzieci chodzące do angielskich szkół i mówiące po polsku są unikatem, fenomenem. Możliwe, że przez ciągłe podkreślanie owej fenomenalności garstka omawianych tu byłych dzieci nabrała nie tylko przekonania o swojej polskości, ale także o swych talentach językowych, o literackiej genialności. Bardzo to naturalna droga do kariery pisarskiej.

Należy pamiętać, że powyższe uwagi odnoszą się tylko do niektórych z omawianej grupy. Reszta to stare byki, które przyjechały do Anglii w stanie dość kompletnego uformowania. Dla nich decydującym czynnikiem było istnienie względnie licznego i względnie zasobnego środowiska polskiego. Bez środowiska polskiego *tworzenie* nowych pokoleń pisarzy polskich byłoby niemożliwe. Stary pisarz polski rzucony na emigrację pozostanie pisarzem polskim, bo nie ma innego wyboru. Ale człowiek wchodzący w życie wybór ma ogromny i z pewnością nie wybierze zawodu pisarskiego w języku martwym. Od stuleci nie słychać np. o pisarzach tworzących po łacinie, nie mówiąc już o języku Majów. Tak więc ruchliwe i pozornie duże i trwałe środowisko pol-

skie z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych było pożywką, na której wzrastać mogły nowe pokolenia kulturotwórcze. Wydawało się ono dysponować tym, czym normalne społeczeństwo działa na twórcę: rzeszami odbiorców, posadami w redakcjach, nagrodami, sławą...

Dziś tylko dwóch członków grupy zajmuje się zawodowo pisarstwem. Wśród pozostałych aż czterech znalazło schronienie za murami uniwersytetu, a jeden zawędrował jeszcze dalej, mianowicie do seminarium duchownego. Inni zajmują skromne pozycje w różnych dziedzinach życia gospodarczego.

Na wypadek gdyby odnośne jednostki czy też wspomniani poprzednio ich rodzice mieli wątpliwości, czy wyłączenie się z wyścigu szczurów i poświęcenie się hobby polskości było wyborem właściwym, należy przedstawić potencjalną alternatywę. Otóż statystycznie każde piętnaście zdolnych i inteligentnych jednostek, które całą swą energię poświęcają zdobyciu „sukcesu" osiąga następujące wyniki w czterdziestym roku życia:

— jeden zostaje bogaczem *(tycoon)*;
— jeden siedzi w więzieniu za oszustwa, głównie podatkowe;
— jeden idzie do szpitala dla obłąkanych;
— dwóch umiera na zawał serca;
— dziesięciu jest sfrustrowanymi bankrutami życiowymi;

Jak widać nie ma czego żałować.

Członkowie grupy Kontynentów mienili się poetami i „czystymi literatami" ale grupa powstała na fundamencie jak najbardziej politycznym. Polityczne są też kulisy obu wydanych ostatnio antologii. Formalne zawiązanie się grupy łączy się z działaniem podmuchów polskiego Października na terenie emigracyjnym. Wtedy to rozlega się głos emigracyjnego dziecka, które spostrzegło nagiego króla: „Nie ma dziś na emigracji nikogo, kto miałby moralne prawo do reprezentowania narodu i przemawiania w jego imieniu. ... nie ma nikogo, kto mógłby reprezentować emigrację i w jej imieniu przemawiać. Setki tysięcy... ludzi pozbawione są jednolitego kierownictwa i głosu w polskich sprawach oraz jakiegokolwiek wpływu na ich bieg"*. Ale dworzanie emigracyjni to nie dworzanie z bajki Andersena. Zamiast przyklasnąć odkrywcy, wykopali go i jego kolegów na pysk z „Merkuriusza" i w ten sposób powstały „Kontynenty". A emigracyjny król do dziś chodzi nagi i każdy kto spojrzawszy przytomnym okiem powie że tzw. przywódcy to w najlepszym razie muzealne symbole a w najgorszym — uzurpatorzy i przywłaszczyciele społecznych pieniędzy, zostanie przez dworzan surowo skarcony i okrzyczany za wtyczkę.

*) B. Taborski, *Moralne prawo*, „Merkuriusz Polski" nr 1, 1957.

Cementuje grupę rozsądny stosunek do kraju: ignorować osobiste ambicje i pretensje emigrantów, uznawać to, co w kraju ma charakter korzystny, współpracować tam gdzie współpraca może dać wyniki dodatnie. O ile w 1956 roku tak zakreślony program mógł zapalać umysły i katalizować grupę, to już w parę lat później wyszła na jaw jego nieadekwatność. Okazało się, że władcy kraju to tak jak władcy emigracji *à rebours;* wszędzie tylko osobiste ambicje, nie ma mowy o dialogu i współpracy dla dobra społeczeństwa. Brak perspektyw politycznych rozkłada grupę. Jedyny wynik tego okresu to powrót dwóch członków grupy do Polski i pewna ilość małoznaczących utworów, ogłoszona przez innych członków grupy w kraju.

Spóźnionym refleksem tego okresu są też obie wydane obecnie antologie. I one w jakimś stopniu mają charakter polityczny. Każde wydanie książki w kraju jest związane z szeregiem decyzji politycznych, począwszy od decyzji przydzielania papieru a skończywszy na szeregu etapów cenzury. „Opisanie z pamięci" poczęte zostało już z początkiem lat sześćdziesiątych, a jednak wydanie tych 150 stroniczek z rzadka zapełnionych wierszami okazało się zadaniem przewlekłym. O jedno tylko zdanie z przedmowy Przybosia: „Literatura polska jest jedna" i o jeden wiersz Czaykowskiego („urodziłem się tam... chętnie bym się urodził po prostu w trawie") kłócono się z cenzurą przez dwa lata. Wreszcie przyjęto kompromis: wiersz Czaykowskiego przeszedł, zdanie Przybosia skreślono. Niewątpliwie czynniki krajowe, przyzwalając na druk, spodziewały się sporych dywindend politycznych. Bądź co bądź chodziło o grupę niesforną i nieuczesaną, która była na bakier z oficjalną emigracją i głośno wypowiedziała swe krytyczne uwagi pod adresem tej emigracji. Ale i cenę trzeba było zapłacić wysoką. Już choćby taki życiorysik (Czaykowskiego): „ur. 1932 w Równem, w 1940 wywieziony do Rosji...". A i sam fakt pozostawania tych niewinnych młodych na emigracji wymaga dialektycznych łamańców w rodzaju tego choćby zdania w przedmowie A. Lama: „... nie pragnęli na razie wracać do kraju, którego los wydawał im się niepewny". Ot życie! Młodzieniaszkowie już podstarzeli, a los krugom niepewny!

Włączenie J. Niemojowskiego do zbiorku wydanego w kraju należy również do kategorii decyzji politycznych. Niemojowski do grupy Kontynentów nigdy nie należał, a jego wiersze zamieszczone w antologii nigdy nie były drukowane w „Kontynentach". Miejsce w antologii zawdzięcza on widocznie późniejszym stosunkom z wydawcami w Polsce.

Na powstanie fenomenu grupy Kontynentów złożyło się wiele elementów. Możliwe, że niektóre z tych elementów są niepowtarzalne i dlatego nie można już oczekiwać podobnego zja-

wiska w przyszłości. Faktem jest, że emigracja jako ciało zbiorowe nie jest dziś tym, czym była była we wczesnych latach powojennych; i że martwa ręka emigracyjnego urzędu zwiędła do minimalnych rozmiarów i nie jest prawdopodobne, aby całe grupy musiały się przeciw niej buntować. Jednak nigdy nie wiadomo, jakie siły twórcze drzemią w naszym emigracyjnym Walgierzu Udałym. Aby się o tym przekonać trzeba by nowego, lepszego Października w Polsce.

B. BRODZIŃSKI

Czarny kamień

Czarnym kamieniem zaznaczyć początek roku 1966.

Siniawski, Daniel skazani w Moskwie na 7 i 5 lat. Proces ohydny, wariant złagodzony stalinowskich procesów. U nas skazany Hass (po Kuroniu i Modzelewskim) na 3 i pół roku.

Koledzy Siniawskiego i Daniela ze Związku Pisarzy — Kiedrowa i Wasiljew — żądają w sądzie najwyższego wymiaru kary dla oskarżonych.

Podłość na rozkaz? Na jaki łagier byliby skazani Gogol, autor „Rewizora", Sałtykow-Szczedrin od „Goroda Głupowa"?

◆

U nas 18 lutego o 3-ej w nocy umiera prawie nagłą śmiercią Stanisław Mackiewicz — uderzenie krwi do mózgu. Śmierć pisarza śmiałego ze śmiałych, wiernego syna ziemi Wileńskiej, wyznawcy Piłsudskiego i w swoim czasie przez Piłsudczyków zamkniętego do Berezy, w Polsce dzisiejszej usuniętego (na rozkaz?) ze Związku Dziennikarzy za „szkalowanie Polski" — Polski, poza którą żyć nie umiał i nie chciał; skazany na milczenie największy dziennikarz Polski, zaszczuty i *uduszony*.

◆

Jeżeli o tych faktach wspominam, to dlatego tylko, że wbrew woli zabarwiają moją myśl, teraz, kiedy chcę pisać o sprawie *w porównaniu* z tamtymi błahej.

Ale czy ona rzeczywiście sama w sobie jest błaha?

Kogotok uwiaz i wsiej pticzkie propast': „Pazurek uwiązł i ptaszek przepadł".

Co jest błahe, jeżeli jest symptomatyczne, jeżeli świadczy o klimacie politycznym w kraju, gdzie coraz bardziej, według wieści które do nas dochodzą, należy zapomnieć o słowie „odwilż", gdzie rok 1956 staje się wspomnieniem wstydliwym, gdzie Bezpieka została pono świetnie zreorganizowana, rozstawia wszędzie swe sidła, posiada gmachy i gmachy archiwów z donosami, czyta „wszystkie" listy, podsłuchuje „wszystkie" telefony, gdzie co drugi, jeżeli nie każdy, wyjeżdżający z Polski czy do niej powracający jest z lekka czy brutalnie szantażowany o... informacje? I gdzie w tych sidłach uwiązł już niejeden pazurek wcale nie tylko ptaszków z rasy Kiedrowej i Wasiliewa!

◆

Éditions du Seuil wydały „Antologię Poezji Polskiej" K. A. Jeleńskiego po francusku, pierwszą tego bogactwa na przestrzeni wieków, na takim poziomie i o takim „uchwycie".

Oficjalna warszawska „Kultura" nie zostawiła na Antologii suchej nitki, dlatego że autorem jej jest Polak z emigracji, obdarzyła ją krytyką zresztą specyficzną.

Najczujniej, najobiektywniej oceniający to wszystko co do nas z Polski dochodzi, pisarz polski, niezdolny do sądów niewyważonych, nieprzemyślanych, pisze mi w liście: „...bo ludzie tam są dziś bardzo niepewni, widać to chociażby z krytyki Antologii Jeleńskiego warszawskiej pseudo „Kultury". Wygląda to nietyle na głosy pisarzy ile na *salwę plutonu egzekucyjnego strzelającego na rozkaz*".

Każdy czytelnik Antologii, z poezją po swojemu zżyty, może mieć sto powodów do zastrzeżeń i krytyk — nie ma antologii, nie ma jednego tłumaczenia, które by zadowolić mogło wszystkich, bo każdy ma *swój* świat poezji, *swój* wybór, *swoje* musée imaginaire poezji i to jest w porządku i tak być powinno, ale „egzekucja" warszawskiej „Kultury" nie ma z tym nic wspólnego, trzeba było widocznie bardzo pilnie wykonać „zamówienie społeczne" (czyje?) żeby uznać, że cała książka jest jedynie „politycznym posunięciem", że wybór poetów jest „nader stronniczy", że kieruje się „interesami emigracyjnej grupy" (Sandauer), w której wybór wierszy „nie ma nic wspólnego ze względami artystycznymi" (Przyboś), że Antologia jest „rozepchana pustosłowiem" (Przyboś jeszcze) i tu atak na Wata, który jeszcze w 57 roku otrzymał najwyższą nagrodę literacką w Polsce, przyznaną przez jury pisma, którego „Kultura" warszawska jest następcą. Wat przestaje być poetą, staje się „symulantem i beztalenciem" z chwilą kiedy ciężko chory decyduje się do Polski nie wracać. I naturalnie *dlatego* Jeleński go wywyższa! Przyboś nagle zapomniał, że Jeleński w 57 roku, gdy Wat żył w Polsce, już się nim zachwycał i go na angielski tłumaczył i drukował.

Dla prof. Żurawskiego „wszystko w tej książce jest nieporozumieniem". Dyskusję zamyka redaktor Wilhelmi stwierdzając, że „błędy i niedostatki Antologii Jeleńskiego uznać można za

świadome, jeśli się zważy propagandowo-polityczny charakter tomu".

Niech tam Wilhelmi — jego stanowisko nie jest niespodzianką, niech tam prof. Żurowski, ale Sandauer, ale *poeta* Przyboś?

„Antologia Poezji Polskiej" — to dzieło paroletniej entuzjastycznej, precyzyjnej zarazem i całkowicie bezinteresownej pracy K. A. Jeleńskiego.

Nie tylko, że on jeden jest odpowiedzialny za wybór wierszy, dokonanych na przestrzeni wieków, za wybór samych tłumaczy, nie tylko, że szereg wierszy ukazało się w jego własnym tłumaczeniu, dał on jeszcze ponadto parę set tłumaczeń dosłownych (tylko część została użyta w Antologii) najwybitniejszym poetom francuskim, by im tłumaczenie poetyckie umożliwić i do poezji polskiej zapalić, aby w ścisłej z nim współpracy podjęli się tłumaczenia.

Wstęp Miłosza, posłowie samego Jeleńskiego (oba świetne teksty ukazały się w „Kulturze" Nr 9/203 r. 1964) wprowadzają francuskiego czytelnika, jak nie można żywiej, poza jakąkolwiek sztancą („Pologne digne et malheureuse") w całkowicie mu obcy świat polskiej poezji.

Ponad 50 krytyk w prasie francuskiej, szwajcarskiej, belgijskiej, z wyjątkiem jednej (René Lacôte w „Lettres Françaises", członek KC francuskiego, znany z wrogiej postawy do wszelkich przejawów odwilży w Polsce), wszystkie pochlebne i nawet entuzjastyczne. Z punktu widzenia nawet zwykłej propagandy Polski,*każdej* Polski — cóż za sukces! Nie widzę ani jednego Polaka, który mając równie żywy stosunek do poezji mógł był się na takie zadanie porwać, który by miał tyle autentycznych, bliskich stosunków ze światem francuskich poetów, tylu z nich potrafił polską poezją na tyle zafascynować, że się tych trudnych tłumaczeń podjęli. Od Pierre Emmanuela, Yves Bonnefoy aż po niedawno zmarłego Audiberti'ego.

Co za skala: od anonimów z XV wieku w pięknych tłumaczeniach Feuillade'a, Pankowskiego, Prudommeaux, od „Trenów" Kochanowskiego, których tłumaczenie, jeżeli mam sądzić według moich francuskich przyjaciół, najszybciej znalazły oddźwięk, poprzez barok polski, poezję romantyczną, Norwida („Fortepian Chopina", „Litość", „Ironia", może z Norwidowych tłumaczeń najlepiej oddają nie tylko ducha tej poezji, ale jej „pismo", akcent, nieoczekiwany i niepowtarzalny), aż po wiersze nowoczesne i ostatnie, gdzie sąsiadują pisarze krajowi i emigracyjni w całym bogactwie i różnorodności ich wizji poetyckiej, ich wyrazu. Ile szczęśliwych spotkań na każdym kroku: *Słowacki* — Pierre Emmanuel, Bourilly, Pankowski, *Norwid* — Yves Bonnefoy, Cassou; *Herbert* — Caillois; *Różewicz* — Kosko; *Gałczyński* — Audiberti. Mógłbym parę stron zapełnić listą szczęśliwych niespodzianek, aż po wiersze Białoszewskiego, którego tłumaczył przeważnie sam Jeleński — należą one do najlepszych, choć było dosłownie akrobatyką ich magię w innym języku, i to we francuskim, szczęśliwie przekazać. Nie wierzę, żeby czytelnik

tej książki, nieuprzedzony i na poezję wrażliwy, tym bardziej jeżeli sam jest poetą, nie wyczuł, że ta Antologia powstać mogła tylko z fanatycznej i bezinteresownej pasji poezji.

◆

Zastanawiał mnie zawsze stosunek do poezji Rosjan, nawet w najgorliwszych stalinowskich czasach, siła działania na nich poezji, jej rola.

Przed rewolucją jej wielki okres: Błok, Biełyj, Gumilow, Pasternak, już Achmatowa, już Majakowski, iluż innych; rewolucja, jej nadzieje, o której piszą i jak piszą poeci, terror, potem walka z poezją, samobójstwo Majakowskiego, samobójstwo Jesienina, milczenie Achmatowej, Cwietajewa na emigracji, zakatowanie w obozach Mandelsztama, powrót Cwietajewej i jej samobójstwo, aż po dobę ostatnią: ataki na Pasternaka i kult Pasternaka i najmłodsza poezja wyrastająca z „błatnej" piosenki łagrów i jej sukcesy gwałtowne, wcale nie tylko w jakiejś elicie, ale w masach młodzieży. Wbrew prześladowaniom dzika żywotność tej poezji.

Przecie jeszcze podczas wojny słuchałem z zapartym tchem do dziś niewydanych w Rosji wierszy Achmatowej, w salonie oportunisty, stalinowca, Aleksieja Tołstoja, który tegoż wieczora skwapliwie wpisywał sobie do karnetu „Przyszło nieszczęście do człowieka..." z przez niego przetłumaczonego „Fatum" Norwida. A w szpitalu, gdzie leżałem chory na tyfus, dziewczęta-pielęgniarki kradły sobie wzajemnie moje niezdarne tłumaczenia Słonimskiego czy Balińskiego. Bo tam poezja, to była naprawdę wyspa, gdzie nagle w okrutnych warunkach ludzie się łączyli, wbrew szpiclom i cenzorom, gdzie panowała radość i wzruszenie bezinteresowne.

Zawsze mi się zdawało, że wśród nas, Polaków, istnieje także ta wyspa poezji, obca szpiclom i cenzorom, że od Miłosza do Ważyka, od Iwaniuka do Herberta czy Przybosia, od Wata do Białoszewskiego jest *jedna* republika poetów, że po 56 roku intryga polityczna, szantaż, tej republiki się nie imają.

Jeleński i jego Antologia, zgodne na jej stronach współżycie poetów z kraju i emigracji, tylu poetów o tak różnym widnokręgu myśli — zdawało mi się to potwierdzać.

„Salwa plutonu egzekucyjnego na rozkaz" warszawskiej „Kultury", niski atak na Wata — przekreślają wizję czystej od intryg politycznych wyspy polskiej poezji.

Czy jestem niesprawiedliwy, zaślepiony wzruszeniem, że fakt błahy urasta mi do faktu *symbolicznego*, że nazwiska czołowego poety, wybitnego krytyka, profesora i redaktora związały mi się na zawsze odtąd w pamięci z nazwiskami towarzyszki Kiedrowej i towarzysza Wasiljewa, którzy wzięli czynny udział w *innej*, na miarę moskiewską egzekucji?

Józef CZAPSKI

Mały traktat o sztuce

Od czasu do czasu dowiadujemy się z gazet, że jakiś szympans w ogrodzie zoologicznym namalował obraz; ostatnio mieliśmy okazję studiować wiersze skomponowane przez maszyny elektroniczne. Ponieważ obrazy szympansów przypominają malowidła abstrakcjonistów, a wiersze wyprodukowane przez maszyny przypominają wolny asocjacjonizm futurystów i nadrealistów, zewsząd daje się słyszeć szyderczy śmiech filistrów. Oto nareszcie mają naoczny, namacalny dowód, że sztuka XX-go wieku, która napawa ich strachem i obrzydzeniem, nie jest godna człowieka.

Ale i ci z nas, którym sprawy sztuki, czy to współczesnej, czy dawnej, są drogie i bliskie, zastanawiają się, czy w niedługim czasie maszyny nie będą produkować artystycznie cennych liryków, dramatów i symfonii. Wiedza w tej dziedzinie postępuje niezmiernie szybko i nie jest chyba wykluczone, że maszyny zaczną komponować utwory na przeciętnym przynajmniej poziomie. Czy dla artysty-człowieka znajdzie się wówczas miejsce w społeczeństwie?

Nie jest tak ważne w jakim stopniu maszyny będą w przyszłości współzawodniczyć z ludźmi. Wystarcza już samo stwierdzenie, że maszyna konkuruje z poetą, by wzbudzić w nas jakiś niesprecyzowany niepokój. Dlaczego? Bez większego oporu przyjęliśmy współzawodnictwo samochodu z koniem, samolotu z ptakiem, pocisku rakietowego z kometą, na każdym kroku ulepszamy naturę i nie ogarnia nas z tego względu jakiś metafizyczny lęk. Różnica jest jasna: tu w interesującym nas wypadku, maszyna wkracza w orbitę działalności, którą przywykliśmy klasyfikować jako domenę ekskluzywnie ludzką. Nawet freski w pieczarach naszych praojców wystarczają, by odseparować ich w sposób absolutny od tych bawołów i koni, których podobizny nam przekazali, a cóż dopiero mówić o Safonie, Szekspirze, katedrach, kantatach i kwartetach. Maszyna-Szekspir wydaje się groźnym ograniczeniem naszego człowieczeństwa.

Nasza obawa zranionej godności ludzkiej jest jednakże iluzją po prostu dlatego, że w ostateczności nie jesteśmy skłonni brać twórczych maszyn poważnie. W pierwszej chwili odczuwamy co prawda szok ale zaraz obojętniejemy. Dopóki wierzymy, że autorem wiersza jest człowiek, czytamy go z zainteresowaniem; z chwilą, gdy się dowiadujemy, że jest to twór maszyny, pozostaje może powierzchowna ciekawość, ale znika głębsze zainteresowanie, wszelka zaangażowana dociekliwość człowieka przeżywającego dzieło sztuki.

Tak więc, paradoksalnie, eksperymenty z a-ludzką twórczością

pomagają nam skrystalizować nasze pojęcie sztuki. Dotychczas tradycyjne rozróżnienie przebiegało między naturą a sztuką, to znaczy powiedzmy między krajobrazem, a jego odtworzeniem na płótnie. Teraz to rozróżnienie nie wystarcza: musimy rozróżnić między krajobrazem a jego reprezentacją dokonaną pędzlem w ręku człowieka. Okazuje się więc, że sztuka wzrusza nas nie tylko dlatego, że jest sztuką, że jest zadawalającą kompozycją dźwięków czy barw, ale, że jest także wyrazem dążeń, zmagań i tragedii ludzi, w przeciwieństwie do impulsów i reakcji maszyn i małp. Zaczynamy od jednego wiersza w antologii, od jednego obrazu w galerii, ale niezwłocznie nasze zainteresowanie rozszerza się: chcemy wiedzieć, kim jest autor utworu i jaką rolę spełnia ten utwór, który przykuł naszą uwagę, w całokształcie jego twórczości. Dopiero, gdy się upewnimy, że mamy do czynienia z artystą, to znaczy z człowiekiem, który świadomie tworzył, a nie z psychopatą, dla którego sztuka jest terapią, lub z człowiekiem, który w myśl zasady, że „każdy z nas nosi w sobie jeden wiersz", skomponował i ogłosił jeden utwór, ale więcej o poezji nie myślał, doznajemy tej specyficznej satysfakcji, którą nazywamy przeżyciem estetycznym.

Tym przeżyciem jest doznanie porządku w chaosie codziennego życia. Twórca osiąga harmonię bezpośrednio, widz, słuchacz, czytelnik osiąga ten stan poprzez kontakt z dziełem wykrojonym z chaosu przez innego człowieka. Nie wzrusza nas porządek stworzony przez maszynę, gdyż wiemy, że nawet najbardziej czuła, najbardziej skomplikowana maszyna, działa na zasadzie kombinacji z góry ustalonego programu i przypadku, że jej dzieło nie jest wynikiem przeżyć i doświadczeń.

Ta dążność do identyfikowania dzieła artystycznego z wysiłkiem człowieka wyjaśnia także nasz wrogi stosunek do fałszerzy sztuki. Oczywiście spadek wartości obrazu, który okazał się podrobioną kopią „Primavery" Botticelliego, jest w pewnym sensie sprawą czysto utylitarną, tak jak w wypadku fałszywej monety. Ale nie tylko. Nawet odtwórca zaginionych obrazów Vermeera, a więc nie pospolity fałszerz, nie spotkał się z uznaniem za wypełnienie luki w twórczości wielkiego artysty, gdyż, okazuje się, zadowolenie estetyczne złączone jest prawie niewidzialną, lecz i nierozerwalną nicią z autorem dzieła. Wszelkie próby, zwłaszcza próby polegające na fałszu, przerwania tej łączności kończą się niepowodzeniem.

Zazwyczaj szczególnie fascynujący jest ten związek w poezji. Malarz jest malarzem, ze swoim studio, modelami, sztalugami, kompozytor jest w dużej mierze rzemieślnikiem przywiązanym do swych instrumentów i specjalistą w zakresie wysoce uczonej wiedzy. Poecie natomiast wystarcza kartka papieru i ołówek. Dlatego „Najróżniejsi ludzie trudnią się poezją". Cóż wspólnego poza imulsem twórczym ma rzymski bawidamek Owidiusz z jezuitą Hopkinsem? Jak pogodzić senatora Yeatsa z Chaucerem celnikiem, lekarza Carlosa Williamsa z warchołem Villonem, farmera Frosta z arcy-biurokratą Stevensem, który do 70-tego roku

życia trwał na stanowisku szefa korporacji i mawiał, że „charakter poety kształtuje się poprzez codzienny kontakt z jakimś zajęciem"?

Współczesne teorie sztuki słusznie odrzucają metodę biograficzną w interpretowaniu dzieł artystycznych. Zamiast próbować ustalać bezpośrednią zależność utworu od jakiegoś specyficznego wydarzenia w życiu autora, należy podkreślić samoistność, niezależność dzieła. Dzieło sztuki wiedzie swój odrębny byt, jest organiczną formą, jest kształtem w przestrzeni, w każdym razie nie jest jawną ekspresją uczuć lub kalendarzem z życia twórcy.

Takie podejście do sztuki jest w zasadzie zdrowe. Źle się dzieje kiedy biografia utrudnia nam swobodną, obiektywną kontemplację dzieła, kiedy zwłaszcza w dramacie czy powieści szukamy postaci, która miała by być wizerunkiem autora. Jednakże w konfrontacji z maszynami i szympansami dostrzegamy, jak silnie pojęcie sztuki związane jest z naszym pojęciem człowieka. Jak często bywa, gdy się rozmyśla o sztuce, dwa zasadniczo sprzeczne twierdzenia mogą równocześnie wyrażać prawdę. Aby wyraźniej widzieć dzieło wykluczamy z kontemplacji względy tak zwane poza-artystyczne ale tkwią one nadal w naszej podświadomości i decydują o naszej recepcji dzieła. Dlatego buntujemy się instynktownie, na myśl, że warunki w jakich dzieło sztuki powstało, miały by być zupełnie bez znaczenia.

Adam CZERNIAWSKI

Turkiewicz a nowe tworzywo

Matisse: „Jest bardzo trudno rozumieć generację, która następuje po nas. W miarę jak żyjemy nie tylko tworzymy nasze dzieło, ale i doktrynę estetyczną, która to dzieło określa. Ustalamy własne wartości, kodyfikujemy je i traktujemy do pewnego stopnia jak absolut... Gdy docieramy do swego wyrazu, jesteśmy przez chwilę w nurcie malarstwa, ono nas wchłania i może dodajemy wówczas ogniwo w łańcuchu. Potem historia idzie dalej, nas wyprzedza, odrzuca i już jej nie rozumiemy".

Picasso z miną sarkastyczną: „Co za mądrość! To jakiś buddyzm tandetny... Nie zgadzam się z tym, bym już nie miał sądzić tego co po mnie przychodzi...".

Cytuję tych kilka wyrwanych zdań z rozmowy Picassa z Matisse'm którą podaje Françoise Gillot w swej bogatej i ciekawej książce: „Vivre avec Picasso". Przypominają mi się one gdy próbuję pisać czy oceniać pracę artystów o jedno czy parę pokoleń ode mnie młodszych.

Turkiewicz jest o dobre pokolenie młodszy, śledzę jego prace od 1941 roku, od jego rysunków czujnych, nigdy schematycznych, którymi się zachwyciłem w 1942, w Turkiestanie.

Fazy jego malarstwa również mogłem oglądać, od tamtych czasów iluż wpływom ulegał, od tkactwa ludowego w Polsce do Matisse'a, aż po, na jego płótnach odbijające się odkrycia, zachwyty, meczetów, piramid, muzeów Persji. Iraku, Egiptu.

Prądy malarskie, które tak zaważyły jeszcze na moim pokoleniu (impresjonizm, postimpresjonizm, oraz w ogóle wiek XIX) zagrały chyba najmniej w jego rozwoju. Malarstwo Turkiewicza, w miarę lat i przemian, coraz bardziej syntetyczne, bryłowe, o brutalnych kontrastach, w pewnym okresie bliskie ekspresjonizmu, było mi wówczas najbliższe — ale Turkiewicz w rozwoju swoim szedł dalej, ku czystej abstrakcji.

Jesienią 1964 odwiedziłem po latach jego pracownię w Londynie. Obrazy artysty były dla mnie niespodzianką. Wrażliwość kolorystyczną Turkiewicz miał zawsze, ale ta wrażliwość się tutaj wyraża w całkiem innej, niewidzianej dotychczas materii. Obrazy te, ciężkie, twarde i chropawe miały urok nowy. Może Katalończyk, Antonio Tapies ma podobne źródła inspiracji, jego płótna przypominają kolorem, materią ściany ruin, z gliny palonej, stare pergaminy czy jakieś wrota świątyń Niniwy? Ale materia, którą operuje Turkiewicz jest o wiele bogatsza, szersza w gamie koloru, różnorodniejsza w pomysłach i efektach nowego materiału. Te skały gwoździami nabijane, te cyfry czy litery zmyślone w chropawe płaszczyzny wtłoczone, wdrapane, czy to w ogóle malarstwo? (Wspomniałem słowa Matisse'a: „Ustalamy własne wartości, kodyfikujemy je traktując do pewnego stopnia jak absolut").

Czy ja w tym zapytaniu nie zdradzam chęci zamknięcia malarstwa w ramy wcale nie absolutne, bo przez siebie i dla siebie „skodyfikowane"?

Patrząc na obrazy Turkiewicza wspominałem pismem klinowym zapisane płyty w meczetach Iraku, czy Persji. Były tu także jakby urwane skały z dziwnymi znakami, obok obrazy o rzadkiej subtelności kolorystycznej, pomimo że były całkiem abstrakcyjne przypominały mi pejzaże chińskie o wrastających w siebie delikatnych cieniach drzew, skał i wodospadów, to znów myślałem o tkaninach przetykanych szafirem i złotem. Drażniły mnie przy tym nagle wpisane, prędzej przepisane, nic do rzeczy nie mające formułki matematyczne czy apteczne, jakby wczepione w tę twardą materię, drażniła mnie ich wypadkowość. Ale pomyślałem sobie, że sam nie umiem się oprzeć wprowadzaniu do moich płócien liter kolorowych z afiszów czy reklam, więc jakim prawem tamte formuły mnie drażnią?

Ostatnio otrzymałem katalog Turkiewicza z jego wystawy w *Cassel Galllery* w Londynie, wystawy którą prasa londyńska omawiała szeroko i pochlebnie. Ponad 40 obrazów i gwaszy. Tu nasu-

wa mi się pierwsza krytyka: czarno-białe reprodukcje nie oddają według mnie nic z tego malarstwa, a jedna z reprodukcji — płótno z dwoma profilami o rysunku schematycznym i wprost jakby pozbawionym czucia formy — zdały mi się pomyłką. Ileż razy konstatowałem, że abstrakcja uprawiana przez dłuższy czas i z pasją *wyjaławia* rysunek, po jakiemuś oślepia artystę próbującego przekazać kreską formę przedmiotów czy twarzy. Oduczyć się od rysunku, *oduczyć się od patrzenia* na niesłychane bogactwo form natury, o ileż łatwiej niż się tego patrzenia nauczyć.

◆

Jak dochodzi Turkiewicz, by otrzymać tę materię obrazu, te nowe efekty — poprzez nowe tworzywo? Pytałem go o to listownie. Pozwalam sobie podać tu fragment jego listu, który zainteresuje każdego malarza.

„Olej nigdy nie był moją techniką, a to ze względu na pozorną łatwość(!)* w użyciu i powolne jego wysychanie. Marzyłem o jakimś spoiwie, pomiędzy akwarelą a temperą, którą można by nakładać warstwami impasto, a także laserować. Analizując wszystkie znane mi techniki malarskie, zwróciłem uwagę na fresk, technika ta nie została dostatecznie wyzyskana. Fresk klasyczny był funkcją ściany. Pomyślałem, że mały fresk w formie ruchomych obrazów, który można dowolnie przenosić i umieszczać, zależnie od fantazji czy potrzeby, można by potraktować całkiem inaczej, wyzyskać materię zaprawy murarskiej od strony faktury. Możliwości nowego eksperymentu pobudziły moją wyobraźnię. Poczułem zupełnie własne podejście do malarstwa, mogło ono doprowadzić do kompletnej bzdury, albo zapoczątkować nową wizję malarską, która rozwijać by się mogła w oparciu na doznaniach wypływających z materiału, z tworzywa... Z drugiej strony, formalne budowanie takiego obrazu musiało siłą rzeczy zrywać z malarstwem tradycyjnym, a doświadczenia abstrakcji dawały mi odwagę działania intuicyjnego wyzyskując przypadki i akceptując metodę, która rozwijała się logicznie dając mi poczucie, że to co robię jest słuszne. Naturalnie technika mojego fresku ma bardzo mało wspólnego z freskiem klasycznym: 1) różnica skali... 2) moje freski są oderwane od ściany, 3) faktura moich fresków jest równie ważna jak kolor, 4) materiał jest również inny w zasadzie od fresku klasycznego, chociaż chemicznie wiązanie pigmentu z zaprawą jest w zasadzie podobne. Różnice te są wynikiem że dzisiaj w Londynie nie można znaleźć zaprawy murarskiej zrobionej z lasowanego wapna i piasku — żyjemy w epoce cementu. Na rynku natomiast pojawiają się coraz to nowe materiały, nowe spoiwa, nowe żywice, syntetyczne metale i td. Tak więc po szeregu eksperymentów znalazłem mieszaninę powstałą ze sproszkowanych minerałów, które po zmieszaniu z wodą i pigmentem są bardzo elastycznym tworzywem do budowy moich obrazów. Tworzywo to po dodaniu pewnych płynnych substancji, po pewnym czasie wysycha zamieniając mieszaninę z powrotem w skałę. Niekiedy taki proces wystarcza mi w zupełności, jest to czysty mój fresk, w większości wypadków czuję potrzebę dalszego prowadzenia obrazów. Czasem muszę pewne partie przelaserować, czasem coś dodać, skontrastować, ożywiać przez wprowadzenie błysków.

Oczywiście podobrazie, jakie używam dla swojej kompozycji, może być zarówno płótno jak novelboard, albo deska, dykta, blacha i td. Najchętniej

*) Mój nawias.

używam *hardboard* nabity na drewniane listwy, ale robiłem próby z płótnem i deskami...".

◆

Udało mi się przecie dotrzeć do Londynu dzień przed zamknięciem wystawy Turkiewicza. Moje wrażenie nie tylko potwierdziło to przeżycie, które mi dało obejrzenie jego płócien w 1964 r., ale je wzmogło. Bogactwo, subtelność, wyszukana gra tej materii jego obrazów, czy nie jest *odkryciem dużej miary?* Odkryciem, które niejednego malarza może ku tej formie malarstwa pociągnąć? Zostały mi w pamięci niektóre z tych obrazów: jeden z nich nazwany w katalogu „Love Letter". Na szarej skale wypisane litery przypominające pismo klinowe, z wbitymi od czasu do czasu guzami, które świecą jak kamienie drogocenne ze skarbca Salomona; drugi obraz „Space exploration" — światła, kolory i gwiazdy, imaginacja poetycka przestrzeni nieba. W innych płótnach rafy koralowe, kratki turkusowe o kolorze i materii porcelany z Delftu. Nawet te twarze, które mnie tak odrzuciły w fotografii na katalogu, tracą swoją banalność gdy zdają się wykute w skale, gdy patrzymy na to jak na wklęsłą płaskorzeźbę.

Jeżeli sztuka współczesna pokolenia Turkiewicza jest, jak mi się zdaje, przede wszystkim poszukiwaniem nowego tworzywa, może Turkiewicz właśnie dodaje to *nowe ogniwo w łańcuchu sztuki,* o którym wspomina Matisse w swej rozmowie z Picassem.

J. CZAPSKI

Komunikaty

STYPENDIA DLA STUDENTÓW POLAKÓW

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych „POLONIA TECHNICA" Inc. uchwaliło przyznać na rok akademicki 1966/1967 stypendia studentom Polakom matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub pokrewne. Stypendia w wysokości $ 300 (dolarów trzysta) płatne będą w ratach miesięcznych lub kwartalnych, według uznania Komisji Stypendialnej

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 15 czerwca 1966 roku umotywowane podania pod adresem:

Polonia Technica Inc.
Komisja Stypendialna
36, West 56th Str. apt. 1-C
NEW YORK, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok 1966/1967, oraz o rezultatach dotychczasowych studiów, i referencje dwu osób znających osobiście kandydata.

W myśl regulaminu Funduszu Stypendialnego pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie kandydatom bardziej zaawansowanym w studiach.

Zawiadomienie o ewentualnym przyznaniu stypendium nastąpi w terminie do dnia 31 lipca 1966 roku.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA", INC.
Jerzy Hoffman, Prezes.

◆

KONKURS DLA DZIECI NA PRACE MALARSKIE, RYSUNKOWE, GRAFICZNE I WYCINKI

Polska YMCA na Zachodzie Europy w porozumieniu z Polską Macierzą Szkolną, Stowarzyszeniem Kombatantów Polskich oraz Zrzeszeniem Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą zaprasza DZIECI POLSKIE mieszkające poza krajem do udziału w WYSTAWIE I KONKURSIE ŚWIATOWYM na prace malarskie, rysunkowe, graficzne i wycinanki.

WARUNKI KONKURSU:

1. UDZIAŁ w Konkursie mogą brać dzieci polskie mieszkające stale poza Polską — w wieku do lat 14 (ukończonych);
2. PRZEDMIOTEM KONKURSU są: rysunki, malarstwo, grafika, wycinanki i inne prace plastyczne wykonane na tematy prozy i poezji polskich pisarzy;
3. TECHNIKA I ROZMIARY PRAC. Nadesłane na Konkurs i Wystawę prace mogą być wykonane w dowolnej technice. Rozmiary prac nie powinny być mniejsze niż karta zeszytowa. Każda praca powinna być zaopatrzona na odwrocie w podpis i adres autora oraz tytuł;
4. PRZESYŁKA. Prace należy nadsyłać na konkurs tak, by mogły dojść do Londynu przed 10 maja 1966 r. Prace należy nadsyłać z załączonym zgłoszeniem na adres:

   POLISH YMCA, 46/47, KENSINGTON GARDENS SQUARE, LONDON, W.2., GREAT BRITAIN,

   z napisem na opakowaniu paczki względnie koperty: NON COMMERCIAL VALUE — CULTURAL EXCHANGE — CHILDRENS' EXHIBITION;
5. JURY. Selekcji prac na Wystawę oraz przyznania nagród w Konkursie dokona jury złożone z artystów malarzy, pedagogów oraz przedstawiciela organizatorów Konkursu i Wystawy;
6. DYPLOMY, NAGRODY. Wszyscy uczestnicy Konkursu otrzymają dyplomy. W zależności od ilości nadesłanych na Konkurs prac, przyznane zostaną nagrody. Nagrody będą w postaci artystycznych albumów i wydawnictw o polskim malarstwie i sztuce, kompletów przyborów malarskich oraz innych przedmiotów ofiarowanych dla uczestników wyróżnionych w Konkursie. Nazwiska nagrodzonych ogłoszone zostaną w prasie polskiej poza granicami kraju. Nagrody wraz z dyplomami przesłane będą wyróżnionym uczestnikom Konkursu.
7. WYSTAWA. Z wyselekcjonowanych prac zorganizowana zostanie Wystawa.

8. OSOBNA NAGRODA będzie przyznana za najlepszą pracę związaną z tematyką MILLENNIUM POLSKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ;
9. Wysyłając prace należy wyraźnie zaznaczyć, czy mają być zwrócone autorom. Prace nie zwrócone, za zgodą autora, wejdą w skład zbiorów, które dostępne będą dla studiów pedagogicznych względnie urządzania wystaw prac dziecinnych;
10. Komitet Organizacyjny Konkursu i Wystawy zastrzega sobie możność wysłania prac w ramach wystawy z nich sporządzonej do innych ośrodków polskich oraz zastrzega sobie prawo reprodukcji prac w prasie;
11. Komitet Organizacyjny Konkursu współdziałać będzie z Komitetem Millennium Polski Chrześcijańskiej w Londynie i z jego oddziałami w innych krajach;
12. OPŁATA za udział w Konkursie, jako zwrot opłat pocztowych i innych w związku z urządzeniem Wystawy wynosi 5 Międzynarodowych Kuponów Pocztowych od uczestnika, bez względu na technikę i ilość prac.
13. WYSYŁKI GRUPOWE. Przy nadsyłaniu grupowym ze szkół polskich względnie kursów językowych i tp. obowiązuje opłata jak dla jednej osoby.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Książki

O Katyniu poprealistycznie

U schyłku ub. roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka pt. *Time Stopped at 6:30* — „Czas zatrzymał się o 6.30". Podtytuł na obwolucie wyjaśnia, że jest to „nie opowiedziana historia masakry katyńskiej" *(The Untold Story of the Katyn Massacre)*. Oczywista przesada, chwyt reklamowy. Już choćby bibliografia przytoczona przy końcu książki przeczy temu co napisano na obwolucie.

Literatura o zbrodni katyńskiej jest stosunkowo obszerna i chyba wyczerpująca. Pierwszą publikacją, wydaną w 1943 roku w Berlinie, był *Amtliches Material zum Massenmord von Katyn*. Ciąży nad tą pracą odium aparatu propagandy Trzeciej Rzeszy i tym chyba można wytłumaczyć fakt niekonsultowania jej przez autora ostatniej, rzekomo nie opowiedzianej historii. A szkoda! Następne, co najmniej dwie poważne prace, obie napisane przez Józefa Mackiewicza, ukazały się drukiem w parę lat po zakończeniu wojny: *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, z przedmową Władysława Andersa (bez podania nazwiska autora), zestawienie i krytyczne omówienie dostępnych podówczas dokumentów, głównie polskich, niemieckich i sowieckich; tudzież reportaże opracowane w szeregu języków obcych, m.in. w języku niemieckim pod tytułem *Katyn — ungesuehntes Verbrechen*, czy w angielskim: *The Katyn Wood Murders*. Najbardziej obszernym jednak i chyba kompletnym zbiorem dostępnych w wolnym świecie materiałów na temat zbrodni katyńskiej są tomy protokołów dochodzeń przeprowadzonych przez specjalną komisję Kongresu Stanów Zjednoczonych, wydane w 1952 roku pod łącznym tytułem *The Katyn Forest Massacre*.

Tak więc historia została już opowiedziana nie raz i nie dwa i coś nowego mógłby do niej wnieść tylko ten kto uzyskałby dostęp do archiwów NKWD, ale i to wątpliwe, bo jest więcej

niż prawdopodobne, iż po odkryciu grobów katyńskich wszelkie pozostałe materiały dotyczące jeńców polskich w ZSSR zostały pieczołowicie zniszczone. Tak więc sprawa jest zamknięta, przynajmniej w sensie ustalenia stanu faktycznego. Na podstawie dostępnych materiałów nikt już nie ogłosi rewelacji, może co najwyżej materiały te wykorzysta, do takiego czy innego przedstawienia, *raz jeszcze*, wybranego epizodu czy też całości zagadnienia.

Przed Tadeuszem Wittlinem, autorem *Time Stopped at 6:30*, uczynił to już, w 1962 roku, Janusz Kazimierz Zawodny, profesor nadzwyczajny *(associate professor)* University of Pennsylvania, w należycie udokumentowanym i rzeczowym, a równocześnie łatwo strawnym *(readable)*, reportażu: *Death in the Forest*. Ale i tu, w wypadku książki, mającej uzasadnione pretensje do naukowości, wydawca, University of Notre Dame Press, nie omieszkał zareklamować książki jako *first*, a więc „pierwszej obiektywnej odpowiedzi" na pytania: kto zabił tych ludzi, dlaczego zostali zabici, jak zostali zabici i tp.? Tak jakby na te pytania żadna z poprzednich publikacji nie znalazła odpowiedzi. A może chodziło o *obiektywne* odpowiedzi?

Niezależnie od motywów, jakimi kierują się amerykańscy wydawcy, można stwierdzić, że reklamowe łamańce na obwolutach książek rzadko mogą być źródłem wiadomości solidnych, a w niektórych wypadkach wręcz wprowadzają czytelnika w błąd, a to choćby dlatego, że książka swoje a obwoluta swoje. Tak też jest z książką Tadeusza Wittlina.

Wydawca, The Bobbs-Merrill Company, Inc., Indianopolis — Kansas City — New York, zlecił panu nazwiskiem Ben Feder wykonanie obwoluty, a to co Feder namalował i napisał odzwierciedla dokładnie to co amerykański Moryc wyobraża sobie o Katyniu. Tak więc jest fotografia pary rąk związanych sznurem, tak jak to widać na fotografiach pewnej liczby zwłok z mogił katyńskich, a nad tym swastyka tudzież sierp i młot. Bo niby coś tam mówiono, że to Niemcy, a niektórzy twierdzą, że to Rosjanie, ale licho ich wie, wstawmy i swastykę i młot i sierp, to jest intrygujące, to już ma posmak *whodunit*. Mystery! Suspense!* Należy też napisać, że książka jest „pierwszym pełnym i rzeczowym sprawozdaniem z tego okrutnego i krwawego przedsięwzięcia" (sic: *terrible and bloody enterprise)*, jakim było umieszczenie „tysięcy polskich jeńców wojennych w obozach koncentracyjnych na terenie całego ZSSR". Wobec wyczerpania przymiotników na określenie tak „krwawego przedsięwzięcia", jakim jest niewola, pozostaje nazwanie samej zbrodni katyńskiej „zdradziecką rzezią". Zdradziecką zaś dlatego że nastąpiła ona właśnie po uzgodnieniu zwolnienia jeńców w porozumieniu Stalin-Sikorski. *(„For after the release of the prisoners was negotiated in the Stalin-Sikorski Declaration came the treacherous*

* Od *who-done-it*, kto to zrobił, kto jest sprawcą. Neologizm (od 1930) amerykański używany na określenie powieści detektywistycznej.

slaughter of thousands of Poles in the notorious Katyn Forest Massacre".) Tak w każdym razie twierdzi Moryc z Indianopolis. Wprawdzie zapewnia on, że tu, w tej „wyjątkowej książce", Tadeusz Wittlin udowadnia, „ponad wszelką wątpliwość", że sprawcami tej zbrodni są Rosjanie, ale mimowoli podtrzymuje tezę sowiecką, że zbrodnia została dokonana *po* inwazji Niemców na Rosję.

Jak wiadomo, data zbrodni katyńskiej jest elementem kluczowym w ustaleniu sprawcy. Wysiłki propagandy sowieckiej szły od początku w kierunku przesunięcia tej daty na okres po lipcu 1941, bo właśnie w lipcu 1941 rejon Smoleńska, z laskiem katyńskim włącznie, znalazł się w rękach niemieckich. Wszystkie dowody wskazują niezbicie na wiosnę 1940 roku jako datę wymordowania jeńców pod Katyniem. Tak więc wszystko co wprowadza bodaj element wątpliwości odnośnie tej daty jest na rękę propagandzie sowieckiej.

Za ten mętlik na obwolucie nie jest oczywiście odpowiedzialny autor książki. Obwoluta przeciera się, w końcu odpada. Czy odpada wrażenie wzrokowe czytelnika, który przebiegł oczyma obwolutę, a książki nie przeczytał, to inne zagadnienie. W każdym razie, mając niejakie pojęcie o amerykańskim rynku wydawniczym, gotów jestem uwolnić autora od winy i kary za obwolutę, zwłaszcza jeśli mu bardzo zależało na tym, by książka się ukazała.

A że mu zależało, to widać nie tylko z harców Moryca na obwolucie, ale z wyraźnych śladów współpracy autora z tzw. *sob sister*, płaczką redakcyjną, co to każdy opis przyprawi odpowiednim sosem pod smaczek przeciętnego czytelnika, pod kasę, by książka szła.

Weźmy taki przykład. Dnia 25 kwietnia 1940 pozostało w obozie w Starobielsku zaledwie 39 jeńców. „Czas się dłużył" — stwierdza autor. Więźniów opanowała niecierpliwość przed spodziewanym wyjazdem, obojętność wobec otaczającego świata. „Nie czyszczono już źle pokrytych latryn. Unosiły się nad nimi widoczne z dala chmary czarnych much. Co dzień ktoś umierał". 12 maja Józef Czapski w grupie 19 jeńców zostają wywiezieni z obozu. Pozostało jeszcze 10 oficerów. Coś się w tym opisie nie zgadza. Już nie chodzi o to, ilu jeńców zmarło w ciągu owych 16 dni. Zagadnienie sprowadza się do tego, że żaden z autorów źródeł, na jakie powołuje się Tadeusz Wittlin, nie wzmiankuje o choćby jednym wypadku śmierci w omawianym okresie. Ale wydawnicza płaczka, przeczytawszy o owych chmarach czarnych much, uznała za wskazane dodać: *There was a death daily* (str. 199). Bo niby jak przeciętny, aseptyczny czytelnik amerykański mógłby sobie wyobrazić, by w tych warunkach nie umierał bodaj jeden człowiek na dzień.

Niby drobiazg. Nie ma o co „przyczepiać się". Gdybyż to był jedyny „drobiazg" w tej książce; gdyby jej wady ograniczały się do takich tylko drobiazgów!

Oto Tadeusz Wittlin, prawdopodobnie wspólnie z wydawniczą

płaczką, czytają *Wspomnienia Starobielskie* Józefa Czapskiego i na tej podstawie piszą, że wkrótce po przybyciu do Starobielska Czapski zachorował na suchoty, lecz „pomimo tej choroby, zmuszano go w dalszym ciągu do codziennej ciężkiej pracy" (str. 77). Dopiero gdy dostał krwotoku zabrano go do szpitala.

A co na ten temat Czapski? Mam to samo wydanie *Wspomnień Starobielskich*, z 1944 roku, jakim posługiwał się Tadeusz Wittlin. Na str. 35 Czapski pisze: „Bardzo prędko po przybyciu do obozu zachorowałem na płuca. Z 40-stopniową gorączką, plując krwią, dostałem się do izby chorych". Ani słowa o pracy, zwłaszcza o ciężkiej pracy. Owszem, na str. 22 tej skromnej objętościowo książeczki Czapski przyznaje:

„Osobiście byłem uprzywilejowany. Uznany przez lekarzy za chorego na płuca byłem jedynie obciążony pracami wewnętrznymi, myciem wiader od zupy, myciem podłóg, skrobaniem kartofli lub noszeniem skrzyń i worków".

Czapski jest jedną z czołowych postaci opisu Tadeusza Wittlina, toteż nie na tym kończy się inwencja. Swoje wspomnienia z przesłuchań przez oficerów NKWD pomieścił Czapski na jednej stronicy (42) swej książeczki. Tadeusz Wittlin zużył do tego celu ośmiu stronic (78-85). Czapski pisze: „Badało mnie trzech: gruby, uperfumowany NKWD-sta, Żyd i dwóch nadzwyczaj prymitywnych NKWD-stów Rosjan". W wersji Tadeusza Wittlina zdanie to rozrasta się do takiego ustępu:

> „W słabym świetle lampy stołowej, ocienionej zielonym kloszem, Polak usiłował dojrzeć twarze swych inkwizytorów. Po środku siedział rosły mężczyzna o ciemnej cerze, o okrągłej jak księżyc w pełni twarzy, na której wyróżniały się duże worki pod okrągłymi, wodnistymi oczyma o smutnym, melancholijnym wyrazie, tak często zdradzającym usposobienie sadystyczne. Po jego lewej ręce siedział mały, skośnooki Kirgiz, o twarzy silnie poznaczonej dziobami ospy. Trzeci inkwizytor był typowym rosyjskim chłopem. Palił właśnie papierosa sporządzonego własnoręcznie z surowego, czarnego tytoniu, skręconego w długą rurkę z gazetowego papieru, a równocześnie był pochłonięty obcinaniem paznokci scyzorykiem. Nie można było zorientować się, czy byli oficerami, ponieważ funcjonariusze NKWD ukrywali zwykle swój stopień, przywdziewając mundur zwykłego żołnierza".

Następne ustępy poświęcone są usiłowaniom oficerów śledczych wydobycia z Czapskiego przyznania się albo do udziału w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku albo do syfilisa. Rozumowanie oficerów śledczych sprowadzało się bowiem do schematu: jeśli Czapski jest rotmistrzem rezerwy, to jest to stopień niezwykle wysoki jak na polskie stosunki, a więc dostał on rotmistrza za udział w wojnie 1920 roku. Jeśli twierdzi, że w roku 1920 był chory, to mógł być chory tylko na syfilis, bo jest to choroba typowa dla zgniłego Zachodu.

O tym wszystkim dowiedzieć się można z książki Tadeusza Wittlina. Tylko i wyłącznie z tej książki. Czapski w swych *Wspomnieniach* przytacza jedynie fragment przesłuchania zawierający, jak pisze, „elementy humorystyczne". Chodzi o podejrzenie, że

był szpiegiem polskim wysłanym do Paryża dla narysowania planu miasta. Historia humorystyczna post factum, a nie wtedy gdy „od jednego niebacznego słowa" zależał los jeńca, przyznaje Czapski. Tadeusz Wittlin postanawia wytłumaczyć amerykańskiemu czytelnikowi, stara się — mówiąc językiem *politgramoty* — *„rozjasnit' masie"* rodzaj groźby wiszącej nad głową bohatera: „Przesłuchiwany Polak powziął obawę, że inkwizytor zastosuje tortury, celem zmuszenia go do przyznania się, że był szpiegiem, po czym zostanie zastrzelony".

Drugą ofiarą specjalnych zabiegów spółki autorskiej Tadeusz Wittlin & Sob Sister jest jeniec Kozielska, kobieta, porucznik pilot Janina Lewandowski. (Z niewiadomych mi pobudek, Tadeusz Wittlin uporczywie używa w swej książce męskiej odmiany nazwiska na określenie Janiny z Dowbór-Muśnickich Lewandowskiej. Równie denerwująca dla polskiego czytelnika jest zamerykanizowana pisownia polskich imion, np. Vatzlav, a nawet nazwisk, np. Niemirowicz-Stzytt, co ma oznaczać Niemirowicz-Szczyt. Pod tym względem książka prof. Zawodnego może służyć za wzór pieczołowitości w zachowaniu oryginalnej pisowni imion i nazwisk).

W książce *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* poświęcono Janinie Lewandowskiej około półtorej strony (str. 37 i 407 wydania z 1950 roku), podkreślając, że była córką gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, że brała udział w konspiracyjnym życiu religijnym obozu, z powodu czego miała przykrości ze strony władz obozowych, oraz że czyniła starania, by ją wywieziono z obozu wraz z grupą jej bliskich znajomych. Wszystkie te, raczej lakoniczne, dane Tadeusz Wittlin usiłuje zbeletryzować, dodając trochę taniego sexu. Tak więc w scenie *Sex No. 1* oglądać można sowieckiego podoficera, odurzonego zapachem świeżo umytych włosów 30-letniej Polki i błagającego ją o „pocałunek, jeden krótki pocałunek, jak od siostry". Scena kończy się ciśnięciem przez Janinę metalowym kubkiem w okno, na co Rosjanin reaguje wyjściem z izby i oświadczeniem: *„W poriadku"*. (Poprawnie po rosyjsku byłoby: *„w poriadkie")*. W scenie *Sex No. 2* tenże sowiecki podoficer jest bardziej agresywny, ale dostaje po zębach, wobec czego spiesznie rejteruje, nie zauważywszy nawet, że cios wymierzył mężczyzna.

Po Janinie Lewandowskiej ślad zaginął. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że została zamordowana w Katyniu. Wiadomo jest, że w jednym z grobów znaleziono zwłoki kobiety. Niemcy, nie wiedząc o tym, że wśród jeńców Kozielska była kobieta, byli w kłopocie, czym wytłumaczyć znalezienie jej zwłok wśród tysięcy mężczyzn. Stąd, „jest rzeczą charakterystyczną, że podczas kiedy wycieczkę dziennikarzy w Katyniu w kwietniu 1943 poinformowano, że w odkrytych grobach, obok zwłok oficerów, znaleziono zwłoki jednej kobiety, oficjalny komunikat niemiecki nic o tym nie wspomina" *(Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, str. 407).

Stąd też w *Amtliches Material zum Massenmord von Katyn*

nazwisko Janiny Lewandowskiej nie figuruje, jak też brak jest w spisie zwłok nie zidentyfikowanych jakiejkolwiek wzmianki o kobiecie. Również Adam Moszyński w swojej *Liście Katyńskiej* (Londyn, 1949) podaje jedynie Janinę Lewandowską jako zaginioną, nie wysuwając nawet hipotezy jej tożsamości ze zwłokami kobiety znalezionymi w Katyniu. Natomiast Tadeusz Wittlin stwierdza bez ogródek:

> „Ku zdumieniu członków komisji badawczej, wśród zwłok umieszczonych na stołach prosekcyjnych znalazło się ciało kobiety. Została ona zidentyfikowana jako Janina Lewandowska (Mrs. Janina Lewandowski)..." (str. 269).

Równie bezpardonowo rozprawia się Tadeusz Wittlin z losem szeregu innych bohaterów swej opowieści. Tak więc na str. 269 pisze, że „wśród zwłok znalezionych w siedmiu masowych grobach były ciała" następujących osób: admirał Ksawery Czernicki, płk lek. Jan Władysław Nelken i por. Wacław Kruk. To nieprawda. Żaden z tych ludzi nie został zidentyfikowany w grobach katyńskich. Los ich jest po prostu nie znany. Figurują na liście *zaginionych*, byłych jeńców Kozielska. Nie na tym koniec. Oto na tej samej str. 269 Tadeusz Wittlin umieszcza w grobach katyńskich następujące osoby: ksiądz płk Czesław Wojtyniak, ks. mjr. Józef Nowak, ks. Albin Szwed, gen. dyw. Henryk Minkiewicz oraz mech. lotn. Feliks Paupa. To też jest nieprawda. Żaden z nich nie został zidentyfikowany w Katyniu. Wszyscy są na liście zaginionych, byłych jeńców Kozielska, a w wypadku ks. Szweda również b. jeńców Ostaszkowa.

Dlaczego właśnie tych ludzi umieścił Tadeusz Wittlin na liście ofiar katyńskich? Dlaczego nie wybrał innych spośród około 3.000 definitywnie zidentyfikowanych w lasku katyńskim? Chyba tylko dlatego, że były to jednostki odgrywające w społeczności jenieckiej pewną rolę, czy to ze względu na stopień czy też funkcję lub cechy indywidualne. Nazwiska te występują często w relacjach byłych jeńców Kozielska. Stąd też Tadeusz Wittlin uczynił ich bohaterami swej opowieści. A że opowieść pisał pod smaczek najbardziej przeciętnego amerykańskiego czytelnika, czyli według wymogów poprealizmu, tamtejszej odmiany socrealizmu, należało — w braku *happy end* — wybrać odwrotną skrajność, a więc śmierć w grobach katyńskich. Bo napisać, że zaginiony, *missing*, to jakoś tak nijako. A nuż się odnajdzie i cały dramat na nic. Więc admirałów, generałów i kapelanów należy wrzucić do grobów masowych. Dlaczego jednak wśród tych prominencji znajduje się skromny mechanik lotniczy? Czymże on zasłużył na to „wyróżnienie"? Otóż w scenie *Sex No. 2* (str. 116-117) on to, mechanik lotniczy Feliks Paupa, wali w zęby sowieckiego podoficera łasego na wdzięki Janiny Lewandowskiej.

Tadeusz Wittlin uśmiercił pod Katyniem również dwie osoby żyjące. Są to: płk Marian Romeyko, mieszkający w Australii, oraz artysta rzeźbiarz Tadeusz Zieliński w Londynie.

W pierwszym wypadku, płk Mariana Romeyki, istnieją po-

ważne okoliczności łagodzące winę Tadeusza Wittlina, choć trudno by mi było powiedzieć, by go zwalniały z zarzutu lekkomyślności. Przystępując do tematu tak poważnego i ponurego jak zbrodnia katyńska, obojętne czy autor podchodzi do zagadnienia ściśle naukowo (jak J. K. Zawodny) czy beletrystycznie (co usiłuje uczynić Tadeusz Wittlin), jest on zobowiązany do bezwzględnie dokładnego sprawdzenia wszystkich danych we wszystkich poważnych źródłach. Jednym z tych poważnych — mimo odium propagandy — a nieodzownych źródeł jest *Amtliches Material zum Massenmord von Katyn*, z którego właśnie Tadeusz Wittlin *nie* korzystał. Dlatego też powtórzył za Adamem Moszyńskim *(Lista Katyńska)* fałszywą informację, jakoby zwłoki nr 1660 zostały zidentyfikowane jako płk Mariana Romeyki. Nie wiem, czym wytłumaczyć fakt, że w opracowaniu tak poważnym jak *Lista Katyńska*, do którego autor podszedł wprost z pietyzmem i skromnością cechującą zwykle solidną robotę, znalazł się tak poważny błąd. Odpowiedni zapis na *Liście Katyńskiej* wygląda następująco:

> *Romeyko Marian*, w mundurze, karta szczep. 4011, kartka z adresami włoskimi, papierośnica, adres: Italia-Roma, via Botthege Oscaro 32, Palazzo Chateau, Colonel Romejko Marian (AM 1660).

Nie uzasadnione jest tu powołanie się na *Amtliches Material* (ów skrót AM), albowiem w spisie niemieckim zwłoki nr 1660 nie zostały zidentyfikowane inaczej niż *Uniformierter*, umundurowany, względnie — jak cytuje Moszyński — w mundurze. Przytaczam oryginalny tekst:

> *1660. Uniformierter. Impfschein 4011, 1 Zettel mit ital. Adressen, 1 Zigarettenetui, Adresse: Italia-Roma, Via Botthege Oscare 32, Palazzo Chataui, Colonel Romejko Marian.*

Uważny badacz dostrzeże w obu zapisach błędy w pisowni adresu i nazwiska. Osc*a*ro względnie Osc*a*re, zamiast Oscure. Wystarczy znać trochę Rzym, niekoniecznie gramatykę włoską, by dostrzec błąd. Ponadto ten kto zna język włoski poprawi pisownię Bott*h*ege na Botteghe. Via Botteghe Oscure, ulica Ciemnych Sklepów. Drugi błąd bardzo istotny to Rome*j*ko, przez jot zamiast przez ygrek.

A teraz pytanie: czy jest prawdopodobne, by przedwojenny polski *attaché militaire* w Rzymie nie znał pisowni ulicy, przy której mieszkał? I drugie pytanie zasadnicze: kto robi błędy w pisowni własnego nazwiska?

Wniosek oczywisty: zwłoki, przy których znaleziono błędnie zapisany adres płk Mariana Rome*j*ki, nie mogły być zidentyfikowane z płk Marianem Romeyką. Co więcej, błędy adresu i pisowni nazwiska wykluczały taką identyfikację, wyłączały płk. Mariana Romeykę spośród możliwości identyfikacji.

Rozważania te, cały wywód logiczny, są oczywiście bezprzedmiotowe wobec faktu, że płk Marian Romeyko żyje, mieszka w

Australii i daje często o sobie znać w prasie krajowej, do której zaczął pisywać od 1958. „Wojskowy Przegląd Historyczny" zamieścił szereg jego wspomnień z okresu przed i pomajowego (1926); jego wspomnienia ukazały się również w „Tygodniku Demokratycznym" a nawet w „Przekroju".

Sprawa wygląda cokolwiek inaczej odnośnie Tadeusza Zielińskiego, którego Tadeusz Wittlin uśmiercił pod Katyniem nie przez pomyłkę i nie pomimo, lecz *wbrew* faktom dostępnym autorowi *Time Stopped at 6:30*. W tej poprealistycznej opowieści o życiu jeńców polskich w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, „kapitan" Tadeusz Zieliński, „z zawodu rzeźbiarz", należy do galerii bohaterów, raz jako ten który pracuje nad płaskorzeźbą w drzewie przestawiającą Madonnę z Dzieciątkiem, to znów (jako Tad Zielinski) podejmuje się wyrzeźbienia szopki bożenarodzeniowej. Jest oczywiste, że byłoby niepoprealistycznie, gdyby taki człowiek, nie daj Boże, wyrwał się z rąk bolszewickich. Więc na str. 268 Tadeusz Wittlin pisze co następuje:

> ... „zwłoki nr 1591 zostały zidentyfikowane jako kapitan artylerii Tadeusz Zieliński, ten sam oficer rezerwy i artysta rzeźbiarz w życiu cywilnym, który wyrzeźbił w drzewie Matkę Boską z Dzieciątkiem; rzeźbę udało się wywieźć z Kozielska jednemu z jego ocalałych przyjaciół, który przekazał ją Wolnej Armii Polskiej, gdzie — poświęcona przez kapelana wojskowego — zdobiła ołtarz polowy polskich wojsk jako Matka Boska Kozielska".

Nie takie były zamiary rzeźbiarza. Pracując nad płaskorzeźbą, marzył o dowiezieniu jej do „swego miasta" Jarosławia, gdzie zdobiłaby ołtarz wotywny w kościele. Tak w każdym razie twierdzi (na str. 100) poprealistyczny pisarz Thaddeus Wittlin.

Skąd ten Jarosław? Z kwitu Urzędu Skarbowego w Jarosławiu, jaki istotnie znaleziono w Katyniu przy zwłokach nr 1591 kpt. rez. art. Tadeusza Zielińskiego. Tylko *kapitan* Tadeusz Zieliński, były jeniec Kozielska, i *porucznik* Tadeusz Zieliński, też były jeniec Kozielska, to dwie osoby. I niech Tadeusz Wittlin nie usiłuje tłumaczyć się, że się pomylił, że przeoczył! W jego książce jest reprodukcja obrazu Matki Boskiej Kozielskiej z wyjaśnieniem, że płaskorzeźbę wykonał „pewien polski jeniec wojenny zabity pod Katyniem". Tadeusz Wittlin korzystał z książki *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, w której jest również owa reprodukcja opatrzona następującym objaśnieniem:

„Matka Boska Kozielska. Płaskorzeźba wykonana przez por. Tadeusza Zielińskiego w obozie kozielskim. Twórca zdołał wywieźć szczęśliwie obraz, który następnie zdobił ołtarz polowy Dowództwa Armii Polskiej w ZSSR".

Rzeźbiarz Tadeusz Zieliński żyje w Londynie. Jego adres i zawód podaje *Rocznik Polonii*. Żeby nie było wątpliwości: *sculptor, woodcarver*. W jednym z ostatnich numerów „Kultury" (1/219-2/220) Zygmunt Turkiewicz w przeglądzie „Wystaw londyńskich" pisał, że „Cassel Gallery zorganizowała wspaniałą wystawę rzeźby Tadeusza Zielińskiego" (str. 199).

Można by machnąć ręką, powiedzieć sobie i ostrzec innych, że książka Tadeusza Wittlina nie może służyć za źródło informacji wiarygodnych, że zawiera poważne błędy. Można by ją pominąć milczeniem, gdyby nie fakt, że temat jest zbyt poważny i ponury zarazem. Ponadto jest to temat niesłychanie delikatny, wokół którego propaganda komunistyczna stara się celowo wytworzyć atmosferę niejasności, jakichś momentów wątpliwych, argumentów sprzecznych, jednym słowem atmosferę, jaka sprzyjałaby konkluzji, że z tym Katyniem to jednak nie wiadomo jak to tam było. Dlatego też każdą publikację przyczyniającą się do zaciemniania sprawy, obojętne przez kogo napisaną, należy uznać za szkodliwą i publicznie się od niej odciąć i to możliwie szybko, zanim zostanie wykorzystana przez propagandę komunistyczną. Niestety, *Time Stopped at 6:30* jest właśnie taką szkodliwą publikacją. Już nie chodzi o to, czy służy tzw. sprawie (polskiej), chodzi o to, że nie służy prawdzie.

Zapoznawszy się z tak surowym osądem treści, czytelnik ma prawo spodziewać się bodaj paru słów na temat formy. Bo może się zdarzyć że fakty cierpią, lecz forma jest tak mistrzowska, że czytelnik macha ręką na oczywiste łgarstwo delektując się stylem, pięknem języka, nurtem słowa.

Niestety, Tadeusz Wittlin uczynił wszystko, by takich przeżyć czytelnikowi poskąpić. Posłużmy się przykładami. Oto parę fragmentów z *Listy Katyńskiej*, na podstawie których autor *Time Stopped at 6:30* opisuje scenę otrzymania poczty w obozie jenieckim.

> *Kostkiewicz Bolesław*... fotografia z dedykacją: Twoja za Tobą tęskniąca żona — 13. 2. 40, Lwów".
> *Przybyszewski Makary*... fotografia z dedykacją: „Dla wspomnień z przeszłości na przyszłość — Irena Gutkowska".
> *Saenger Franciszek*, ur. 30. 1. 78, ppłk lek. wet.... list z Detroit w USA.

Te krótkie zapisy w „literackim" opracowaniu Tadeusza Wittlina wyglądają następująco:

> Kapitan Bolesław Kostkiewicz ze łzami w oczach całował uporczywie podpis u spodu listu: „Tak bardzo tęsknię za Tobą. Twoja żona. Lwów, 13 lutego 1940".
> Podchorąży Przybyszewski otrzymał od swej najdroższej fotografię z dedykacją: „Dla wspomnień z przeszłości na przyszłość — Irena Gutkowski".
> Ppłk Franciszek Saenger dostał wiadomość od swego ojca w Detroit, Michigan.

(Wybrałem te trzy przykłady na chybił trafił. Charakterystyczne jest, że każdy z nich obrazuje inną słabość autora: wprost chorobliwą skłonność do koloryzowania. Na *Liście Katyńskiej* brak jest danych odnośnie stopnia Kostkiewicza i Przybyszewskiego. Brak jest również wzmianki o adresacie z Detroit. Cóż robi nasz poprealistyczny literat? Mianuje Kostkiewicza kapitanem, Przybyszewskiego podchorążym, a 62-letniego Saengera obdarza papą w Detroit!)

Inny fragment tej samej sceny:

> Jeden z jeńców dostał fotografię swego trzyletniego synka siedzącego to na kucyku to na wielbłądzie w ogrodzie zoologicznym; inny znów pocztówkę podpisaną przez dzieci, Zofię, Marię i Bogusia; jeszcze ktoś inny fotografię z dedykacją „Naszemu Kochanemu Stasiowi — żona i córka Krystyna"; albo inny znów jeniec dostał zdjęcie ładnej dziewczyny z dedykacją „Tęsknię za Tobą — Maria". Ktoś tam inny dostał tylko parę słów pozdrowienia: „Niech Cię Bóg strzeże — Twoja żona Stacha"; inny zaś fotografię swej dziewczyny z napisem „Niech Cię Bóg zachowa w Swej opiece!"

Co to jest? — zapyta zdumiony czytelnik. A no, „literacka" przeróbka *Listy Katyńskiej*, konkretnie opisu dokumentów znalezionych przy nie zidentyfikowanych zwłokach.

Każdy kto przejrzał *Listę Katyńską* nie mógł nie zauważyć, ile dramatu, jaki ładunek ludzkiej tragedii mieści się w każdym prawie prostym, bezpretensjonalnym zapisie. Weźmy choćby taki: — w mundurze, medalik, telegram w jęz. ros. treści: „Zdrowa mieszkam Szarkowszczyzna. — Bądź spokojny — Maria".

Te rzeczy i sprawy proste a poważne Tadeusz Wittlin spłycił, wymienił na drobne.

Józef Czapski wspomina, że w obozie starobielskim „marne głośniki radiowe od rana do nocy ryczały, chrypiały jak w całej Rosji 'kawałki' propagandowe, antypolskie, przeplatane... Chopinem. (Nawet poprzez podłe radio nagły strzęp etiudy, nokturnu czy sonaty olśniewał i wzruszał)" (str. 18). U Tadeusza Wittlina wygląda to następująco: „Nieśmiertelna muzyka Chopina, w wykonaniu doskonałego pianisty, spływała z głośników do pomieszczeń barakowych" (str. 68). Do tej cerkwi przekształconej w więzienie „dla polskich patriotów i obrońców ojczyzny" (str. 56). Nie samym Chopinem żyje jednak patriota polski. Prócz „kojącej muzyki etiudy Chopina" (str. 72), jeńcy polscy, po zorganizowaniu własnej kapeli, urozmaicali sobie czas „polkami i skocznymi pieśniami ludowymi" (str. 89).

Czuli też byli na poezję. Chętnie więc słuchali recytacji z ostatniego tomu Lecha Piwowara „Z drogi". „Ten tom poezji opiewającej ducha polskiego, ukochaną ojczyznę i wolność, ożywiał serca i umysły słuchaczy" (str. 126). Czasem jednak jeńcy polscy wyzwalali się z patriotycznej euforii, a wtedy wdawali się w niepotrzebne dyskusje polityczne, kończące się wyzwaniem na pojedynek. „Jednakże pojedynków unikano, ze względu na obecność gen. Wołkowickiego, który zabronił pojedynkowania się, a również dlatego, że brakło odpowiedniej broni" (str. 211). Splot przyczyn prawie identyczny z tym, jakim ów niemiecki burmistrz usiłował wytłumaczyć Napoleonowi, dlaczego nie powitał go biciem w dzwony: w miasteczku nie było dzwonów.

Budujące natomiast było zachowanie się kapelanów wojskowych, zwłaszcza w dniu wigilijnym. „Katoliccy i protestanccy ka-

pelani, pogrążeni w modłach od samego rana, pracowali w skupieniu nad kazaniami, jakie mieli zamiar wygłosić tego wieczora" (str. 167). Tylko główny rabin Polskich Sił Zbrojnych Baruch Steinberg nie przygotowywał kazania. Grał spokojnie w szachy, ale i on czekał na wigilię, by „wspominać Polskę". Na razie zaś wspominał swój pobyt w Hajfie: „Czarujące miasto — Góra Oliwna, piękne Morze Śródziemne" (str. 152). Trudno zgadnąć, czy od nadmiaru wspomnień, czy od tej niewoli, pomieszała mu się Góra Oliwna z Karmelem, Hajfa z Jerozolimą...

Kazimierz ZAMORSKI

O historii Polski prof. Rhodego

W drugiej połowie ubiegłego roku ukazała się w Niemczech nowa praca znakomitego historyka, prof. Gotthold Rhode, pt. „Kleine Geschichte Polens" (Mała historia Polski)*. Jest to książka niedużego formatu, ponad 500 stron ścisłego druku, z indexem nazwisk, wykazem nazw geograficznych i rzeczowych, z kilkoma tablicami genealogicznymi. Obejmuje całość historii Polski od pra-początków do roku 1939, ujętą w dziewiętnastu rozdziałach, z uwzględnieniem w każdym spraw ustrojowych, stanowych (społecznych), kościelnych, prawnych, zwyczajowych etc. W niejakim skrócie, podział ten wygląda jak następuje:

I. Początki państwa, chrystianizacja i td. — II. i III. Wczesne państwo Piastów 992-1138. — IV. Okres Księstw Udzielnych do 1320 r. — V. Nowe królestwo za ostatnich Piastów do 1370 r. — VI. Państwa udzielne i odrodzenie królestwa. — VII. Zmienne Unie z Węgrami i Litwą. — VIII. Droga do państwa szlacheckiego. Potęga i słabości Jagiellonów. — IX i X. „Złoty wiek" mocarstwa i rozkwit kulturalny do 1570. — XI. Pierwsi królowie obieralni. — XII. Katastrofy i ponowne odrodzenie. Cofanie na wschodzie 1648-1696. — XIII. Polityczny upadek i gospodarcza prosperity za Sasów. — XIV. Reformy i rozbiory do 1795. — XV. Ku odzyskaniu niepodległości, do 1815. — XVI. Sprawa polska w Europie. Powstania i walki „za naszą i waszą wolność". — XVIII. Na progu niepodległości. Sprawa polska w pierwszej wojnie światowej. — XIX. Dwudziestolecie Rzeczypospolitej Polskiej.

Jest to więc krótki, — choć nie można by go nazwać: „popularny" — podręcznik historii Polski. Cechuje go przejrzystość, jasność sformułowań, ułatwiająca zorientowanie tym którzy nie

* Wissenschaftliche Buchgesellschaft, Darmstadt, 1965. Str. 543 z Indeksem nazwisk i miejscowości oraz trzema tablicami genealogicznymi.

obeznani byli dotychczas z przedmiotem, oraz — co jest szczególną cechą twórczości prof. Rhode — talent narracyjny, który pozwala na czytanie historii jak... ciekawej historii.

Ten „mały" podręcznik stanowi tylko ułamek wielkiego, naukowego dorobku tego historyka, poświęconego głównie wschodniej Europie, a Polsce w szczególności.

◆

Mówiąc o twórczości prof. Rhode należałoby przede wszystkim wskazać na jego monumentalne dzieło, pod niesłusznie zacieśnionym tytułem: „Die Ostgrenze Polens". Dzieło, które w istocie jest jednym z najciekawszych wkładów do znajomości polsko-rusko-litewsko-węgiersko-moskiewsko (nowogrodzkich, pskowskich) — tatarskich powikłań. Dotychczas ukazał się tylko pierwszy tom, obejmujący czasy do końca Witolda. (A propos: prof. Rhode zwraca uwagę, że imię naszego wielkiego supremus dux Lituaniae, Witold, było w różny sposób wymawiane przez współczesnych, i uwiecznione w dokumentach litewskich, ruskich, polskich i krzyżackich, ale nigdy i nigdzie w brzmieniu: „Vytautas. Vytautas jest sztuczną formą późnego nacjonalizmu litewskiego, nic z historyczną autentycznością nie mającą wspólnego). Książka ta istotnie poświęcona jest kształtowaniu się i definicji tego, co z płynności ówczesnych czasów przenosimy w pojęcie „wschodniej granicy" (a bywała o 100 wiorst od Moskwy!). Wszakże całość fascynującego splotu wydarzeń, zazębień rodzinno-spadkowych, spraw ludzkich i „boskich" ambicji, które na kształtowanie tych „granic" wpływało, waży tu gatunkowo więcej niż sam problem i znaczenie linii granicznej. Dzieło to zawiera rodowody wszystkich panujących domów książęcych polskich, litewskich i ruskich, liczne kolorowe mapy, a sam index źródeł wypełnia gęsto 50 stronic! W ten sposób skromny tytuł całości pomniejsza niejako treść. Niestety, zapowiedziany drugi tom nie ukazał się dotychczas, mimo upływu dziesięciu lat.

Jest rzeczą zrozumiałą, że z tego monumentalnego dzieła jedynie główne zarysy przedostać się mogły na stronice „Małej Historii Polski".

◆

Historia będzie zawsze aktualna, gdyż wszystko co jest, jest tylko dalszym ciągiem. Dlatego uczeni historycy usiłują uwypuklić tzw. punkty zwrotne, które wpłynęły na taki czy inny bieg późniejszych wypadków. Ale te punkty zwrotne podlegają z kolei różnym interpretacjom, zaprzeczeniom i polemikom, najczęściej w zależności od aktualnej postawy politycznej, aktualnego „raison", czy aktualnych aspiracji narodowych. O ile minione dzieje niezaprzeczalnie wpływają na ukształtowanie bieżącej „racji stanu", o tyle bieżąca „racja stanu", czy racja narodowa, decyduje za często o interpretacji historii. Po prostu mówiąc, historiogra-

fia zostaje adoptowana przez współczesne wymogi. To są rzeczy nazbyt znane, aby je tu rozwijać. Z chwilą gdy do naświetleń rozlicznych interesów państwowo-narodowych doszła jeszcze oficjalna interpretacja marksistowska, nauka historii bywa przeistaczana wprost z tego co było, w coś co powinno było być, zgodnie z obowiązującą doktryną. Zatraca przez to sens, i uzależnia się już nie tylko od polityki, ale często od propagandy. Dziś jest z tym gorzej niż kiedykolwiek przedtem.

Dlatego nie będąc ortodoksyjnym historykiem zawodowym, czy chociażby reprezentantem ortodoksyjnej linii narodowej, trudno podjąć się oceny dzieła historycznego na sposób, jakby to uczynił klasyk obowiązującej szkoły. Często nie mam pojęcia na ile, i o ile ten lub inny szczegół z historii Polski pokrywa się, lub akurat nie pokrywa z doktrynalnym przedstawieniem. Osobiście czytam historię jak trochę otrzaskany z nią laik, tzn. taki który bywa albo nie bywa przekonany tekstem. A sądzę, że najbardziej przekonywujące są te teksty, które pozwalają czytelnikowi na wyrobienie własnego zdania, niezależnie od sugestii autora, lub nawet na przekór tezom narzucanym przez historyka. Swojego czasu czytałem dzieło Kolankowskiego, „Dzieje W. Ks. Litewskiego" i nabrałem do autora respektu przez to że narzucały mi się wnioski wręcz odwrotne. Kolankowski w podsumowaniu stwierdzał apodyktycznie, że Jagiełło stał o głowę wyżej od Witolda i był właściwym spiritus movens, ja zaś odniosłem wrażenie że autor w swoim własnym dziele, dowiódł przeciwnie, że Witold pod każdym względem przewyższał Jagiełłę. Naturalnie, subiektywne przekonania nie decydują o obiektywnej słuszności. Sam fakt jednak rozbudzenia ich w czytelniku w trakcie lektury, świadczy o dużym obiektywiźmie dzieła. To znaczy maksymalnym zbliżeniu do źródeł prawdy. Bo od samej prawdy zawsze będziemy bardzo jeszcze odlegli.

W moim np. przekonaniu, które wyrobiłem w sobie na podstawie lektury wielu prac, klęska nad Worsklą w 1399 stanowiła decydujący punkt zwrotny w historii Europy wschodniej (i Polski, i Litwy, i wszystkiej Rusi). U prof. Rhode'ego znajduję raczej potwierdzenie mego osobistego przekonania. Podczas, gdy w klasycznej historii Polski, ta wielka przegrana z Tatarami bitwa nie zajmuje tak poczesnego miejsca jakie by, moim zdaniem, w obliczu jej konsekwencji zajmować powinna.

Wszystkie, znane dotychczas przedstawienia Unii Lubelskiej, budzą we mnie posmak niejakiej wątpliwości. Nie umiem oprzeć się wrażeniu, że czegoś tu brakuje, że istnieje jakowaś poważna luka. Jest wprawdzie wypełniona pięknym krasomówstwem i podkreśleniem dobrowolności szlachty ruskiej co jednak, moim zdaniem, nie wystarcza do uzasadnienia istotnej przyczyny takiego fenomenu, jak raptowne przepołowienie Wielkiego Księstwa, i odejście wszystkich ziem Ukrainnych, łącznie z Kijowem, do Korony. Nie wiem, czy w zapowiedzianym, obszernym dziele rozpracuje prof. Rhode dokładniej sprawę Unii Lubelskiej. W „Małej Historii" ogranicza się raczej do schematu utrwalonego w

polskiej historiografii, którą bym nazwał w tym wypadku: tradycjonalistyczną. Być może źródła po temu już nie istnieją. Być może nigdy nie dowiemy się całej prawdy. A, być może, rzecz się istotnie tak miała jak to przedstawiają klasycy historii polskiej?

To są uwagi na marginesie, mające tylko zilustrować moje własne podejście do książki z dziedziny historii. W tej liczbie i do historii Polski, pisanej przez prof. Rhode. Nie szukam w niej zgodnych lub niezgodnych z tezą narodową interpretacji, lecz po prostu rzeczy ciekawych i pouczających, które przemawiają do mego przekonania i mojej wyobraźni. Osobiście w twórczości Rhodego wyczuwam tę pasję do obiektywizmu dla obiektywizmu samego, jak bywa sztuka dla sztuki. Pasję szperacza, wyszukania jeszcze i jeszcze źródeł dla wypełnienia obrazu epoki, jej okoliczności i zdarzeń, których nie można mierzyć miarką dzisiejszych pojęć, tym mniej dzisiejszych emocji.

Jeżeli weźmiemy na przykład wielką rozprawę Polski z Krzyżakami, to o wieleż ciekawsza jest ona w istotnych motywach i wzajemnych kombinacjach, niż standartowa sztanca „słowiańsko-germańskiego zderzenia". Skomplikowana gra Krzyżaków, powołanych do nawracania, a w istocie zainteresowanych w utrzymaniu pogaństwa na Żmudzi; ich dyplomacja pomiędzy Węgrami, Czechami, Polską i Rzymem; karkołomne „przerzuty" Witolda, możliwe tylko w epoce absolutnej predominacji indywidualności nad generalnością; błyskawiczne odwracanie sojuszów; Niemcy i po jednej i po drugiej stronie i td. i td. Wszystko razem jakże daleko odbiega w prawdzie obiektywnej od prawdy na użytek praktyczno-propagandowy pięć wieków później; czy to w okresie Ludendorffa, który klęsce armii Samsonowa w 1914 chciał przydać odwetowy symbol „Tannenbergu", czy to w okresie nakręcanego w Polsce Ludowej filmu o „Grunwaldzie". To naturalnie, tylko jeden z przykładów bo się o nim dziś dużo mówi.

Prawdziwa historia wydaje się być wielką *vie romancée*, i wtłaczanie jej w ramki przemijających schematów, odbiera jej to co najważniejsze: *la vie*... A zarazem autentyczne pouczenie, które dać może życie samo. Gdybyśmy wiedzieli *wszystko* co było, wiedzielibyśmy wszystko co będzie, poucza klasyczna nauka przyrodoznawstwa. Wszystkiego wiedzieć umysł ludzki nie jest zdolny i nigdy nie będzie. Przeto każdy okruch prawdy winien być wart mikroskopu naukowego.

◆

Prof. Rhode jest niewątpliwie jednym z największych znawców historii Europy wschodniej. To znaczy tej części Europy, do której my nie lubimy się zaliczać, ale należymy. W tym punkcie Rhode zdaje się jednak przejmować raczej historyczną doktrynę polską. (Stąd może waga, jaką przywiązuje do ustalenia „wschodniej granicy" Rzeczypospolitej). Wyczuwa się w

nim i poza tym pewne „propolskie" sympatie i osobiste emocje, jakim nie może nie podlegać każdy człowiek, nawet najsurowszy badacz. Nie w tym, oczywiście, zasadza się jego wartość naukowa, i uwidacznia wspomniana wyżej pasja obiektywizmu, gdyż byłaby przez to raczej z nią sprzeczna. Niestety jest to miara, którą nazbyt często przykłada się po stronie polskiej dla oceny rzekomo wartości obiektywnej, a w rzeczywistości subiektywnej. Niedawno np. z pewnym zdziwieniem dostrzegłem w polskim organie londyńskim niezwykłe superlatywy wypisane pod adresem pisarza niemieckiego, znanego Günthera Grassa: Co za pisarz!... Co za talent!... Co za wizja twórczości!... etc. — Czytając byłem zaskoczony, gdyż poprzednio nie interesując się bliżej Grassem nie wiedziałem o tym, czego się dowiedziałem dopiero w końcu tej pochwały: Grass wystąpił „za uznaniem granicy na Odrze i Nysie". Otóż pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że gdyby tenże Grass wystąpił był nie za, a przeciw uznaniu, stałby się zapewne: Żadnym pisarzem... Miernym talentem... Autorem pornograficznych kiczów... A wizją obdarzony byłby nie twórczą, lecz hitlerowską... — Tak to polityka wkracza do oceny literackiej. O wieleż bardziej do oceny naukowo-historycznej.

Do profesora Rhode przekonały mnie nie jego sympatie, ale jego metoda nauczania. Słuchałem jego odczytów o historii Polski. Kilkakrotnie obrazując pewne ujemne objawy w jakimś okresie Polski, dodawał z precyzyjnym obiektywizmem: Nie zapominajmy wszakże, że i u nas w Niemczech, nie było pod tym względem dużo lepiej, gdyż... etc. — Mówiąc szczerze raczej rzadko się zdarza, aby którykolwiek z naszych historyków stosował metodę porównawczą w takim odwróceniu do własnego kraju... Nawiasem — zastanawiało mnie już wielokrotnie, jak mało ludzi występujących na zewnątrz dostrzega u nas tak prostą prawdę, i tak rozpowszechnione w kulturalnym świecie zjawisko, że przez krytykę, a nawet pewną surowość względem siebie, zjednuje się nieraz więcej sympatii dla reprezentowanego przedmiotu, niż opancerzając go odwieczną racją. Bo każda jednostronność mimowoli budzi wątpliwość, lub po prostu uzbraja ludzką przekorę. Odnosi się to także do historiografii. Tak mnie się zdaje, że czym mniej w niej adwokatowania tym staje się ona nie tylko ciekawszą, ale i bardziej przekonywującą.

◆

Prof. Rhode pochodzi z Poznańskiego. Swą cenną książkę poświęca pamięci rodzonego brata:

... „W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, jedyny brat autora opuścił dom rodzinny, aby jako żołnierz polski pójść na wojnę. Nie powrócił z niej nigdy. Miejsce, okoliczności i czas jego śmierci w mundurze polskim, pozostały nieznane".

Józef MACKIEWICZ

Oświadczenie p. Józefa Wulfa

Szanowny Panie!

W listopadowym numerze „Kultury" z ub.r. był Pan uprzejmy wydrukować obszerny, poświęcony mojej osobie artykuł. Artykuł ten podpisany przez znanego mi bliżej p. M. Borwicza dotarł do moich rąk z niejakim opóźnieniem i tylko dzięki uprzejmości moich polskich przyjaciół, którzy „Kulturę" czytują.

P. Borwicz zajmuje się moją osobą od szeregu lat i poświęcił mi już niejeden artykuł w lokalnej gazecie żydowskiej wychodzącej w Paryżu: „Unzer Wort". Będąc zajęty poważną pracą nie zajmowałem się bliżej tymi atakami i nigdy dotąd na nie nie odpowiadałem. Jeśli czynię to teraz — ma to określony powód. W środowiskach żydowskich znana jest awersja p. Borwicza do mojej osoby i ludzie wiedzą dobrze co o tym sądzić. Natomiast nie wtajemniczony czytelnik polski mógłby urobić sobie sąd o mnie i mojej pracy na podstawie tego, co przeczytał w listopadowym numerze „Kultury". Warto więc, żeby dowiedział się, jak naprawdę rzeczy wyglądają.

Pan Borwicz liczył widać na to, że i tym razem będę milczał, poszedł bowiem, jak to się mówi, na całego. Już sam początek jego artykułu jest obiecujący:

> „Redaktor 'Kultury' zaproponował mi sporządzenie notatki, ze szczególnym uwzględnieniem tego co z okazji przydzielenia wymienionego 'medalu' pisała prasa żydowska. Muszę Redaktora 'Kultury' i jej Czytelników rozczarować: — prasa żydowska nie napisała nic".

Stwierdzenie mocne i zdecydowane. Cóż, kiedy całkowicie nieprawdziwe. Jestem człowiekiem z natury skromnym i okropnie nie lubię powtarzać pochwał innych ludzi na mój temat. Nie da się jednak tego uniknąć, muszę bowiem zacytować parę głosów z prasy żydowskiej, która wg. p. Borwicza po przyznaniu mi medalu im. Ossietzkiego milczała.

Ukazujący się w Nowym Yorku „Vorwarts" („Forward") poświęcił tej sprawie 30 stycznia 1965 roku aż trzy kolumny. Między innymi można tam przeczytać:

> „Józef Wulf, Żyd z Polski, który był uczniem sławnej jeszywy w Mirze, jeden z najlepszych i najbardziej uznanych badaczy i historyków okresu zagłady Żydów pod okupacją niemiecką, postawił sobie po wojnie szczególne zadanie. Postanowił on mianowicie przedstawić Niemcom i innym narodom potworny obraz zagłady Żydów.

Obecnie otrzymał on wysokie odznaczenie za swoją ważną pracę na tym polu. Józef Wulf, zamieszkały obecnie w Berlinie, został odznaczony przez Międzynarodową Ligę Praw Człowieka medalem im. Ossietzkiego".

Myślę, że dłużej cytować nie trzeba. Dodać należy tylko, że „Forward" jest największym dziennikiem żydowskim nie tylko w Ameryce, ale w ogóle na całym świecie.

Ukazująca się w Monachium „Naje Jidysze Zajtung" pisała na ten sam temat 25 grudnia 1964 r.:

„Polski Żyd Józef Wulf, który zdobył sobie nazwisko jako historyk swymi licznymi pracami dokumentacyjnymi o zagładzie żydowskiej w okresie hitlerowskim, jak również o narodowym socjaliźmie, został odznaczony w Berlinie, gdzie żyje od wielu lat, przez Międzynarodową Ligę Praw Człowieka medalem im. Ossietzkiego. To nowe odznaczenie nie należy do owych międzynarodowych nagród, które wiążą się z korzyściami materialnymi. Jest ono natomiast wyrazem uznania moralnego i politycznego".

Zamiast dalszych cytatów z prasy żydowskiej niech mi wolno będzie podać tu treść pisma z 15 grudnia 1964, które nadesłał mi redaktor naczelny JTA (Jewish Telegrafic Agency), Boris Smolar:

„Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje z racji odznaczenia przyznanego Panu przez Międzynarodową Ligę Praw Człowieka. My w JTA jesteśmy dumni z przyznania Panu medalu im. Ossietzkiego. Jak się to mówi po hebrajsku, „Chazak V'ematz"!

Z najlepszymi pozdrowieniami, szczerze oddany

Boris Smolar".

Jewish Telegrafic Agency jest od 53 lat największą agencją prasową obsługującą wszystkie gazety żydowskie w całym świecie. JTA umieściła w swym biuletynie obszerną wiadomość o moim odznaczeniu, prawie wszystkie pisma żydowskie wiadomość tę przedrukowały. Tak przedstawia się prawda.

Medal im. Ossietzkiego jest, jak wynika choćby z cytowanych głosów prasy żydowskiej, odznaczeniem wysoko cenionym. W grudniu roku 1965 (medal przyznawany jest raz na rok) otrzymał je bohaterski pastor niemiecki Probst Heinrich Grüber, który w czasie wojny bronił i ratował Żydów i został za to uwięziony przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym. Probst Grüber, który występował jako jedyny świadek niemiecki na procesie Eichmanna, został uczczony w Izraelu jako jeden ze Sprawiedliwych i zasadzono tam cały lasek jego imienia. Uważałem sobie za wielki zaszczyt, że danem mi było wygłosić w budynku gminy żydowskiej w Berlinie laudatio na cześć tego szlachetnego człowieka. Przywilej ten przysługiwał mi jako odznaczonemu tymże medalem rok wcześniej.

W poświęconym mi artykule p. Borwicz nie przemawia bynajmniej tylko we własnym imieniu. Na poparcie swoich twierdzeń powołuje się na „prasę żydowską", kiedy jednak przychodzi do cytowania z tej całej „prasy" zostaje tylko jedno wspomniane już pismo: „Unzer Wort". Ta wstrzemięźliwość p. B. nie może dziwić, ponieważ cała prasa żydowska jeśli zajmuje się moją osobą uderza w tony pochwalne. Jedynym pismem, które mogę czytać bez rumieńca wstydu z powodu przesadnych pochwał jest właśnie „Unzer Wort".

Powoływanie się na prasę żydowską jest w sytuacji p. Borwicza krokiem ryzykownym. Natomiast jeśli chodzi o „Unzer Wort" jest on u siebie w domu. Powołuje się na wypowiedzi „innych autorów". Niech jednak nikt nie pyta o nazwiska tych „innych autorów", wprawiłby tym p. Borwicza w zakłopotanie. Bowiem ci „inni autorzy" to właśnie p. Borwicz, który woli nie przyznawać się przed redaktorem i czytelnikami „Kultury", że cytuje sam siebie. Dzięki temu brakowi ambicji autorskich p. Borwicz stwarza pozór, że ma po swojej stronie licznych sojuszników.

On sam i ci jego wyimaginowani „sojusznicy" nie kryją się bynajmniej z tym, że uważają mnie za rodzaj „wyrzutka społeczeństwa" żydowskiego. Owa mityczna „prasa żydowska" była nawet zdaniem p. B. zmuszona „kilkakrotnie" do zajmowania się „z niejaką brutalnością" moją osobą. Cóż ja mam biedny w tej sytuacji uczynić? Powodując się dobrym sercem może bym nawet i zmilczał, zostawiając p. Borwiczowi satysfakcję, że udało mu się mnie pogrążyć. Ale co powiedzieliby na to moi przyjaciele i ci wszyscy ludzie, którzy śledząc moją pracę nie szczędzili mi wielu słów zachęty i uznania? Jeden z listów, datowany 3 stycznia 1964, jest dla mnie szczególnie zaszczytny, pochodzi bowiem od prezydenta Izraela. List ma następującą treść:

„Wielce Czcigodny Pisarzu,

Znana mi jest od dawna Pana książka o zagładzie Żydów w getcie warszawskim, toteż ucieszyło mnie, że dostałem teraz książki o życiu kulturalnym w III Rzeszy. Serdeczne dzięki. Naturalnie przeczytam z wieką uwagą Pana książkę o Perecu i o chasydyźmie, jeśli zechce mi je Pan uprzejmie przesłać. A jeśli nastąpi wreszcie ten cud, że odwiedzi Pan nasz kraj, będzie mi bardzo miło ujrzeć Pana w moim domu.

Z wyrazami szacunku,

Salman Shazar".

Zacytowane powyżej życzliwe słowa są dla mnie szczególnie cenne, ponieważ pochodzą od człowieka, który jest nie tylko politykiem i głową państwa, ale również i pisarzem.

Pragnę podać tu także treść telegramu przysłanego mi z Paryża 27. 4. 1965, w dniu, kiedy gmina żydowska w Berlinie wy-

świadczyła mi zaszczyt i uhonorowała na specjalnym zebraniu publicznym dwudziestolecie mojej pracy:

„Centre de Documentation Juive Contemporaine oraz Memorial Martyr Juif Inconnu w Paryżu przyłączają się do uczczenia naszego wielkiego przyjaciela, historyka żydowskiego Józefa Wulfa, przez gminę żydowską w Berlinie. Jego wielkie zasługi w dziedzinie badań nad najnowszą tragiczną historią naszego narodu i nad ujawnieniem jego oprawców pozostaną jedyne w swoim rodzaju.

Prezydent Izaak Schneersohn".

Za twierdzeniem o moim rzekomym wyizolowaniu ze społeczności żydowskiej nie przemawiałby raczej fakt, że w listopadzie 1961 przyznana została mi nagroda im. rabina Leo Baecka. Leo Baeck stał na czele gminy żydowskiej w okresie hitlerowskim. Nie przyjął on propozycji bezpiecznej emigracji z Niemiec, pozostał na swojej placówce, aby dzielić los swych prześladowanych braci. Przeszedł on gehennę obozów koncentracyjnych i zmarł wkrótce po wojnie. Czytelnik polski pojmie łatwo symboliczne znaczenie tej nagrody. Nawiasem mówiąc otrzymałem ją wspólnie z profesorem filozofii na uniwersytecie w Princetown, doktorem Walterem Kaufmannem.

Cytowanie tych wszystkich wypowiedzi i faktów odczuwam jako uprawianie swego rodzaju ekshibicjonizmu. Czynię to z najwyższą niechęcią, ponieważ uważam się za człowieka najzupełniej normalnego. Winę za to ponoszą ci, którzy przez swoje kłamliwe twierdzenia zmuszają mnie do podobnych oświadczeń.

P. Borwicz poddaje „druzgocącej krytyce" moją działalność naukową i pisarską. Krytyka tego rodzaju jest dozwolona i nie wymaga w zasadzie odpowiedzi ze strony krytykowanego autora, który musi ocenę swej pracy pozostawić innym. W cytowanych przeze mnie wypowiedziach działaczy, pisarzy i dziennikarzy żydowskich znalazło się wiele słów aż nadto pochwalnych. Mówią one same za siebie, jeśli zestawić je z tym co pisze p. Borwicz. W swoim zaślepieniu p. Borwicz posuwa się nawet do twierdzenia, że publikując dokumenty i fotografie z okresu hitlerowskiego mimowolnie przyczyniam się do propagowania haseł nazistowskich. Naukowcom żydowskim znany jest londyński instytut badań współczesnej „The Wiener Library". Od dyrektora tej żydowskiej placówki naukowej, p. C.C. Aronsfelda, otrzymałem niedawno (6 stycznia 1966) list, w którym pisze mi dosłownie:

„Pana książka o kulturze i sztuce w Trzeciej Rzeszy są nam dobrze znane i ze zdziwieniem dowiadujemy się od Pana, że ktoś poważnie mógł twierdzić, jakoby kolportował Pan w tej formie idee narodowo-socjalistyczne. Znamy Pana także osobiście i już choćby z tego powodu twierdzenia takie musimy uznać za absurdalne".

P. Borwicz twierdzi, że stroję się w cudze piórka, że bezpodstawnie podaję w swoim życiorysie, jakobym był po wojnie naukowym współpracownikiem Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce oraz później w Ośrodku Badań Historii Żydów Polskich w Paryżu. Zdaniem p. B. byłem w tych instytucjach jedynie „figurantem" i wykonywałem funkcje „ściśle administracyjne". Jestem człowiekiem zgodnym i nie lubię się kłócić. Chciałbym móc powiedzieć, że p. B. chociaż raz powiedział prawdę. Ale nie pozwalają mi na to skrupuły. Prawda bowiem i tu wygląda całkiem inaczej. Byłem jednym z redaktorów wydawnictw Centralnej Komisji i moje nazwisko figuruje na każdej książce wydanej przez tę komisję w latach 1945-47. P. Borwicz powinien to wiedzieć, jemu bowiem też wydano ułożoną przez niego antologię poezji, zaś tam „stoi jak wół", że do komitetu redakcyjnego należy podpisany. W Paryżu natomiast nosiłem w portfelu zaświadczenie samego p. Borwicza, że jestem wicedyrektorem Ośrodka Badań. Jaką to krótką pamięć potrafią mieć ludzie. Przecież wystarczyło p. B. sięgnąć do archiwum tak bliskiego mu „Unzer Wort", aby przeczytać pod datą 15. 7. 1947:

„Do Paryża przybyli dwaj pisarze z Polski, Michał Borwicz i Józef Wulf". „Przybyli oni z krajów skandynawskich". „W krajach tych odbyły się z udziałem tych historyków żydowskich konferencje prasowe".

Zaś w numerze 179/249 tegoż „Unzer Wort" mógłby p. Borwicz przeczytać, że „naukowe kierownictwo" Ośrodka Badań Historii Żydów Polskich w Paryżu objęli „znani historycy żydowscy i pisarze z Polski", Borwicz i Wulf. Mógłbym cytować dziesiątki innych pism żydowskich i nieżydowskich, ale specjalnie ograniczam się do paryskiego „Unzer Wort", ponieważ to pismo jest p. B. szczególnie dobrze znane.

P. Borwiczowi nie daje po prostu spać myśl, że po latach wytrwałej pracy moja działalność naukowa doczekała się uznania w licznych środowiskach żydowskich i nie żydowskich. Popycha go do kroków tak nierozumnych, jak napisanie artykułu w „Kulturze", który naszpikowany jest zupełnie fantastycznymi i łatwymi do obalenia twierdzeniami. Co ma oznaczać np. insynuacja, że w Żydowskiej Komisji Historycznej odgrywałem rolę wtyczki pepeerowskiej? Jeśli p. Borwiczowi narzucono w Polsce moją współpracę, to zapytam skromnie, dlaczego kontynuował później latami tę współpracę dobrowolnie w Paryżu i starał się wszelkimi środkami nakłonić mnie do dalszego pozostania we Francji? Wysunięty przez p. B. zarzut, że fałszuję zdjęcia stosując fotomontaż jest po prostu absurdalny. Kwestionowane przez niego zdjęcie pokazuje kilka skrzyń z archiwum dr. Ringelbluma oraz *dwie* osoby: po lewej stronie mnie, po prawej p. Borwicza. Moja praca o zagładzie getta warszawskiego ukazała się w r. 1961. P. Borwicz już wtedy wylewał na mnie kubły pomyj, nie miałem najmniejszej ochoty figurować we własnej książce w jego towarzystwie. Przeciąłem więc owo zdjęcie na

pół „unicestwiając" w ten sposób nie jakieś tam „inne osoby", lecz po prostu samego p. Borwicza. Pierwotnie na tym zdjęciu było jeszcze więcej osób, p. Borwicz publikując je w swojej antologii poezji przykroił je w ten sposób, że zostały tylko dwie osoby. Wolnoć Tomku...

To, co zarzuca mi p. B. należy do kategorii spraw, które w dzisiejszej Polsce określa się słowem „ubaw". Jedno z jego twierdzeń wprawiło mnie jednak w oburzenie. Kwestionuje on mianowicie mój udział w podziemnej działalności Żydowskiej Organizacji Bojowej w okresie okupacji. Dawni bojowcy tej organizacji mówią o tym rzekomo „z uśmieszkiem". P. B. nie bawi się oczywiście w podawanie nazwisk i dowody, wystarcza mu insynuacja. Tak się składa, że w archiwum moim posiadam rzadki niezmiernie dokument, mianowicie egzemplarz biuletynu „Bojowej Organizacji Żydowskiej Młodzieży Chalucowej". Ukazał się on w podziemiu pod datą 13. 8. 1943. Inny egzemplarz znajduje się w „Kibucu Bojowników Ghetta" w Izraelu. Na stronie 3 biuletynu wydrukowano listę towarzyszy z Ż.O.B., którzy 13. 4. 1943 wywiezieni zostali z Monteluppich do Oświęcimia. Moje nazwisko figuruje na tej liście na pierwszym miejscu.

W posiadaniu redakcji „Kultury" znajdują się fotokopie *wszystkich* artykułów, listów i innych dokumentów, na które powołuje się w tym oświadczeniu. Wypowiedź moja jest *udokumentowana*. WIĘCEJ do tej sprawy powracać nie mam zamiaru.

Józef WULF

Nadesłane nowości wydawnicze

CIEŚLIKOWSKA (Teresa). *Pisarstwo Teodora Parnickiego.* Str. 269 i 3 nlb. (Instytut Wydawniczy „Pax", 1965, cena 35 zł.).

KRYSTOSIK (Jan ks.). Katechetyka. Wyd. II. Str. 153 i 9 nlb. (Poradnik w nauczaniu i wychowaniu religijnym dzieci i młodzieży polskiej). (Wyd. Polska Macierz Szkolna Zagranicą, Londyn, 1965, cena 8 sh.).

RESZCZYŃSKA-STYPIŃSKA (Marta). *Czas głodu.* Wiersze. Str. 49 i 3 nlb. (Wyd. nakładem „Gryfu", Londyn, 1965).

Pamiętnik Diamentowego Jubileuszu Czytelni Polskiej w Buffalo, N.Y. 1889-1964. (Wydano 29 listopada 1964, Bufallo, N.Y.).

KOWALIK (Jan). *Bibliografia bibliografij polskich, wydanych poza Polską po r. 1939.* Str. 645-680. (Odbitka z „Literatury polskiej na obczyźnie 1940-1960", T. II. (B. Świderski, Londyn, 1965).

KOWALIK (Jan). *Polskie czasopiśmiennictwo emigracyjne po roku 1939.* Zarys historyczno-bibliograficzny. (Odbitka z „Literatury polskiej na obczyźnie 1940-1960), T. II. Str. 373-548. (B. Świderski, Londyn, 1965).

HEŁM-PIRGO (Marian). *W sprawie tablicy „Orląt" w Londynie.* Czy tak należy postępować?. Str. 16. (Nakładem Autora, New York, 1965).

Kalendarz Franciszkański na rok 1966. Str. 128. (Nakładem i drukiem Franciscan Publishers, Pulaski, Wisconsin, USA).

PAVLOVIĆ (Miodrag). *Sobowtóry.* Poezje. Wybrał Tymoteusz Karpowicz. Przełożyli: Petar Vujičić, Tymoteusz Karpowicz. Str. 49 i 3 nlb. (Wyd. Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1965, cena zł. 10).

ROMISZEWSKI (Eugeniusz). *Jedwabne spadochrony.* Wiersze z czasów wojny. Str. 28. Powielacz. Dodatek Literacki do „Spadochronu", Nr 34 z dn. 20 grudnia 1965 (Londyn).

WOJTYŁA (Karol, archevêque-metropolite de Cracovie). *Amour et responsabilité.* Etude de morale sexuelle. Traduit du polonais par Thérèse Sas, revu par M.-A. Bouchard-Kalinowska. Préface de Henri de Lubac. Str. 285 i 1 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris, 1965.

ZDZIECHOWSKI (Georges). *Le problème clef de la construction européenne: La Pologne sur l'Oder.* Str. 228 et 4 nlb. avec l'Index. (Wyd. Editions A. Pedone, Paris, 1965).

KALINOWSKI (Jerzy) & SWIEŻAWSKI (Stefan). *La philosophie à l'heure du Concile.* Str. 176 et 8 nlb. Préfacé par Oliver Lacombe. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris, 1965).

Légion Viet-nam?. Nouvelle campagne de propagande communiste. Un document. Préface de John B. Hynd, M.P. Str. 86 i 2 nlb. (Wyd. Edition Markus-Verlag, GMBH, Köln).

BOCHEŃSKI (J. M.). *Vers la pensée philosophique.* Initiation aux notions fondamentales de la philosophie. Traduit de l'allemand par Louise Marsiac. Str. 115 et 5 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris, 1965).

AGORRIZ-MELGAR (José). *Poussière mienne.* Poèmes. Str. 27 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Grande Bretagne, 1965).

Situation réligieuse en U.R.S.S. Contribution au dialogue avec les athées. Str. 70 i 2 nlb. (Ed. Foyer Oriental Chrétien, Bruxelle, 1965).

Le più belle pagine della litteratura polacca. Str. 348. Opracowała Marina BERSANO BEGEY. (Wyd. Nuova Accademia Editrice w serii „Pagine delle litterature di tutto il mondo" pod redakcją Eugenio Montale, Milano, 1965).

Collegium Polonorum. Pismo Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie. Zeszyt 2-3 (Rok 1). Str. 228. (Rzym, 1965).

BRANDIS (Kazinjež). *Pisma gospodi Z.* Uspomene iz savremenosti. Przeł. z polskiego Radosav Dokić. Str. 374. „Biblioteka „Minjoni" (Novi Sad, 1965).

STAROBIN (Joseph). *Communism in Western Europe.* Str. 62-77. (Odbitka z „Foreign Affairs", October, 1965).

BUCZEWSKI (Zenon). *A Bibliographical List of the Boy Scouts Publications.* Powielacz. Str. 24. (Nakładem Autora, Vancouver, B.C., Canada, 1965).

Poland's Millennium of Christianity. Le millenaire de la Pologne Chrétienne. Tekst dwujęzyczny angielsko-polski. Ogółem str. 50. Mapa. (Nakładem Kanadyjsko-polskiej Fundacji przy współpracy Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, Sekcja Kanadyjska).

MOND (George H.). *La Prensa, grupo de pressión en Europa Oriental.* Str. 21-51. (Odbitka z „Revista Espanola de la Opinión Pùblica" No 2, Septiembre-Diciembre 1965).

The Israel Yearbook 1966. Str. 323. (Wyd. Israel Yearbook Publications, Ltd. in Cooperation with the Economic Department of the Jewish Agency, Tel-Aviv, 1966).

New Epoch of Immigration and Absorbtion. Str. 22. (Odbitka z „The Israel Yearbook 1966).

BERGER (L. dr). *Sociological Problems of Absorbtion.* Str. 19 i 3 nlb. (Odbitka z „The Israel Yearbook, 1966").

Humor krajowy

W kawiarni w Warszawie spotyka się dwóch znajomych i w rozmowie porównują czasy przedwojenne do obecnych.

— W każdym razie — powiedział pierwszy — jak było, tak było, ale *było*.

— Tak, tak — odparł drugi — jak jest, tak jest — ale *nie ma*.

◆

W czasie uroczystości, urządzonej na cześć sportowców, którzy wrócili z zagranicy z doskonałymi wynikami — na trybunie, wśród wielu innych osób znalazł się także Radkiewicz. Na sali było między innymi sporo dziennikarzy. Jeden z nich, bardzo młody, zwraca się do kolegi i zapytuje wskazując Radkiewicza:

— Co to jest za postać?

— To nie *postać* — odpowiada zapytany — to *posiedzieć!*

◆

Do Londynu przyjechał z Warszawy, w celach służbowych, wyższy urzędnik jednego z ministerstw. Na ulicy spotyka swego dawnego dobrego znajomego, emigranta. Ogromnie się ze sobą ucieszyli. Tyle lat! Tyle wspomnień!

— Słuchaj, mój drogi — mówi emigrant — musimy sobie to wszystko szczegółowo opowiedzieć. Chodź, zjemy razem obiad.

— Nie — odpowiada warszawianin — chodźmy lepiej na kawę, bo wiesz, ja jestem na diecie...

— Ale, gadanie, chodź, ja cię zapraszam.

Gdy usiedli w restauracji i podano im menu, warszawianin zamówił tuzin ostryg, langustę, rybę i zaczął zastanawiać się nad mięsem.

— Bój się Boga — zawołał przerażony emigrant — ty chcesz to wszystko zjeść? Przecież mówiłeś, że jesteś na diecie.

— Przesłyszałeś się, kochany — odpowiedział przyjaciel — nie na diecie, ale *na dietach!*

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Co należy robić, żeby uzyskać paszport zagraniczny?

— Unikać *kardynalnych* błędów.

◆

— Na co jest chory Gomułka?

— Na ślepą k(l)iszkę.

Zebrała *Zofia HERTZ*

Listy do Redakcji

NYC 29 grudnia 1965 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z notatką „Katedra literatury polskiej w Chicago" w listopadowym numerze „Kultury" muszę dodać słów kilka do listów Zbigniewa Grabowskiego i E. K. Bernaut w numerze grudniowym.

Notatka była właściwie przeglądem (niezupełnym) polonistyki czy slawistyki w USA. Byłoby wskazane dać *aktualny i kompletny* obraz studiów polskich i słowiańskich w Stanach — rzecz niełatwa.

Pragnę dziś dodać tylko dalsze dwa nazwiska:

Halina Wittlin, profesor literatury i języka polskiego, New York University w Nowym Yorku.

Mieczysław Giergielewicz, profesor literatury polskiej, University of Pennsylvania w Filadelfii.

Łączę najlepsze życzenia noworoczne i serdeczne pozdrowienia,

Alfred BERLSTEIN

◆

Elmhurst, w grudniu 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule p. Z. S. Siemaszko pt. *I beg to differ* (Sprawy i Troski) w grudniowym numerze „Kultury" znajdują się następujące zdania o dr. Józefie Retingerze:

„Prac naukowych tego pana, nie znam, ale wiem że był człowiek, który w czasie II-giej Wojny Światowej działał na niekorzyść Polaków, więc po cóż właśnie jego przytaczać jako przykład. Zresztą „Dziennik Polski" ma wielki szacunek dla dr. Retingera i z okazji jego śmierci parę lat temu wypisywał pochwalne słowa na cześć tego agenta międzynarodowego, który służył różnym sprawom, ale nie sprawie polskiej, co się szczególnie odnosi do okresu ostatniej wojny".

Sądzę, że p. Siemaszko ma dowody na poparcie zarzutów, którymi tak beztrosko obciąża pamięć dr. Józefa Retingera.

Dla ludzi znających z bliska stan i zapis służby tego „agenta międzynarodowego", który nie przyjął krzyża Virtuti Militari, jakim odznaczony został przez Generała Sikorskiego a mając lat blisko 60 zrzucony został jako skoczek spadochronowy do okupowanej Polski gdzie przez prawie pół roku dzielił los swojego narodu w pracy podziemnej, płacąc za to zdrowiem przez resztę życia, gołosłowna próba podważenia jego reputacji jako człowieka wizji, charakteru i całkowicie bezinteresownej służby w ogólnym i na daleką metę pomyślanym interesie Polaków, jest nie do przyjęcia.

W. JANTA-POŁCZYŃSKA

Paryż, 14 marca 1966 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Belgijski kwartalnik literacki „L'VII" prosił mnie o opracowanie specjalnego numeru poświęconego polskiej poezji współczesnej. Numer ten, liczący 110 stron, zawierający wiersze trzydziestu sześciu polskich poetów oraz ustęp z „Dziennika" Witolda Gombrowicza w tłumaczeniu francuskim, ukazał się w tych dniach w pięknej szacie graficznej, z okładką projektowaną przez Max Ernsta. Niestety moje zadowolenie było krótkotrwałe, gdyż naliczyłem w tym numerze aż czterdzieści błędów drukarskich, które wkradły się nawet do nazwisk autorów. Dokonałem bardzo uważnej korekty całego numeru, a nie mogłem dopilnować jej wykonania, ponieważ kwartalnik drukowany jest w Brukseli. Wydawca „L'VII" rozesłał już numery autorskie i prasowe, tak że zarówno autorzy jak pisma otrzymają swe egzemplarze bez wkładki „errata", której wydrukowania zażądałem i która zostanie im przesłana dodatkowo.

Proszę Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie tego wyjaśnienia i łączę wyrazy szacunku wraz z uściskiem dłoni.

K. A. JELEŃSKI

◆

Lexington, Ky., 14 lutego 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym zwrócić uwagę p. Włodzimierza Popławskiego (vide jego list do Pana, „Kultura" Nr 1/219-2/220, 1966, str. 238) na pracę profesora Piotra Wandycza o polsko-czechosłowackich stosunkach — *„France and Eastern Allies: 1919-1925"*. Również cennym źródłem jest *„Moja pamät' — živà kniha"* byłego czechosłowackiego ambasadora w Warszawie, Dra Juraja Slavika, opublikowane w odcinkach w *New Yorksky Dennik"*.

Propozycję p. Popławskiego trzeba przyjąć z uznaniem. Powinniśmy studiować historię polsko-czechosłowackich stosunków po to aby się zbliżyć, aby wytworzyć wspólną wartość, która by w przyszłości przeciwdziałała powtórzeniu się takiej fatalnie nieadekwatnej polityki, którą obydwa państwa prowadziły względem siebie w czasie między pierwszą a drugą Wojną Światową.

Z wyrazami szacunku,

prof. Jiri KOLAJA
Dept. of Sociology
University of Kentucky

◆

Szanowny Panie Redaktorze.

Tyle się ostatnio pisze o Brześciu — z okazji książki Pragiera i z każdej innej — że człowiek gotów zapomnieć o kacetach, o łagrach, powstaniach, getcie i wzrastać w orwellowskiej nienawiści do „sanacji".

Wydaje mi się, że nikt z poruszających ten temat nie potrącił o istotę sprawy. Niech mi wolno będzie ją wyłożyć tak jak mi się to rysuje.

Brześć był konsekwencją przewrotu majowego. Ale przewrót majowy był alternatywą innego przewrotu, który Polsce groził — zamachu stanu swoistego polskiego hitleryzmu. Zamach Piłsudskiego uratował Polskę od wyraźnie narastającego zamachu szaleńców w rodzaju Doboszyńskiego czy Piaseckiego, których by poparły, z całą pewnością, masy endeckie i chienopiastowskie. Jeszcze kilka lat, jeszcze kilkaset „przesunięć" w armii i jeszcze kilka fałszów jakichś biur historycznych a mielibyśmy jakiś krwawy maj długich noży. Żadna siła by mu się nie oparła, gdyby wojsko było „oczyszczone" od legionistów, piłsudczyków i innych demokratycznych elementów — bo w owych czasach ruch legionowy był ruchem ultrademokratycznym.

Rosnącej lawinie doboszyńsko-piaseckiej nie oparłaby się na pewno P.P.S., ta Ofelia polskiego życia politycznego, rozdzierana z jednej strony miłością niepodległości i Piłsudskiego a z drugiej strony ciągotami do komunistycznego internacjonalizmu i „dyktatury proletariatu". Nie czas i miejsce na dawanie przykładów, ale wydaje mi się że Myślenice, że pogromy antyżydowskie piasecczyzny, getta ławkowe organizowane przez „szlachetnych młodzieńców wszechpolskich", cała atmosfera nienawiści rasowej wzniecana przez obóz Dmowskiego, nastroje niepoczytalności, które nie tylko spowodowały śmierć Narutowicza, ale stworzyły potem kult mordercy — to dostateczne dowody, że Polsce zagrażał jakiś maj rodzimego hitleryzmu.

A wtedy panowie Pragier i Ciołkosz nie mogliby już pisać o Brześciu — nie byłoby Brześcia. Byłby natomiast polski Majdanek i Oświęcim — na długo przed hitlerowskim.

Czas najwyższy spojrzeć prawdzie w oczy i wyrazić ją — narażając się wiadomo na co. Na szczęście jestem w sytuacji, kiedy człowiekowi wszystko jedno. Więc się narażam.

Janusz KOWALEWSKI

◆

Wellington, N.Z., 29 stycznia 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę podziękować panu prof. gen. Marianowi Kukielowi za cenne uwagi zamieszczone w liście do redakcji w „Kulturze" Nr 12/218.

Rzeczywiście, popełniłem błąd przypisując Korzonowi polemizowanie z poglądami zawartymi w rozprawie „Maciejowice". Jakiekolwiek były jego poglądy, nie mógł Korzon polemizować z pracą ogłoszoną w jedenaście lat po jego śmierci. Za ten błąd Autora i czytelników najmocniej przepraszam.

Sprawa małego znaczenia, ale dla mnie bardzo istotna. Nie przysługuje mi tytuł pułkownika. Moim rzeczywistym stopniem był kapitan. W pewnym okresie byłem „funkcyjnym" majorem. Tytuł i stopień majora utraciłem automatycznie z chwilą demobilizacji. Osoby tytułujące mnie majorem czynią to przez grzeczność i z własnej ochoty.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

Tadeusz NOWACKI

◆

Londyn, 1 lutego 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jak to jest w mym obyczaju, kolejny — tym razem — grudniowy numer Pańskiego miesięcznika zacząłem od Józefa Mackiewicza. Potem Hostowiec, potem Hłasko, potem Wacław Zbyszewski i td.

Recenzja o „Europa in flagranti" — przezabawna. Szczególnie tematy rosyjskie, od których Zbyszewski odżegnuje się jak diabeł od święconej wody, a za którymi wyraźnie tęskni.

Najbardziej mnie rozradowało takie, zresztą nie „rosyjskie", czarujące sformułowanie autora recenzji:

„...Francja używa od czasu do czasu agentów i szpicli, ale jednorazowo, nie hoduje ich latami, a gdy potrzeba która ich powołała znika, Francja likwiduje wszystkie odpowiednie barbouzes'y, jak to na pewno uczyniła po zakończeniu wojny algierskiej i walk z OAS'em...".

Co słowo, to prawda.

„Szkoła" Beaupré, z której — wedle tego co pisał — Wacław Zbyszewski się wywodzi, dystansowała — rzecz jasna — „szkoły" Butkiewicza czy Wyżła, wszakże autor omawianej recenzji chyba nie należał w tej „szkole" do prymusów.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, uprzejme pozdrowienia,

Włodzimierz V. POPŁAWSKI

◆

Bordeaux, dnia 3 lutego 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie zauważyłem, żeby Pan zwrócił już uwagę na nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie nazwiskiem Gronousky i na jego działalność. Jak na człowieka, którego rodzice jeszcze byli Polakami, p. G. nieco zbyt demonstracyjnie oświadczył na odjezdnym z Waszyngtonu, że dla niego najważniejsza jest „amerykańska racja stanu". Obudziło to natychmiast czujność Polonii amerykańskiej, i nie bez racji, jak się obecnie okazuje. Gomułka świeżo dał do zrozumienia, że wywierane są na niego naciski, by rozmawiał z Bonn (zob. „Polityka" z 29 stycznia). Prasa polonijna w Ameryce pisała, że Gronousky ma w Warszawie zażądać ustępstw na rzecz Niemiec.

Jako sumienny czytelnik artykułów innego Amerykanina polskiego pochodzenia, p. Brzezińskiego, pamięta Pan zapewne, co on pisał o takiej ewentualności jeszcze w r. 1961. Było to w kwartalniku amerykańskim „Foreign Affairs", ale Pan to wówczas przedrukował w numerze letnim „Kultury". Cytujemy: „Większość Polaków poważnie obawia się zarówno tego, że Niemcy ponownie użyją przeciwko nim siły jak i tego, że odbędzie się to przy pomocy lub przy cichej zgodzie Stanów Zjednoczonych. Myślący Polacy, zdający sobie sprawę, że obawa ta jest w tej chwili nieuzasadniona, boją się czegoś innego: boją się, że zjednoczone Niemcy mogą któregoś dnia wywrzeć na Polskę polityczny i gospodarczy nacisk, za zgodą lub nawet z a c h ę t ą amerykańską (a być może n a w e t i sowiecką). Innymi słowy obawiają się oni, że Polska, będąc państwem małym, znajdzie się znowu w sytuacji, kiedy granice je wytyczane będą pod naciskiem zewnętrznym".

Mija szósty rok od tych refleksji „myślącego Polaka" (bo że p. B. miał na myśli siebie, to chyba nie ulega wątpliwości: żaden Polak wtedy tak nie myślał, nieufność wobec Ameryki jeszcze nie była dostatecznie rozbudzona). Ale cóż to jest sześć lat Historii?

Może Pan też jest ciekaw, co o tym myślę? Co o tym myślałem pięć lat temu, to Pan wie, bo czytał Pan mój artykuł w torontońskim „Związkowcu". Od tego czasu minęło jednak pięć lat, oś Paryż-Bonn (tak wówczas groźna dla systemu USA-ZSSR) pękła, do zjednoczenia Niemiec nie doszło, ale za to powstała oś Paryż-Pekin, o wiele groźniejsza niż tamta, przygotowania do wojny amerykańsko-chińskiej są w pełnym toku, a stosunki polsko-niemieckie są systematycznie pogarszane. I nic nie pomagają ostrzeżenia czy przeciwdziałania Papieża, generała de Gaulle ani nawet U Thanta i kilku amerykańskich senatorów. Zbliżamy się do wojny Ameryki i Rosji przeciw ich zbuntowanym satelitom: Ameryka „ukarze" Chińczyków, a Rosja Francuzów. Za zapalnik posłużą w Europie Niemcy i Polska. Gdańskiem trzeciej wojny światowej (jakże innej od tej, o której marzyła polska emigracja!) jest Odra i Nysa.

Łączę wyrazy niezmiennego szacunku,

Jan ULATOWSKI

◆

Warszawa.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wpadł mi okazjonalnie w ręce numer Pańskiego pisma (12/218, z grudnia 1965) i tamże ze zdumieniem przeczytałem artykuł, który w zupełności usprawiedliwia rzadkość naszych kontaktów. Chodzi o „Drum-majorette Alicja" Tadeusza Nowakowskiego, pisarza cenionego także u nas, tzn. w Kraju. Przyznam, że przecierałem oczy wczytując się w zdania p. Nowakowskiego, którymi (trochę nazbyt, a więc podejrzanie błyskotliwie) wynosi on pod niebiosa zalety i głębie jednej z paskudniejszych publikacji, jakie się ostatnio w Polsce ukazały, a mianowicie książki p. Alicji Lisieckiej o tzw. pokoleniu „Pryszczatych".

Książka ta, jak sądzę, ma za główny cel wmówienie czytelnikowi, że młodzi pisarze, którzy po wojnie przyszlusowali do komunistów, wzięli na siebie jakiś chwalebny trud, czy znój, że o coś walczyli, czemuś się przeciwstawiali, że kładli podwaliny. Z perspektywy lat wydaje się jednak, że znojem, który ludziom tym rosił czoła, było zatrzaskiwanie oczu i uszu na to, o czym wiedział w Polsce każdy węglarz i każda emerytka, a mianowicie, że niewola, że nędza, że UB, że łagry na Syberii, aż wstyd wyliczać. W zamian za trud ignorancji (choćby udawanej) otrzymywali oni honoraria, mieszkania, wystawne bankiety w Moskwie i w Pekinie. Nade wszystko zaś prawo do pisania i publikowania, doskonalenia się i osadzanie się w uświęconych na dekady hierarchiach, co odmówione było tak precyzyjnie innym młodym pisarzom, którzy nie chcieli walczyć o komunizm z bezbronnym narodem polskim przy pomocy ubiackich pistoletów, ani kłaść podwalin pod idiotyzmy socrealizmu.

Nie od rzeczy wspomnieć będzie o autorze tej książki, p. Alicji Lisieckiej, którą p. Nowakowski porównuje do Boy'a i pani de Staël. P. Lisiecka uważana jest w Warszawie za postać pocieszną, permanentną okazję do różnych żarcików. Niezależnie od swych talentów do rozbawiania (a może dzięki nim?) uchodzi także za *agent-provocateur* jednej z klik partyjnych, bijącej

się z innymi klikami o sukcesję po Gomułce: ponieważ Starewicze, Rakowscy i Żółkiewscy (którym wiernie służy p. Lisiecka) w walce z Moczarami i Gierkami szermują dziś obłudnie argumentem liberalnym, przeto i p. Lisiecka stara się ostatnio o miano bojownika postępu i tolerancji; niemniej jej wyczyny „krytyczne" i IBL-owskie sprzed paru lat zapewniły jej na długo nieskazitelną renomę oprawcy od literatury.

I jeszcze jedno: p. Nowakowski skrupulatnie rozwodzi się nad urodą i elegancją p. Lisieckiej. Jako skromny pracownik uniwersytecki nie bywam często w kawiarniach i klubach warszawskiej elity literackiej, niemniej pokazywano mi panią tę kilkakrotnie. Jeśli chodzi o elegancję to boję się, że p. Lisiecka nie mogłaby zaimponować nawet ekspedientce Państwowego Domu Towarowego w Nowej Soli. Zaś uroda? Odnoszę wrażenie, że p. Nowakowski opisywał p. Lisiecką z przysłanej mu z Warszawy fotografii, która wcale nie przedstawiała p. Lisieckiej — ta teza zgadzałaby się bezbłędnie z naszą krajową opinią o chłopięcej naiwności niektórych publicystów emigracyjnych. Jeśli zaś p. Nowakowski maluje p. Lisiecką z natury, to reszta jest już kwestią gustu, potrzeb i wymagań.

Z poważaniem,

Anatol WALCZAK

◆

Filadelfia, 6 stycznia 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że do notatki pt. Katedra literatury polskiej w Chicago w nrze listopadowym „Kultury" i do listu do Redakcji Zbigniewa Grabowskiego w nrze grudniowym, zgłoszę uzupełnienie. Jestem studentką na uniwersytecie Pensylwanii w Filadelfii, kandydatką na magistra z wydziału literatury polskiej. Dostrzegłam, że pominięto nazwisko świetnego i zasłużonego wykładowcy literatury polskiej, autora prac literackich i uczonych artykułów, Prof. Mieczysława Giergielewicza.

Mam nadzieję, że w dalszych notatkach nazwiska tego nie zabraknie.

Z poważaniem,

Jadwiga ZWOLSKA-SELLE

© Copyright by Institut Littéraire, 1966.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2e Trimestre 1966.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. **S. L. Lemanski,** 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172 ; **T. Konopacki, 11839** Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 **Ch. M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford **Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Co,** Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski,** 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik, 131,** Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM CXXIII PIOTR GUZY

KRÓTKI ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Rewelacyjna powieść, malująca psychologiczny portret oficera Bezpieki. Zarówno zupełnie nowa forma literacka jak i pasjonujący temat sprawiają że książkę tę czyta się jedynym tchem.

Str. 160. Cena 10 F (dol. 2,25; 15 sh.)

◆

TOM CXXIV - Seria "Dokumenty"

DIALOG POLSKO-NIEMIECKI

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW KOŚCIELNYCH

(Zawiera pełne teksty Orędzia Biskupów Polskich, Odpowiedź Biskupów Niemieckich oraz Memoriał niemieckiego Kościoła Ewangelickiego. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego).

Str. 80. Cena 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)

◆

TOM CXXV - Seria "Zeszyty Historyczne"

ZESZYT DZIEWIĄTY

Luty 1966

zawiera m.in. prace:

K. Okulicza: *Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego*
K. Popiela: *Wybór prezydenta I. Mościckiego*
T. Rudnickiego: *Konferencja Teherańska*
G. Soro: *Upadek Polski*
St. Mackiewicza: *Stulecie urodzin Wł. Studnickiego*

oraz działy

OSTATNIA WOJNA A POLSKA — W OBCYCH OCZACH — WSPOMNIENIA O LUDZIACH — KSIĄŻKI — POLEMIKI I LISTY.

Str. 240. Cena 15 F (dol. 3,00; 22 sh.)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F